

# CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



# 3

(112) 2023

---

**Marek A. Koprowski, Paweł Stachnik i Krzysztof Kołtun o Wołyniu ♦ Wiersze Tadeusza Śliwiaka, Mariusza Olbromskiego i Krzysztofa Kołtuna ♦ Karol Chlipalski o Kazimierzu Sochaniewiczu ♦ Beata Bednarz o Chyrowie**

---

---

## Szanowni Państwo!

Otrzymujecie trzeci numer kwartalnika „Cracovia–Leopolis”. Podejmujemy w nim bolesną tematykę Wołynia. Do publicystycznej wypowiedzi zaprosiłem tym razem pisarza, który całe życie zawodowe poświęcił Kresom, Marka A. Koprowskiego, próbującego odpowiedzieć na pytanie, czy można było na Kresach uniknąć ludobójstwa na Polakach. Natomiast Paweł Stachnik – historyk, próbuje dokonać opisu tego, co stało się w lipcu 1943 roku na Wołyniu. Zamieszczamy też apel Zbigniewa Walczaka, wójta Gminy Jarocin i prezesa Społecznego Komitetu Budowy Pomnika „Rzeź Wołyńska” w Domostawie, którego autorem jest nieżyjący już artysta rzeźbiarz Andrzej Pityński. O wołyńskim dramacie w swym opowiadaniu *Anioł na moście* pisze też Krzysztof Kołtun. Przypominamy również utwór znanego krakowskiego poety Tadeusza Śliwiaka – rodem ze Lwowa. Osobny tekst poświęciliśmy sprawie powstawania pomnika „Obrońcy Lwowa – 1918” w Krakowie, o czym pisze Piotr Boroń. W tym numerze Franciszek Haber zaprasza nas na spacer ulicą Akademicką, którą niewątpliwie chadzał bohater tekstu Karola Chłipalskiego Kazimierz Sochaniewicz – historyk, archiwista, heraldyk. O tym, że Lwów był też miastem ludzi oryginalnych, pisze w tekście *Baby, artyści i wariatuńcie* Aleksandra Solarewicz. W swej stałej już kolumnie *Musica Leopolis* Michał Piekarski opowiada o *niezwykłym jubileuszu Bronisława Pacana*, organisty lwowskiej katedry. Beata Bednarz pisze o *zakładzie ojców jezuitów w Chyrowie we wspomnieniach wychowanków* oraz o *modzie kobiecej sto lat temu we Lwowie*, omawiając książkę Jacka Kachla *Być kobietą. Sto lat temu na Śląsku Austriackim i w Galicji*. Uwagę zwraca też tekst Joanny Kulickiej i Katarzyny Pasik zatytułowany *Wygrzywałscy. Opowieść nie tylko kresowa* oraz Antoniego Wilgusiewicza *Lwowianie i kresowianie w Policji Województwa Śląskiego (1922–1939)*. Tekstem Anny Stengl zapowiadamy książkę, która, mam nadzieję, mimo wszystkich przeciwności ukaże się niebawem: *Mogily Lwowian i Kresowian na cmentarzach Krakowa. Cmentarz Salwatorski*. Żegnamy też ze smutkiem, piórem Krystyny Stafińskiej, naszego stałego współpracownika i wiernego czytelnika, stanisławowianina – Tadeusza Olszańskiego. Nie zabrakło też kolumny poetyckiej, na której gościmy nie pierwszy już raz Mariusza Olbromskiego, który zaprezentował nowe wiersze poświęcone jego wielkiej twórczej kresowej miłości – Krzemieńcowi.

Życzę Państwu dobrej lektury!

Janusz M. Paluch

---

**Marek A. Koprowski**

## **Czy na Wołyniu musiało dojść do rzezi?**

**S**zukanie odpowiedzi na pytanie, dlaczego na Wołyniu doszło do eksplozji ukraińskiej nienawiści do Polaków, której apogeum było ludobójstwo ludności polskiej, nie jest proste. Niektórzy badacze sądzą, że ludobójstwo Polaków miało korzenie historyczne. Przypominają, że obszar województwa wołyńskiego znalazł się z granicach Rzeczypospolitej w wyniku niepowodzeń ukraińskich inicjatyw niepodległościowych podejmowanych w okresie I wojny światowej oraz zwycięstwa Polski w wojnie 1920 r. Twierdzą również, że 70% mieszkańców tej ziemi, czyli wszyscy Ukraińcy, odnieśli się do polskiej władzy z wrogością. Twierdzą, że aż po 1925 r. Wołyń był terenem akcji zbrojnych wymierzonych przeciwko Polakom i polskiemu aparatowi państwowemu. Zapominają jednak, że cały tzw. ruch partyzancki, występujący na terenach powiatów włodzimierskiego, horochowskiego i kowelskiego, był efektem inspiracji ze Wschodu, prowadzonej przez Zakordonnyj Otdiel Komunistycznej Partii (bolszewików) Ukrainy. Gdy tylko władze polskie utworzyły Korpus Ochrony Pogranicza i uszczelnili granicę, działania partyzanckie, które nigdy nie miały większego zasięgu, zostały zahamowane. Nacjonaliści ukraińscy na Wołyniu większych wpływów nie mieli. Ukraińska Wojskowa Organizacja koncentrowała swoją działalność w Małopolsce Wschodniej. Na Wołyniu brakowało jej podglebia. Demokratyczny ustrój II Rzeczypospolitej stworzył też warunki do artykulacji programu społecznego wsi wołyńskiej. W czasie pierwszych wyborów do Sejmu i Senatu, przeprowadzonych jesienią 1922 r., Ukraińcy uzyskali 12 mandatów poselskich i 5 senatorskich – ziemianie i urzędnicy polscy ani jednego! Działali oni jednak w ramach polskiego prawa, nie naruszając polskiej integralności. Jak pisze przyjazny Ukraińcom Włodzimierz Mędrzecki: „Jedyną, ale mającą kolosalne znaczenie okolicznością, sprzyjającą budowie i funkcjonowaniu polskiego aparatu państwowego na Wołyniu, był brak ruchów społecznych i politycznych



do wywierania stałego i zdecydowanego nacisku i uzyskania wpływu na działania instytucji samorządowych i oświatowych. Dzięki temu po zakończeniu procesu budowy systemu państwowego administracja była najważniejszą siłą na Wołyniu, zdolną do niszczenia pojawiających się dla niej zagrożeń. Jej pozycja została ugruntowana w wyniku przewrotu majowego, który w swych konsekwencjach doprowadził do odejścia od wielu zasad demokratycznych i wzrostu znaczenia politycznego w całej Rzeczypospolitej” (Włodzimierz Mędrzecki, *Województwo wołyńskie 1921–1939. Elementy przemian cywilizacyjnych, społecznych i politycznych*). Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy została przez władze polskie na Wołyniu przyduszona. Większość działaczy aresztowano. 124 osoby zostały skazane w tzw. procesie włodzimierskim na wieloletnie wyroki za przygotowywanie powstania, które miało wybuchnąć w powiecie w 1925 r. Podobny proces odbył się w Łucku w 1934 r.

Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów starała się zdobyć na Wołyniu przyczółki, ale miała bardzo utrudnione zadanie, bo władze polskie nie zgadzały się na tworzenie na Wołyniu instytucji społecznych i gospodarczych pochodzących z Małopolski Wschodniej. One zaś stanowiły główne rozsądki ukraińskiego nacjonalizmu. Gdy na czele OUN stanął Stefan Bandera, chciał „ubojowić” Wołyń – dodać Ukraińcom ducha bojowego. W 1935 r. chciał zacząć tworzyć tam tzw. „zielone oddziały OUN”, złożone z członków OUN zagrożonych aresztowaniem, których działalność została wykryta przez polską policję. Bandera liczył, że na ich funkcjonowanie pieniądze wyłoży niemiecki wywiad, zainteresowany destabilizacją sytuacji na Kresach Rzeczypospolitej. Aresztowanie Bandery po zamachu na ministra Pierackiego uniemożliwiło realizację tych planów.

W 1937 r. OUN podjęła próbę stworzenia pierwszego partyzanckiego oddziału, ale polska policja szybko go zlikwidowała. Nacjonalisci ukraińscy nigdy jednak nie zrezygnowali ze zdobycia wpływów na Wołyniu. W 1939 r. zaczęli się przygotowywać do antypolskiego powstania w momencie ataku Niemiec na Polskę. Podpisanie układu Ribbentrop–Mołotow sprawiło, że przybrało ograniczone formy. Ukraińscy nacjonalisci wykorzystali je jednak do gromadzenia broni. Ukraińcy zdobywali ją, napadając na pojedynczych polskich żołnierzy, a także ich mniejsze grupy. Broń tę starannie melinowali w specjalnych magazynach, by wykorzystać w odpowiednim czasie.

Wiedząc, że sowietci będą ścigać nacjonalistów, kierownictwo OUN zdecydowało się w październiku 1939 roku na ewakuację z terenu okupacji radzieckiej swoich działaczy, aktywistów i zwolenników. W sumie z Wołynia i Małopolski Wschodniej uciekło do Generalnego Gubernatorstwa około 30 tysięcy ludzi. Głównie młodych, którzy bali się nie tylko aresztowania, ale powołania do Armii Czerwonej. Kapitał ten starali się zagospodarować banderowcy, czyli frakcja OUN, na czele której stanął Stepan Bandera. Frakcja ta w swoich dokumentach programowych, zwłaszcza zaś w takim, jak *Walka i działalność OUN w czasie wojny*, zakładała likwidację wrogich mniejszości narodowych, czyli Moskali, Polaków i Żydów.

Dokument ten zapowiadał: „Nasza władza będzie straszliwa dla naszych przeciwników. Terror dla wrogich obcych i naszych zdrajców”. W ulotkach, które banderowcy chcieli rozpowszechnić na Ukrainie, były takie hasła: „Ukraina dla Ukraińców”, „Ukraińska własność w ukraińskie ręce”. Szczególnie ważnym było hasło: „Chłopska Ukraina zdobywa miasta i zabija wrogów Ukrainy”. Wódz banderowców, czyli Stepan Bandera, liczył, że rewolucję narodową będzie mógł przeprowadzić zaraz po uderzeniu Niemców na ZSRR.

Niemcy stanęli jednak w poprzek planów Bandery. Nie zgodzili się na powołanie ukraińskiego rządu i utworzenie państwa ukraińskiego. Aresztowali Bandere i część przywódców frakcji. Rewolucja musiała poczekać. Została tylko odłożona. Banderowcy czekali tylko na odpowiedni moment, by zacząć realizować swój program. Postanowili zacząć od Wołynia. Zaskoczyło to tamtejszych Polaków. Na tym obszarze OUN nie miała wciąż zbyt dużych wpływów. Ich twierdzą i regionem, w którym na ukraińskich wsiach komórki OUN sprawowały rząd dusz, była Małopolska Wschodnia. Dobrze zrozumieli jednak lekcję z 1941 r., kiedy to Niemcy aresztowali tzw. ukraiński rząd, a także około dwóch tysięcy członków OUN Bandery, których część wystawi do obozów koncentracyjnych, a część od razu rozstrzelali.

Małopolska została przyłączona do Generalnego Gubernatorstwa. Stacjonowały tam też poważne niemieckie siły wojskowe i policyjne. Niemcy najwyczałniej nie życzyli sobie żadnych wystąpień ukraińskich w Małopolsce i niedwuznacznie dawali nacjonalistom do zrozumienia, że wystąpią przeciwko nim i je zduszą. Siła ludności polskiej w Małopolsce Wschodniej była też znacznie większa niż na Wołyniu. W niektórych gminach czy nawet w powiatach ludność polska stanowiła połowę mieszkańców.

Na Wołyniu sytuacja była zupełnie inna. Ludność ukraińska zdecydowanie tu dominowała. Polacy w całym regionie stanowili około 15%, a Ukraińcy 64%. Na wsiach w gminach odsetek Ukraińców był jeszcze wyższy. Społeczność ukraińska była też, w porównaniu z polską, uprzywilejowana przez Niemców. Całą swą władzę na Wołyniu oparli o administrację ukraińską i ukraińską

policję pomocniczą. W sumie na Wołyniu było 12000 ukraińskich policjantów, podczas gdy siły niemieckie liczyły 1400 ludzi. Niemcy obsadzili tylko dwa główne miasta – Równe i Łuck – i linie komunikacyjne. Teren był wolny od okupantów i władzę mógł brać w ręce, kto tylko chciał.

Administracja ukraińska, mająca do dyspozycji policję ukraińską, organizacyjnie związaną z OUN, realizując niemieckie zalecenia, starała się także tępić ludność polską i ograniczać jej samoorganizowanie się. Musiała ona m.in. dostarczać kontyngenty ludzi wywożonych na przymusowe roboty do Niemiec. Typowała zawsze trzy razy więcej Polaków niż Ukraińców. Chociaż ze statystyk ludności wynikało, że powinno być dokładnie odwrotnie. Ukraińska administracja, kierując Polaków na roboty, brała też pod uwagę rozpoznanie ukraińskiej policji, która chciała pozbyć się z terenu wszystkich tych, którzy potencjalnie mogli być członkami polskiej konspiracji.

Ukraińska policja starała się zwalczać rodzące się polskie podziemie nie tylko przez wywózki czy aresztowania. Nieustannie prowadziła m.in. akcję poszukiwania broni wśród polskich mieszkańców wsi. Na wsiach praktycznie każdy wiedział, kto jest kim i co robił. Jeżeli jakiś Polak zbierał broń po przejściu frontu, którą porzucili żołnierze, to jego sąsiad Ukrainiec wiedział o tym doskonale. Ukraińscy policjanci szukali nie tylko broni wojskowej, ale także myśliwskiej. Odwiedzali myśliwych, pracowników służby leśnej, a nawet znanych im kłusowników. Jest wiele relacji świadków to potwierdzających.

W 1942 r. ukraińscy nacjonaliści na Wołyniu związani z frakcją OUN Bandery zaczęli też tworzyć własne oddziały zbrojne. Wcześniej w terenie mieli tylko bojówki. Z ich zachowań było wiadomo, że szykują się do rozprawy z Polakami. Niemcy rękami ukraińskich policjantów w 1942 r. dokonali mordu ludności żydowskiej w gettach. Po przeprowadzeniu eksterminacji Żydów ukraińscy policjanci wprost zaczęli mówić, że teraz trzeba to samo zrobić z Polakami! To oni zresztą dokonali pierwszego masowego mordu na ludności polskiej 13 listopada 1942 r. w Obórkach w powiecie łuckim, którego ofiarą padło 37 osób narodowości polskiej, jedna Ukrainka i jedna Żydówka. Mord ten można uznać za swoistą zbrodnię

treningowo-instruktażową. Jego scenariusz wielokrotnie był powtarzany potem w kolejnych masakrach na ludności polskiej na Wołyniu.

OUN, przymierzając się do eksterminacji Polaków, dzięki policji ukraińskiej wiedziała też, że polska konspiracja na Wołyniu, w odróżnieniu od tej funkcjonującej w Małopolsce Wschodniej, jest słaba i niezorganizowana. Był to w dużej mierze rezultat pierwszej sowieckiej okupacji. Polska konspiracja związana ze Służbą Zwycięstwa Polsce – Związkiem Walki Zbrojnej zaczęła się tworzyć bardzo szybko, bo już w grudniu 1939 r. powstała Komenda Okręgu. Sowietkie służby bezpieczeństwa bardzo szybko ją zinfiltrowały i rozpracowały. Gdy chciała ona zacząć realnie działać i dokonać aktów dywersji, sowieci błyskawicznie uderzyli, aresztując niemal wszystkich konspiratorów. Większość została zamordowana lub pojechała na „białe niedźwiedzie”.

Nie to jednak było najgorsze, choć z punktu widzenia aresztowanych stanowiło tragedię! Sowietci przeprowadzili na Wołyniu akcję deportacji ludności polskiej, a raczej jej najbardziej wartościowego elementu, który z natury swojej stanowił element kierowniczy. Wywożono przede wszystkim inteligencję, a zwłaszcza oficerów i podoficerów rezerwy, nauczycieli, leśników, pracowników administracji państwowej itp. W sumie z rodzinami sowieci deportowali na Wschód około 40 000 osób. Dokładnej liczby żaden badacz nie ustalił po dziś dzień i już zapewne nie ustali. Reasumując, sowieci najwycyzejnie pozbawili Polaków warstwy przywódczej. To bardzo utrudniło organizowanie polskiej samoobrony.

Być może, gdyby nie te deportacje, ofiar polskich w wyniku ukraińskiego ludobójstwa byłoby mniej. Polacy stawiliby skuteczniejszy i bardziej zorganizowany opór. Ukraińskich działaczy NKWD też prześladowało, ale nie w takim procencie jak Polaków. Znaczna część wołyńskich działaczy OUN uciekła przed sowieckimi represjami do Generalnego Gubernatorstwa pod opiekę niemieckiego okupanta. Polacy z Wołynia nie mieli gdzie uciekać. OUN-owcy, którzy uciekli, wkroczyli później z armią niemiecką w lipcu 1941 roku na Wołyń w tzw. grupach pochodowych; to oni tworzyli później współpracującą z Niemcami ukraińską administrację.

Wielu ukraińskich nacjonalistów przecho-  
wało się na Wołyniu w inny sposób. Udawali  
komunistów, członków milicji ochotniczej itp.  
Chodzili z czerwonymi opaskami na ramie-  
niu i byli bardzo „ważni”. Gdy sowieci uciekli  
i wkroczyli Niemcy, natychmiast zdjęli czer-  
wone opaski i założyli sino-żółte lub czar-  
no-czerwone i byli jeszcze „ważniejsi”, bo  
od razu i bez strachu zaczęli odgrażać się  
Polakom. Nie jest wykluczone, że w 1939 r.  
część z nich była członkami Komunistycznej  
Partii Zachodniej Ukrainy.

Polacy nie zdawali sobie sprawy, że od  
1942 r. OUN, przygotowując na Wołyniu  
czystkę etniczną, rozpoczęła propagandow-  
we przygotowania. Z Małopolski Wschodniej  
przybyło na Wołyń około tysiąca agitatorów,  
którzy odwiedzili każdą miejscowość za-  
mieszkałą przez Ukraińców. Uświadamiali  
im, że Polacy to najwięksi wrogowie Ukra-  
ińców, z którymi nie wolno się przyjaźnić  
i trzeba zerwać wszystkie kontakty. Posługi-  
wali się przy tym nie jakimiś dziełami ukra-  
ińskich nacjonalistów, ale poezją ukraińską,  
m.in. Tarasa Szewczenki, propagującą tra-  
dycje hajdamackie. Doskonale wiedzieli, że  
Szewczenko stał się dla Ukraińców symbo-  
lem ich dążeń wyzwoleniczych. Jego poezja  
miała większą siłę oddziaływania niż naj-  
lepiej napisana odezwa, wzywająca do walki  
o wyzwolenie Ukrainy od uciskających ją  
Lachów i Moskali.

Agitatorzy OUN uświadamiali też chłopów  
ukraińskich, że dopóki choć jeden Polak bę-  
dzie żył na ukraińskiej ziemi, to nigdy nie  
będzie samostijnej Ukrainy! Na zebraniach  
stałe powtarzano hasła: „Ukraina dla Ukra-  
ińców”, „Ukraina ma być czysta jak szklanka  
wody”. Propagandę banderowską zaczęto  
też uprawiać w wielu cerkwiach prawosław-  
nych, nadając jej niemal sakralny wymiar.  
Popi w trakcie antypolskich kazań koniecz-  
ność usunięcia Polaków z Wołynia podbu-  
dowywali ewangelicznymi przypowieściami  
o pszenicy i kąkolu, z których wynikało, że  
Polacy są tym kąkolem, który trzeba wyrwać  
i spalić, oddzielając od Ukraińców.

Agitatorzy banderowscy niewątpliwie  
stworzyli doskonale podglebie dla zbrodni  
wołyńskiej. Stąpili hamulce moralne. Nie  
można też zapominać, że wiosną 1943 r.  
do oddziałów OUN, które przekształciły się  
w UPA, zdezerterowało około 5000 ukra-  
ińskich policjantów, w większości samych

zwyrrodnialców, zaprawionych w bestialskim  
mordowaniu Żydów. Każdy z nich pod nie-  
mieckim nadzorem zabił, jak pisze Cze-  
sław Partacz, od kilku do kilkudziesięciu  
Żydów. Oni stanowili podstawową kadrę  
UPA, uczącą poborowych zbrodniczego rze-  
miosła. Przygotowali duże zastępy katów!  
Wystarczył rozkaz, by zbrodnicza machi-  
na ruszyła. Wydał go Dmytro Kłaczkiwskij  
„Kłym Sawur”. Wiedział, że ludność polska  
jest praktycznie bezbronna.

Nikt nie mógł ani też nie chciał przeciw-  
działać, a potem nie był w stanie powstrzy-  
mać ludobójstwa na społeczności polskiej  
Wołynia i w końcu całej Małopolski Wschod-  
niej.

---

PS Czytelnicy, którzy chcą poznać szczegóły  
tamtej historii, mogą sięgnąć do mojej naj-  
nowszej publikacji *Mord na Wołyniu. Prze-  
milczane ludobójstwo na Polakach*.

## Krzysztof Kołtun Bohaterom

Zostanie po nas  
– może kamień szary,  
spod dłuta, nocą  
w ciche zapomnienia  
w orły ciosany  
z znamionami krzyża,  
na każdym z skrzydeł, blizn  
cierpień losu.  
Obce nazwisko i niemodne imię  
– niewiele powie,  
młodym pokoleniom.  
Przejdą, popatrzą na mchu  
podwaliny  
– bez anielskiego pozdrowienia.  
Głową nie kiwnie,  
nie pokrzepi ducha.  
A nam wmawiali z ksiąg  
i ambon złotych  
– kamienie wołać będą za was!  
Kamień zimny –  
łzami nie przemówi.  
Pokamienieją orły i zastugi,  
tylko spod śniegu  
w styczniowym żywiole  
– piasek zaświeci.

## KRWAWY LIPIEC 1943

# 80. rocznica rzezi wołyńskiej

11 lipca 2023 roku minęło 80 lat od tzw. krwawej niedzieli, będącej apogeum ukraińskich mordów na Polakach mieszkających na Wołyniu.

W lipcu w całej Polsce odbyły się obchody 80. rocznicy rzezi wołyńskiej: nabożeństwa, marsze, konferencje, wystawy. 11 lipca prezydenci Polski i Ukrainy Andrzej Duda i Wołodymyr Zełenski spotkali się przed katedrą rzymskokatolicką w Łucku i wzięli udział w mszy świętej w intencji ofiar. W uroczystościach uczestniczyli także przedstawiciele trzech Kościołów: rzymskokatolickiego, greckokatolickiego i prawosławnego. Mszę odprawili abp Stanisław Gądecki, zwierzchnik Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego abp Światosław Szewczuk oraz biskup łucki i przewodniczący episkopatu Ukrainy Witalij Skomarowski. Obecny był także zwierzchnik Prawosławnej Cerkwi Ukrainy Epifaniusz. Przed mszą obaj prezydenci oddali hołd ofiarom rzezi, stawiając zapalone znicze przed upamiętniającymi je symbolicznymi krzyżami, umieszczonymi przed ołtarzem głównym świątyni.

„Razem oddajemy hołd wszystkim niewinnym ofiarom Wołynia! Pamięć nas łączy! Razem jesteśmy silniejsi” – napisała na Twitterze Kancelaria Prezydenta RP. „Razem oddajemy hołd wszystkim niewinnym ofiarom Wołynia; pamięć nas łączy, razem jesteśmy silniejsi” – napisał na Telegramie Wołodymyr Zełenski.

### SKOORDYNOWANA AKCJA

Był 11 lipca 1943 roku. W niewielkim wołyńskim miasteczku Poryck miejscowi Polacy, jak co tydzień, zebrali się w kościele na niedzielnej mszy odprawianej przez ks. Bolesława Szawłowskiego. Przyszło sporo ludzi, w tym całe rodziny z dziećmi. Była piękna, słoneczna pogoda. Nic nie zapowiadało tragedii. Suma o godz. 11 już się rozpoczęła, gdy ktoś krzyknął: „Ukraińcy-upo-

wcy są przed kościołem!”. Rzeczywiście, świątynia została otoczona przez uzbrojony oddział ukraiński. Napastnicy otworzyli ogień z broni maszynowej, strzelając do środka przez drzwi i okna, wrzucali też do kościoła granaty, masakrując zgromadzonych tam ludzi. „Zrobił się popłoch, ogromny krzyk i lament. Ludzie biegali tam i z powrotem, padali, kłękali, modlili się i krzyczeli, a najczęściej było słycać krzyki małych dzieci” – opisywał świadek tych wydarzeń Ryszard Jezierski. Gdy wszystkie ofiary leżały już na posadzce, część Ukraińców weszła do środka i rozpoczęła dobijanie rannych. Krwawy mord w świątyni trwał około pół godziny. Splądrowano zakrystię, zabierając kielichy i monstrancje. Następnie zbrodniarze wnieśli do kościoła pocisk artyleryjski i zdetonowali go. Na końcu gmach został obłożony słomą i podpalony; nie spłonął tylko dzięki gwałtownej burzy, która rychło się rozpętała.

„Dużo ludzi leżało w kałużach krwi, inni kłęczeli, jeszcze inni wołali o pomoc. Widziałem, jak jedni pomagali drugim, by się wydostać spod ciał nieżyjących. Jeszcze inni wynosili na rękach swoich zmarłych lub rannych” – wspominał Jezierski, który przeżył masakrę. W kościele zginęło około 100 osób, w tym ksiądz Szawłowski i trzech ministrantów. W tym samym czasie inne grupy napastników zabijały poryckich Polaków, którzy zostali w domach. Oczyszczenie miasteczka ze wszystkich polskich mieszkańców zajęło Ukraińcom trzy dni. Śmierć ponieśli wtedy także ci, którym udało się ująć z kościoła.

Tak mówił o tym jeden z ukraińskich uczestników masakry Mykoła Kwitkowskij: „11 lipca 1943 roku rano razem z grupą UPAliczącą około 20 ludzi wszedłem w czasie mszy św. do kościoła w m. Pawłowka (Poryck) iwanickiego rejonu, gdzie w ciągu trzydziestu minut, wraz z innymi, zabiliśmy obywateli narodowości polskiej. W czasie tej akcji zabito 300 ludzi, wśród których



Dowódcy oddziałów UPA

były dzieci, kobiety i starcy. Po zabiciu ludzi w kościele w Pawłowce udałem się z grupą do położonej w pobliżu wsi Radowicze oraz polskich kolonii Sadowa i Jeżyn, gdzie wziąłem udział w masowej likwidacji ludności polskiej. W wymienionych koloniach zabito 180 kobiet, dzieci i starców. Wszystkie domy spalono, a mienie i bydło rozgrabiono [...]”.

Tego dnia podobnych napadów oddziały Ukraińskiej Powstańczej Armii wspierane przez ukraińską ludność dokonały na całym Wołyniu. Skoordynowany atak został wcześniej zaplanowany i przygotowany. Moment wybrano nieprzypadkowo. Zebranych na niedzielnych mszach Polaków łatwo było otoczyć i wymordować. Grupy UPA po zabiciu mieszkańców jednej miejscowości miały szybko przemieszczać się do następnej i kontynuować eksterminację. Na miejscu pozostawały mniejsze oddziały, które dobijały rannych, wyłapywały ukrywających się i rabowały mienie. W ten sposób, 80 lat temu, 11 lipca 1943 roku zaatakowano ponad 100 miejscowości, a w całym lipcu – 520. Zamordowano wtedy łącznie ponad 11 000 Polaków. Wcześniej podobne skoordynowane akcje eksterminacyjne UPA urządziła w Wielki Tydzień (mówiono: „Wielkanoc będzie czerwona od krwi Polaków”), a później w sierpniu 1943 roku Wołyń, gdzie Polacy mieszkali od wieków, zamienił się dla nich w piekło.

### **PIERWSZY NAPAD**

Decyzję o usunięciu polskiej ludności z Wołynia kierownictwo Organizacji Ukraińskich Nationalistów podjęło na początku 1943 roku. Według przyjętych ustaleń, Polaków miano z Wołynia wysiedlić, a tych, którzy by się opierali – zlikwidować. W zamierzeniu Wołyń i inne ziemie zachodnio-ukraińskie miały się stać jednolite etnicznie.

Miało się to przydać po wojnie podczas ustalania granic przyszłej niepodległej Ukrainy i ewentualnych plebiscytów lub rozmów pokojowych. Kierując się skrajnie nacjonalistyczną ideologią, przywódcy OUN sięgnęły po krwawe metody: czystkę etniczną i ludobójstwo. Wielu badaczy podkreśla, że wcześniej Ukraińcy uczestniczyli w szeregach niemieckiej policji pomocniczej w przeprowadzonym przez Niemców na Kresach holokaucie. Biorąc czynny udział w mordowaniu Żydów, na własne oczy zobaczyli, że można dokonać fizycznej likwidacji całego narodu. Stąd planowane pierwotnie wypędzenie Polaków z Wołynia przemieniło się łatwo w eksterminację. Od grudnia 1942 roku rozpoczęły się ukraińskie napady na pojedynczych Polaków, głównie zatrudnionych w administracji (nadleśniczych, zarządców folwarków, sołtysów). Z czasem stawały się one coraz częstsze, by wreszcie na początku 1943 roku przybrać charakter masowy.

Za pierwszą masową zbrodnię UPA uznaje się wymordowanie 9 lutego 1943 roku mieszkańców osady Parośla I w powiecie Sarny. Rano tego dnia pojawiła się tam sotnia banderowców pod dowództwem Hryhoriya Perehijniaka, notabene skazanego przed wojną za zabójstwo sołtysa-Polaka. Mieszkańcy wsi nie stawiali oporu – w niewielkiej kolonii (26 zagród, około 130 mieszkańców) nie było broni ani samoobrony. Przybysze udawali partyzantów sowieckich i rozeszli się po domach, żądając podania obiadu. Nikt nie odmawiał – nikt nie chciał opierać się partyzantom uzbrojonym w karabiny, siekiery i noże zatknięte za pasy.

„Po obiedzie, około godziny 15, do sypialni wszedł dowódca z miną bardzo zadowoloną, za nim kilku bandytów rozebranych do koszul, roześmianych. Dowódca powiedział nam: – Musicie się położyć, my was powiążemy, żeby Niemcy was nie skrzywdzili za przetrzymywanie i karmienie partyzantów” – wspominał świadek wydarzeń Witold Kołodyński. Rozkaz miał sens, bo Niemcy surowo karali za współpracę z partyzantką, mieszkańcy Parośli położyli się więc na ziemi i dali się powiązać. Tak unieruchomionych Ukraińcy zdradziecko wymordowali siekierami i nożami, nie wyłączając kobiet, dzieci i niemowląt. Szczególnie okrutnie zamordowano komendanta miejscowego Związku Strzeleckiego Walentego Sawickiego.



Zginęło 149 osób, czyli cała ludność kolonii wraz z przypadkowo przebywającymi w niej osobami. Przeżyło 12 ciężko rannych, w tym 12-letni wówczas Witold Kołodyński (uderzony obuchem siekiery w głowę) i jego siostra Lila. Po tym napadzie wieś przestała istnieć. Dziś w miejscu, w którym była kiedyś polska osada, rośnie sosnowy las. Tak rozpoczęła się rzeź wołyńska. Zbrodnię w Parośli (wraz z wcześniejszą akcją we Włodzimierzcu) ukraińscy historycy przedstawiają jako pierwszą bojową „akcję UPA”.

### NIEZWYKŁE OKRUCIEŃSTWO

Wyczyn sotni Perehijniaka w Parośli przekonał dowództwo UPA, że jej oddziały są zdolne do samodzielnego przeprowadzania czystek etnicznych. Poza tym upowcom łatwiej było atakować polskie wsie i mordować bezbronnych cywilów, niż organizować akcje przeciwko niemieckiej policji czy wojsku. Szybko posypały się więc kolejne napady i masakry. Znaczony mordami i pożogą krwawy szlak UPA wiódł przez Dederkały, Sadki, Bołożówkę, Suraż, Grabinę, Lachów, Dębowy Ostrów, Zalesie, Zaulek, Hranie, Brzezinę i setki innych miejscowości. W przypadku napadów na większe kolonie polskie UPA często wykorzystywała element zaskoczenia – atakując w nocy, o świcie, podczas prac gospodarskich czy niedzielnej mszy, kiedy mieszkańcy byli skupieni w jednym miejscu. Miejscowość była otoczana kordonem uzbrojonych w broń palną członków UPA, których zadaniem było strzelanie do uciekających. Pozostali napastnicy, wyposażeni w siekiery, noże, sierpy, widły, kosy i inne narzędzia gospodarskie, rozbiegali się po osadzie i mordowali mieszkańców, często ich przy tym torturując. Ofiarami padali Polacy różnej płci i wieku, a także Ukraińcy, którzy pomagali Polakom, wżenili się do polskich rodzin bądź przeszli z prawosławia na katolicyzm. Teren wsi był starannie przeszukiwany, a na uciekinierów urządzano oblawy w okolicznych lasach i polach. Mienie zabitych Polaków rabowano i wywożono, a ich domy podpalano. Napadano na niewielkie kolonie, większe wsie, a nawet miasteczka.

Tak badacz zbrodni wołyńskiej, prof. Grzegorz Motyka, opisuje w swojej książce *Ukraińska partyzantka 1942–1960. Działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii* atak



na wieś Kupowalce w dniu 16 lipca 1943 roku: „Upowcy wjechali do wsi na furmankach z kilku stron jednocześnie. Grupy partyzantów przeszukiwały wyznaczone obejścia, zabijając ludzi w domach, ogrodach, na polach. Strzelanina i krzyki wywoływały paniczną ucieczkę. Upowcy »przeczesałi« także zboże, szukając zbiegów. Następnego dnia operację »czyszczącą« powtórzono. Łącznie zamordowano tam ok. 150 Polaków”. Taki scenariusz powtarzał się w kolejnych polskich miejscowościach.

Również w lipcu zaatakowano kościół w Kisielinie. Ukraińcy najpierw otworzyli ogień przez otwarte drzwi do wiernych zgromadzonych na niedzielnym nabożeństwie. Część wiernych uciekło i zabarykadowało się w murowanej plebanii. Pozostałe 80 osób napastnicy pojмали, kazali im się rozebrać do naga, po czym rozstrzelali koło dzwonnicy, a ciała wrzucili do rowu. Gdy atakującemu plebanię oddziałowi UPA udało się rozbić zabarykadowane drzwi, Polacy uciekli na piętro i zniszczyli schody, potem bronili się rzucając w napastników kawałkami rozbitego pieca i cegłami wyrwanymi z murów. Odrzucali też granaty wrzucane przez Ukraińców. Bandyty chcieli podpalić budynek, ale ogień się nie rozprzestrzenił. Po 11 godzinach walki, około godziny 22, upowcy zrezygnowali i odeszli z Kisielina.

Specyficzną cechą wołyńskich mordów było ich niezwykle wręcz okrucieństwo. Działania UPA z 1943 i 1944 roku przypominały krwawe wydarzenia XVII-wiecznych powstań kozackich i buntów chłopskich na Ukrainie, podczas których bez litości i z najwyższym okrucieństwem mordowano polską szlachtę, mieszczan i Żydów. Upowcy bardzo często torturowali swoje ofiary, a stosowane przez nich okrucieństwa stopniem bestialstwa budzą zadziwienie. Okrucieństw nie oszczędzano kobietom i dzieciom. Tak pisał o tym w wydanych po wojnie wspomnieniach Apolinary Oliwa, komendant polskiej samoobrony we

wsia Rafałówka: „Ze zgliszcz wyciągnęliśmy nadpalone zwłoki kobiety, która była matką trojga dzieci. Niedaleko domu znaleźliśmy zakrwawioną piłę do drzewa. Zwłoki były przepołowione i nagie. Bandyci przecięli ją piłą i rzucili w ogień. O tym, że przecinali ją żywą, wskazywał nie dający się opisać wyraz męki na jej twarzy...”. Do udziału w zbrodniach upowcy przymuszali miejscową ludność ukraińską. Ci, którzy się sprzeciwiali, sami byli zabijani. Amok mordowania był tak silny, że zdarzały się zbrodnie popełniane w rodzinach. „Bywało, że syn nacjonalista zabijał ojca, który śmiało przeciwstawił się bandyckim praktykom syna; bywało, że mąż Ukrainiec mordował żonę Polkę” – pisał Oliwa.

Zabijaniu towarzyszyło niszczenie śladów polskiej obecności na Wołyniu. Palono dwory, kościoły i kaplice, burzono przydrożne kapliczki i kurhany, a nawet wycinano ogrody i parki. Oprócz Polaków banderowcy mordowali także ukrywających się Żydów, Cyganów, Rosjan, Ormian oraz mieszkających od dawna na Wołyniu osadników czeskich i niemieckich. Nie wszyscy Ukraińcy dali się porwać szałowi zabijania. Zdarzało się, że ukraińscy sąsiedzi ostrzegali Polaków przed mającym

nastąpić atakiem, niekiedy też ukrywali ich w swoich domach czy obejściach. Wymagało to nie lada odwagi, pomoc Polakom UPA karała bowiem bezwzględnie śmiercią.

### **POLSKA SAMOOBRONA**

Polskie podziemie po początkowym zaskoczeniu przystąpiło do organizowania samoobrony. Tworzono silne bazy obronne w dużych wsiach i miasteczkach z wykorzystaniem umocnień, okopów i zasieków. Do baz ściągano polską ludność z mniejszych miejscowości i przysiółków. W wioskach tworzono uzbrojone straże, które pełniły dzienne i nocne warty. Z baz dokonywano wypadów odwetowych przeciwko oddziałom UPA i ukraińskim wioskom. Problemem był niedostatek broni palnej. Pewne jej ilości uzyskano od Niemców, część zdobyto nielegalnie, kupując od żołnierzy niemieckich lub węgierskich, którzy w tym czasie stacjonowali na Wołyniu, proszono też o pomoc partyzantkę sowiecką. Gdy brakowało karabinów, uzbrajano się w siekiery, widły i piki. Do historii przeszły udane obrony polskich baz w Przebrażu (kierowana przez Henryka Cybulskiego) i Rafałówce (kierowana przez wspomnianego tu już Apolinarego Oliwę), a także dramatyczne oblężenie Huty Stepańskiej. Polskie podziemie podjęło też próbę nawiązania rozmów ze stroną ukraińską w celu ukrócenia rzezi. 10 lipca 1943 roku na negocjacje udał się pełnomocnik Okręgowej Delegatury Rządu Zygmunt Rumel i przedstawiciel Okręgu Wołyńskiego AK Krzysztof Markiewicz. Ukraińcy nie byli jednak zainteresowani rozmowami: obydwoj polscy wysłannicy zostali zamordowani.

Zwłoki pomordowanych mieszkańców wsi Lipniki w powiecie kostopolskim



Część badaczy krytycznie ocenia postawę polskiego podziemia, a zwłaszcza dowództwa Armii Krajowej. Po pierwsze AK, mimo wyraźnych sygnałów, nie zdołała przewidzieć antypolskiej akcji OUN i UPA, po drugie zaś nie zdołała zorganizować skutecznej obrony polskiej ludności. Komenda Główna uważała, że zadaniem priorytetowym jest przygotowanie się do walki z Niemcami, a zagrożenie ukraińskie jest drugorzędne. Na tym tle dochodziło do konfliktów między miejscowym delegatem rządu Kazimierzem Banachem „Linowskim” a miejscowym dowódcą AK płk. Kazimierzem Bąbińskim „Luboniem”. Ten pierwszy domagał się aktywniejszej obrony polskiej ludności, ten drugi uważał, że nie takie jest zadanie podziemnego wojska.

Po sukcesie akcji na Wołyniu UPA rozpoczęła masowe mordy na Polakach także na obszarze Galicji Wschodniej. Ich eskalacja nastąpiła na wiosnę 1944 roku. Zbrodni dokonano m.in. w Podkamieniu (100–150 zabitych), Berezowicy Małej (130 ofiar), Korosciatynie (165 ofiar) i wielu innych miejscowościach. Oprócz UPA zbrodni na Polakach dopuszczali się Ukraińcy z 4. pułku policyjnego dywizji SS Galizien (m.in. w Hucie Pieniackiej – około 1000 ofiar, w Chodaczkowie Wielkim – 832 ofiary). Według szacunków na terenie dawnej Galicji Wschodniej zamordowano 30–40 tysięcy Polaków.

Tak jedną z tamtejszych ukraińskich akcji opisuje w swojej książce *W cieniu Wołynia. „Antypolska akcja” OUN i UPA w Galicji Wschodniej 1943–1945* historyk z Instytutu Pamięci Narodowej dr Damian K. Markowski: „W nocy z 10 na 11 lutego zaatakowano Polaków w Bokowie. Ludność polska stanowiła przed wojną mniej niż jedną trzecią tej dużej wsi, liczącej około 1,4 tysiąca mieszkańców. Część polskich gospodarstw została spalona, z rąk napastników zginęło od 22 do 60 osób, w tym wiele kobiet i dzieci. Napastnicy wjechali do wioski na saniach o godzinie dwudziestej drugiej. Zabijali siekierami i innymi narzędziami gospodarczymi, okaleczając przy tym swoje ofiary. Tylko nielicznych Polaków zabito z broni palnej”.

Ten sam badacz podaje przykład udanej samoobrony polskich mieszkańców. Oto 13 lutego 1944 roku oddział UPA zaatakował Hucisko Brodz-



kie. Akcję realizowała sotnia Mychajły Karpija pseudonim „Czornohora”. Hucisko było jedną z większych baz polskiej samoobrony na tamtym terenie i miało silną załogę złożoną z żołnierzy AK. Polacy nie dali się zaskoczyć i stawili silny opór. „Nпад został zorganizowany według scenariusza wołyńskiego: banderowcy zaatakowali o dwunastej, gdy mieszkańcy wioski i okolicznych przysiółków zgromadzeni byli na sumie. Banderowcy zamierzali wypędzić ludność poza teren zabudowany, aby następnie zlikwidować ją ogniem karabinów maszynowych. Specjalnie ustawiono zresztą niemiecki karabin maszynowy MG-42 na dobrej pozycji strzeleckiej, żeby jego załoga mogła wystrzelać uciekających ze wsi Polaków” – opisuje historyk.

Atak poprzedził pięciominutowy ostrzał zabudowań z moździerza i kaemów. Następnie Ukraińcy ruszyli z trzech stron. Udało im się dotrzeć do pierwszych domów, ale tam zostali powstrzymani ogniem obrońców. Nastąpił impas, walka zaczęła się przedłużać, rosły straty obu stron. Wtedy do Huciska dotarł oddział niemiecki z dwoma samochodami pancernymi, który zaatakował upowców. Ci rozpoczęli odwrót, ale przed odejściem udało im się jeszcze podpalić jeden z pojazdów.



Transport zwłok Polaków zamordowanych przez UPA

W wyniku starcia po stronie polskiej zginęły co najmniej 23 osoby: mieszkańcy osady, członkowie samoobrony i żołnierze AK. Straty upowców wyniosły prawdopodobnie 11 zabitych i sporo rannych. Napad został odparty, ale Polacy, obawiając się powrotu napastników, porzucili wieś i schronili się w Brodach. W Hucisku pozostało jednak około 150 osób, które nie chciały opuszczać swoich domów. Zostały one zamordowane podczas kolejnego ukraińskiego ataku, który nastąpił 20 lutego...

### **HISTORIA BEZ PROPAGANDY**

Antypolska akcja UPA na Wołyniu zaczęła wygasać na początku 1944 roku wraz z wkraczaniem na te tereny Armii Czerwonej. W pierwszych dniach stycznia dowództwo AK zarządziło mobilizację oddziałów partyzanckich na Wołyniu i podjęło decyzję o rozpoczęciu akcji „Burza”. 28 stycznia 1944 roku utworzono 27. Wołyńską Dywizję Piechoty AK (określaną jako największa jednostka partyzancka AK podczas wojny). Oprócz działań przeciwko Niemcom Dywizja przeprowadziła też 16 większych akcji bojowych przeciw oddziałom UPA, usuwając częściowo zagrożenie dla polskiej ludności cywilnej na zachodzie Wołynia. Niemniej główny jej wysiłek wojskowy skierowany był przeciw Niemcom.

Polscy historycy szacują liczbę polskich ofiar akcji UPA na Wołyniu na 50–60 tysięcy osób. Łącznie z ukraińskich rąk miało zginąć w latach wojny (na Wołyniu, w dawnej Galicji Wschodniej, w Lubelskiem i na Polesiu) do 130 000 Polaków. Badacze oceniają też, że w działaniach obronnych i odwetowych strony polskiej miało zginąć na Wołyniu ok. 2–3 tysięcy Ukraińców.

Dziś, po 80 latach od tamtych tragicznych wydarzeń, polskie ofiary ukraińskiego ludobójstwa na Kresach doczekały się pomników, tablic, obelisków. O rzezi wołyńskiej kręcone są filmy dokumentalne i fabularne, wydaje się książki, powstają prace naukowe i popularne, buduje się kolejne pomniki (wbrew pojawiającym się tu i ówdzie absurdalnym głosom – temat Wołynia nie jest w Polsce zakazany). Pod względem badawczym zagadnienie zostało dogłębnie opisane przez historyków.

Natomiast ukraińscy historycy piszący o rzezi wołyńskiej (tam określanej jako „tragedia wołyńska”) twierdzą, że liczba polskich

ofiar jest zdecydowanie zawyżona, wydarzenia z 1943 roku nie były rzezią, tylko wojną polsko-ukraińską, a zabójstwa Polaków były po prostu ludową reakcją na wielowiekowe prześladowania Ukraińców. Polscy badacze podkreślają, że większość historyków ukraińskich umniejsza znaczenie antypolskiej akcji OUN i UPA, obarcza równorzędną odpowiedzialnością obie strony konfliktu, a w skrajnych przypadkach winę przypisuje wyłącznie stronie polskiej. OUN i UPA stały się od pewnego czasu – również za sprawą państwowej polityki historycznej – ważną częścią ukraińskiej świadomości historycznej jako bohaterskie organizacje walczące o wolną Ukrainę zarówno z Niemcami, jak i sowietami. Odrzuca się więc wszelkie elementy, które mogłyby ten nieskazitelny wizerunek zaburzyć. „Pytanie tylko, ile czasu potrzebuje naród, aby raz na zawsze przegnać demony przeszłości i sięgnąć po przyszłość, czerpiąc z wersji historii pozbawionej propagandy” – pyta cytowany tu już dr Damian K. Markowski.

**Tadeusz Śliwiak**

## **Antygonia wołyńska**

i zawędrowała Antygonia na Wołyń  
grzebać Polinika przerzniętego piłą  
i odchyła gazety  
które go przykryły  
i na próbę wystawia swój strach  
i swą miłość

a ty go nie ruszaj  
bo legniesz tu z nim  
przyjdą kruki  
pogrzebią brata po swojemu  
chałup spalonych wiał tu  
kadzidlany dym  
odmówiła różnianiec  
lufa erkaemu

że brat brata powiadasz  
co ty o tym wiesz  
ty znałaś miłość tylko  
nie znasz nienawiści

przed ziemi otwarciem  
białych rąk swych strzeż  
i uciekaj nim wróć o świcie faszyci

# APEL Społecznego Komitetu Budowy Pomnika „Rzeź Wołyńska” w Domostawie

## Szanowni Państwo!

Zwracam się z uprzejmą prośbą o finansowe wsparcie prac związanych ze wzniesieniem w gminie Jarocin pomnika „Rzeź Wołyńska” Mistrza Andrzeja Pityńskiego upamiętniającego ludobójstwo, którego dopuścili się Ukraińcy w latach 1939–1947.

Atutem lokalizacji pomnika w gminie Jarocin jest jego usytuowanie w bezpośrednim sąsiedztwie trasy szybkiego ruchu Via Carpatia (Barwinek–Rzeszów–Lublin–Kuznica Białostocka). Z MOP Bukowa II (Miejsca Obsługi Podróżnych) można będzie przejść bezpośrednio pod pomnik. Niecałe 300 m dzielić będzie miejsce pod pomnik od drogi wojewódzkiej Rzeszów–Lublin.

Pomnik „Rzezi Wołyńskiej” będzie załącznikiem ośrodka dokumentującego losy wsi na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej na wzór Muzeum Martyrologii Wsi Polskich w Michniowie, które dokumentuje losy pacyfikowanych przez Niemców wsi, ale leżących w aktualnych granicach Polski. Zamyśl ten zmaterializował się w projekcie Memoriału Ofiar Ludobójstwa na Kresach Wschodnich. W drugim etapie, po uroczystości odsłonięcia i poświęcenia pomnika „Rzezi Wołyńskiej”, planowana jest budowa mauzoleum, budynku kubaturowego, w którym znajdą się sale ekspozycyjne. W akcie erekcyjnym, który został wmurowany w miejscu, gdzie stanie pomnik, podkreślona została potrzeba dbałości o prawdę historyczną, gdyż na Ukrainie doszło do niesłychanego zakłamywania historii, rozwinięcia państwowego kultu ludobójców, a co najgorsze – edukacji najmłodszych w tym duchu. Pomnik, dla którego od lat nie było miejsca w Polsce, będąc oryginalnym, wstrząsającym dziełem sztuki, z artystyczną precyzją i historyczną wiernością ukazującym prawdę o straszliwym ludobójstwie dokonany przez Ukraińców na ludności polskich Kresów, będzie przestrogą dla przyszłych pokoleń, do czego prowadzić może wyznawanie zbrodniczych ideologii. Memoriał pełnić będzie ogromną rolę edukacyjną nie tylko dla Polaków, lecz także cudzoziemców, w tym Ukraińców, którzy jedynie w ten sposób będą mogli poznać prawdę o tych tragicznych wydarzeniach.

Nie mając wsparcia ze strony rządowej, możemy liczyć tylko na ofiarność ludzi dobrej woli w kraju i za granicą. Także od Państwa zależy, kiedy zrealizujemy w zaplanowanym kształcie nasze zamierzenia. Gmina Jarocin nie wznosi pomnika „Rzeź Wołyńska” tylko dla siebie. Spełniamy długoletnie oczekiwania wielu środowisk patriotycznych w kraju i poza jego granicami.

Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, Okręg 2, wyrażając zgodę na lokalizację pomnika „Rzeź Wołyńska” Mistrza Pityńskiego w gminie Jarocin, podkreśliło szczególnie, że zależy im „aby pomnik »Rzeź Wołyńska« był w pełnym tego słowa znaczeniu darem dla Narodu Polskiego od polskich weteranów ze Stanów Zjednoczonych i Kanady”.

Wesprzeć budowę Memoriału można w dwojaki sposób:

1. wpłatą na konto:

Społeczny Komitet Budowy Pomnika

„Rzeź Wołyńska” w Domostawie

BNP Paribas Bank Polska SA

ul. Kasprzaka 10/16

01-211 Warszawa

numer rachunku bankowego:

95 1600 1462 1894 9205 2000 0001

wpłaty prosimy dokonywać z dopiskiem „darowizna na cele statutowe”.

Dla wpłacających za granicą:

Nazwa organizacji: Społeczny Komitet Budowy Pomnika „Rzeź Wołyńska” w Domostawie

adres: 37-405 Jarocin 150

PL 95 1600 1462 1894 9205 2000 0001

kod SWIFT: PPABPLPK

wpłaty prosimy dokonywać z dopiskiem „darowizna na cele statutowe”.

2. wpłatą na [zrzutka.pl](https://zrzutka.pl/82zxhw) – link dla wpłacających w tej formie: <https://zrzutka.pl/82zxhw>.

Odsłonięcie i poświęcenie pomnika odbędzie się w lipcu 2024 roku.

**Zbigniew Walczak**

*Wójt Gminy Jarocin i zarazem prezes  
Społecznego Komitetu Budowy Pomnika  
„Rzeź Wołyńska” w Domostawie*

Krzysztof Kołtun

## Anioł na moście

Rodzinę dwunastoletniej Gieni Religi z Włodzimierza wojna mocno dotknęła. W 1939 roku skończyło się jej dzieciństwo. Ten czas zwykle niechętnie odchodzi od już dorastających dzieci, choć młoda dziewczyna zaczyna inaczej patrzeć na świat marzeń, to jednak żal ciepłych matczynych rąk.

Mała Gieniusia od zawsze zakochana była w ojcu. Zawsze patrzyła ufnie w oczy, a kiedy spostrzegła jego piękną podoficerską czapkę z orzełkiem, do miłości i podziwu doszła duma. Siedzenie na tatkových kolanach, słuchanie opowieści o rycerzach i zamkach, wreszcie wiosenne i letnie spacerunki do cukierni słodziły uczucie. Zdarzało się, że po kilku

dniach nieobecności młody podoficer Ignacy Religa ps. „Abdel”, zawodowy żołnierz 27 Pułku Artylerii Polowej we Włodzimierzku, wracając ze służby do domu, pukał do drzwi, uchylał je lekko, wołał córnię i nie pokazując się – podawał słodki pakunek. W pudełku z kokardą były wymyślne, lukrowane i kolorowe ciasteczka, pieczone lody i landrynki w kształcie rybek. Dopiero była to uciecha!

Gdy w 1939 roku wybuchła wojna, wszystko się skończyło. Po którymś z kolejnych bombardowań lotniczych, strasznego huku wybuchających bomb w mieście, ojciec nie wrócił do domu. Było dużo płaczu, tłumaczenia, aż zrozumiała, że nie tylko on, ale i inni zabrani zostali do sowieckiej niewoli. Przepadli! Płakała, stojąc w oknie. Bała się wychodzić nawet na ganek. Z zapuchniętymi oczami odmawiała z mamą litanię do Matki Boskiej o powrót taty.

Kolumna wziętych do niewoli polskich żołnierzy eskortowana przez sowieców w utrudzonym marszu zmierzała do Łucka. Mamili ich, że spotkają się tam z polskim generałem. Czy wierzyli? Szli, bo nie mieli innego wyboru.

W pewnym momencie jakiś człowiek pojawił się wśród żołnierzy, obok Ignacego.

– To podstęp, prowadzą was na śmierć. – powiedział.

Tak jak nagle się pojawił, tak znikł w otaczającym go tłumie.

– Uciekaj natychmiast! – usłyszał cichy głos serca, jakby podszept Anioła podpowiadającego – Przy zakręcie drogi kolumna przeformuje się długie szeregi, wtedy uciekaj, nie zauważą cię...

Tak zrobił. Uciekł. Udało się. Czy to był Archanioł Rafał prowadzący i błogosławiący małego Tobiasza na drogę pełną niebezpieczeństw?

Jakim cudem się to udało? Zastanawiał się. Zasłoniły go krzaki, a strudzeni wojskowi natychmiast wypełnili lukę w szeregu. Nikt nie zauważył?! Leżąc w ogrodowym zielisku, długo słuchał tupotu butów niekończącej się kolumny żołnierzy. Serce tak mu biło, jakby ktoś nieustannie rytmicznie walił w bęben. Gdy w końcu przemaszerowali – wszystko ucichło. Nie pamiętała, ile jeszcze leżała w miejscu bez ruchu. W końcu przeczołgał się od drogi w większy gąszcz, a potem, gdy zapadła noc, ruszył ostrożnie w drogę. Bał się, że wojskowy mundur zdekonspiruje go. Gdy napotkał na zagonach dwa strachy na wróble, odart je z ubrania. Potem dziwił się, jak mu to przyszło do głowy? Omijał polskie i ukraińskie wsie. Drogami wciąż przemieszczały się rosyjskie samochody i kolejne grupy zniewolonego polskiego wojska pędzone na wschód. Wrócił do domu szczęśliwie. Po kilku miesiącach okazało się, zawodowi żołnierze z Włodzimierza pognani zostali do obozów w głąb Rosji na śmierć.

Ukrywał się przed policją. Gdy zbliżało się kolejne niebezpieczeństwo, zawsze ktoś go ostrzegał.

– To Anioł – Gienia słyszała nieraz ciche słowa rodziców.

W pokoiku Gieni wisiał prześlizgnięty obraz, podobno od pierwszego miesiąca jej życia, sprezentowany przez szczęśliwych dziadków na jej narodziny. Anioł – z wysokimi skrzydłami i jaśniejącą bielą rozplywającej się szaty – stał nad dziurawą kładką, przez którą niefrasobliwie biegło dwoje dzieci. Strzegł je i ratował. Kiedy podrosła, ktoś z rodziny podpowiedział jej:

– To ty, Gieniusz, z Edziem.



Miała starszego brata Edwarda – zaurozonego wojskiem od dzieciństwa. W czasie wojny, niby „przymłody”, poszedł na ochotnika na front. Konieczność obrony i honor służby wyciągnęły też z ukrycia podoficera Ignacego Religę.

W końcu przyszła straszna zima 1944 roku. Ukraińcy, mszcząc się „za nic”, mordowali Polaków. Kogo tylko złapali w nocy, ginął. Potem spalili ulicę Uściługską. Dom jej dziadków, w którym ukrywało się kilkoro nieznajomych, rodzina i krewni – roztrąskany został granatami w środku nocy. Zginęło osiemnaście osób! Dziadek, Jan Cieśliński, rozerwany granatem, babcia Rabaczyńska i kuzyni spod Włodzimierza – wszyscy zginęli. Widziała tę tragedię, będąc ukryta na strychu, w środku płonącego domu. Znikąd nie było ratunku. Wokół palącego się domu widziała biegające z bronią cienie Ukraińców. Co raz padały strzały. Krztusząc się dymem, skoczyła z drabiny, pośpiesznie schodząc ze strychu. Za nią była jeszcze jedna osoba, jakby podpychając ją ostrożnie, wskazywała wyjście z pożaru. To był ostatni moment, bo nagle cały dom wybuchł ogniem, a po chwili drewniana konstrukcja zaczęła się walić.

Pożar i pobojuwisko na ulicy Uściługskiej wstrząsnęły Włodzimierzem. Mała Gienia była w szoku. Przez pierwsze dni zamykała mocno oczy, nie mogła patrzeć na ulicę, gdzie „ciągle widziała Ukraińców”. Jednak ktoś „niewidzialny” nieustannie ją pocieszał. Gdy po pewnym czasie nieco ochłonęła, była pewna, że „to ten Anioł”. Część obrazu z jej pokoju ocalało w pożarze. Ułożono ją na skrzyni, do której pobierano szczątki spalonych i rozerwanych granatami ciał dziadków i pozostałych Polaków.

Miastem targała wojna. Przez jej młode życie przetoczyło się tyle śmierci i smutku. W głowie wciąż słyszała gwizdzące kule niosące śmierć. Nie widziała swej przyszłości, bojąc się, że ta wojna nigdy się nie skończy. Trzeba było uciekać z Włodzimierza. Przygotowania do ucieczki trwały w tajemnicy, żeby nie lękać Gieni. Nie wiedziała, kiedy i w jaki sposób matka dostała wiadomość od ojca.

– Trzeba uciekać za Bug. Ojciec z wojskiem po zachodniej stronie – tutaj nie ma już życia – mówili w domu.

Skąd wzięły się konie i wóz naładowany pakunkami, dziwnie ukrytymi przed ogniem w ogrodzie – nie wiedziała. Może to Opatrz-

ność i babcine przecucie, że część rzeczy ukryto w komórce na jabłku? Wszystko ocalało.

Ruszyli wozem w ryzykowną drogę. A tu tyle śniegu! Sanie byłyby lepsze. Późną nocą zmęczona zasypiała, gdy nagle wóz się zatrzymał.

– Most. Ukraińcy nie puszcza! – usłyszała słowa mamy. Zatrzęsa się z lęku, po raz kolejny „jakby na tej kładce z obrazu”. Matka, zląwszy z wozu, poszła do strażników, a trzech z nich trzymało konie, nie puszczając dalej – na most. Nie było wyjścia. Zdjęła złoty pierścionek z palca.

– Zwytki? – Ukrainiec uśmiechnął się i machnął ręką.

Nic nie odpowiedziała, rozumiejąc, że wykupiła drogę. Most wąski, bez żadnych barier, przerzucony jak lina przez Bug. Przy wozie młode konie, których matka nie знаła i nigdy wcześniej nie powoziła. Zrywne i wystraszone. Pewnie też napatrzyły się w wojnę na ogień, chrapały ze strachu w ciemności. Noc i najgorsze przecucia tłumily w niej nadzieję. Matka nieustępliwie zmierzała do mostu. Przejazd był straszny. Wóz zachwiał się, woda podmywała koła, a Ukrainiec obdarowany złotem wyraźnie nie chciał pomóc, stojąc obok. Zaczęły się modlić i płakać, wiedząc, że za chwilę runą z wozem do wody. Niebo jakby pojaśniało gwiazdami. Nagle nieznajomy człowiek pojawił się przy wozie. Chwycił lejce, jakby znał konie, i zaczął je poganiać. Nikt nie zamienił z nim słowa. Obcy człowiek nie patrzył na nich, patrzył pod koła i przed siebie. Przejechali! Wóz stanął za rzeką. Nie wiadomo, jak i kiedy nieznajomy zsiadł z wozu i odszedł. Tak tajemniczo, jak się pojawił. Nie było wtedy czasu myśleć, że może to Anioł?! Ten sam, co tatę prowadzonego do niewoli na śmierć ostrzegł na drodze przed Łuckiem?

Niebo gwiaździsto się, noc stała się przychylna i cieplejsza. Prosta droga, wybita snami, aż lśniąca, jak niegdyś smuga widziana w Farze nad Dzieciątkiem. Spełnił się cud ocalenia.

---

PS W 1943 r. na Wołyniu, w czasie ludobójstwa ukraińskiego, obserwowano różne zjawiska. Polakom ukazywały się Anioły, przychodziły duchy przodków, dziwnie zachowywała się przyroda. To fakty pochodzące z przekazów świadków.

**Niewymordowane Anioły na Wołyniu**  
Sandomierz 2023  
Zamów [www.rymacze.pl](http://www.rymacze.pl)

**Piotr Boroń**

## **POMNIK „ORLETA – OBROŃCY LWOWA 1918” STANIE W KRAKOWIE**

**P**o pięciu latach od powzięcia zamiaru przez grupę inicjatorów, po licznych porażkach i zawodach, po pozyskaniu nowych sojuszników, po staraniach z nowym zapalem... Komitet Budowy Pomnika „OrleTA – Obrońcy Lwowa – 1918 r.” może odnotować sukcesy uzyskania lokalizacji pomnika w Krakowie oraz wyłonienia w drodze konkursu projektu, który będzie z poprawkami realizowany. To moment, w którym warto opublikować dla potomnych źródła i opisać boje o pomnik, by nie przepadły w pomroce dziejów świadectwa jego powstawania. A może też – jak to bywa w atmosferze euforii odsłaniania i poświęcania pomnika – by nie zapomniano, jak trudno było go postawić w Krakowie, który chlubi się przyjaźnią ze Lwowem i dziedziczeniem wielu jego zasług dla polskości. Pamiętajmy jednak, że artykuł powstaje, gdy jeszcze wielu – nawet życzliwych – twierdzi, że jego tytułowi słuszniej by było dodać na końcu znak zapytania, bo przecież wszyscy znają nieudane próby uwiecznienia zwycięstwa nad bolszewikami w Bitwie Warszawskiej 1920 r. czy też odsieczy wiedeńskiej z 1683 roku. Założmy więc, że artykuł powstaje w pół drogi do celu dla udokumentowania dotychczasowej działalności i dołożmy starań, aby drugą połowę jego historii można było triumfalnie opublikować na łamach „Cracovia–Leopolis” jak najprędzej, opisując ceremonię odsłonięcia i poświęcenia pomnika.

### **„JEŚLI O NICH ZAPOMNĘ...”**

Koniec wielkiej wojny 1914–18 oznaczał dla wielu narodów dopiero początek walk o granice ich państw. Odradzająca się Polska nie cieszyła się sympatią nie tylko upadających zaborców, ale także więzione w wielonarodowych imperiach inne nacje, budując swe państwa, chciały mieć je w jak najszerszych granicach. Żołnierze ukraińscy, wykorzystując rozłokowanie Polaków z armii austriackiej daleko od Lwowa, zajęli 1 listopada 1918 roku stolicę Galicji, proklamując powstanie Zachodnioukraińskiej



Republiki Ludowej. Spontaniczną reakcją polskiej ludności (głównie cywilnej z udziałem nawet małych dzieci) Lwowa udało się wyrzucić 22 listopada siły ukraińskie (tzw. Armii Halickiej), które przeszły do oblężenia miasta, a pierścień został rozerwany 22 maja 1919 roku. Podkreślić należy, że do uratowania polskości Lwowa w latach 1918–19 w dużej mierze przyczyniła się odsiecz pod dowództwem gen. Bolesława Roi według planów gen. Tadeusza Rozwadowskiego, która przyszła z Krakowa, a jej przednią straż stanowili żołnierze z koszar przy ul. Rajskiej, dowodzonych przez mjr. Juliana Stachiewicza.

Wielu Polaków złożyło ofiarę z życia na ołtarzu ojczyzny, by Lwów wrócił do Polski po okresie zaborów, a najbardziej przejmującą pamiątką po nich jest Cmentarz Obrońców Lwowa. Wspomnieć należy również pomnik według projektu Rudolfa Indrucha na Persenkówce (dzielnicy Lwowa) odsłonięty 28 września 1924 roku i szczególnie tę datę – jak ośmielam się zasugerować – należy wziąć pod uwagę (a właściwie jej stulecie), planując harmonogram prac w Krakowie. Jak wielkie znaczenie mają dla wszystkich rocznice, niech świadczy fakt, że w swoją



rocznicę opanowania na krótko Lwowa (tj. w nocy z 31 października na 1 listopada), czyli w miesiąc po odsłonięciu, „nieznani sprawcy” dokonali pierwszej próby wysadzenia pomnika, podłożywszy ładunek wybuchowy i raniąc ciężko polskiego policjanta, który przebywał w pobliżu. Z kolei Polacy, nawiązując do radosnej rocznicy 22 listopada, gdy Armia Halicka została ze Lwowa wyparta, odsłanili pomnik w 1925 roku w ogrodzie Politechniki Lwowskiej od strony ul. Zachariewicza. Rocznicę mają znaczenie!

### POMNIKOWE POCZĄTKI

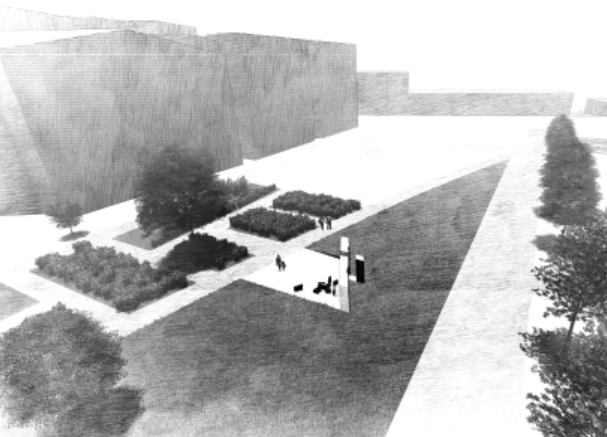
Z końcem sierpnia 2016 roku Adam Macedoński, z pochodzenia lwowianin (ur. w 1931 roku), artysta plastyk, muzyk i poeta, a przede wszystkim zasłużony działacz opozycji demokratycznej, powierzył przyjaciołom pomysł upamiętnienia bohaterskich obrońców Lwowa pomnikiem, który 23 września 2023 skomentował: „Ideę jego budowy powziąłem, bo mieszkałem do dziewiętego roku życia we Lwowie, a w Krakowie upewniłem się co do znaczenia wydarzeń z 1918–20 roku. Nie chcę jednak, by inicjatywa ograniczyła się do budowy, ale marzy mi się, by Kraków żył corocznie pamięcią tamtych wydarzeń poprzez wspomnienia, koncerty lub inne spotkania, nawiązujące do historii”.

Zawiązali komitet z Adamem Macedońskim na czele. Wśród najbardziej zaangażowanych byli: pani Romana Agnel – dyrektor baletu „Cracovia Danza”, członkowie Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich z panią Teresą Konopką (zarazem wiceprezesem Sokola Macierz – Lwów), mecenasem Konradem Firlejem (równocześnie prezesem Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego – „Sokół” Kraków) i Mariuszem Graniczką – prezesem Towarzystwa Gimnastycznego „Macierz Lwów”, na co dzień dyrektorem XLIV Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Konarskiego w Krakowie. Zaangażowanie właśnie działaczy „Sokoła” to nie przypadek, a potwierdzenie, że to PTG Sokół zespolił pragnienia; znajdujemy w liście Komitetu do prezydenta Jacka Majchrowskiego z dnia 19 września 2016 roku: „W środowisku PTG SOKÓŁ powstała inicjatywa wybudowania pomnika Obrońcom Lwowa 1918 roku – Lwowskim Orłętom”.



Konrad Firlej zauważa głębszy sens takiej decyzji: „Kilkunastoletnia młodzież lwowska – czyli mówiąc zwyczajowo Orłęta – to drugie pokolenie członków lwowskiego „Sokoła”. Ich rodzice, angażując się w działalność tej narodowej organizacji, osiągnęli wysoki poziom patriotyzmu. W takiej atmosferze domowej, jeszcze przed wojną światową, dorastały i dojrzewały dzieci, pałając chęcią służby ojczyźnie na wzór swych rodziców. Więzy Krakowa ze Lwowem w dużej mierze tworzyło właśnie sokolstwo, którego dwa najważniejsze zjazdy miały miejsce: pierwszy właśnie we Lwowie w dniach 27–29 czerwca 1903 roku i najsłynniejszy w Krakowie 13–15 lipca 1910 roku z okazji rocznicy grunwaldzkiej”.

Używając pojęcia „komitet”, musimy pamiętać, że niektóre osoby angażowały się w jego działalność spontanicznie, nie odnotowując formalnie zapisu. Z perspektywy pięciu lat stwierdzić należy, że wiele serca włożyli w sprawę budowy pomnika tacy patrioci, jak słynny artysta-fotografik Adam Bujak, prezes Wydawnictwa Biały Kruk Leszek Sosnowski, prezesi Towarzystwa Miłośników Lwowa w Krakowie śp. Andrzej Chlipalski i śp. Adam Gyurkovich, filmowiec Maciej Wojciechowski, aktor Wojciech Habela i inni. Niektórzy swoją cegiełkę dołożyli, ułatwili spotkania lub doradzając lepsze rozwiązania problemów. Siostry norbertanki – jak dwieście lat temu w związku



z budową symbolicznej mogiły Tadeusza Kościuszki – skłonne były oddać część działki przy ul. Malczewskiego pod usytuowanie pomnika, by dziesiątki tysięcy samochodów mijały go każdego dnia na tym nadmiernie uczęszczanym węzle komunikacyjnym przy moście Zwierzynieckim (zwanym popularnie imieniem Adama Stefana kard. Sapiehy). W szukanie lokalizacji zaangażował się prezes Towarzystwa Parku Jordana Kazimierz Cholewa, ale ostatecznie uznano, że może to być lokalizacja niebezpieczna z racji mnożących się napaści na Park, by postawione tam z jego inicjatywy pomniki usunąć.

Pełen zapału Komitet już w 2016 r. wytyczył sobie plan odsłonięcia pomnika w stulecie pamiętnych wydarzeń, a dokładnie oswobodzenia Lwowa 22 listopada. Z górami dwa lata wydawały się czasem odpowiednim do zrealizowania planu. Nie zwlekali zatem, licząc się z trudnościami, na które napotykają w Polsce wszelkie inicjatywy prawicowe częściej niż inne.

Trudno już dziś rozdzielać, kto personalnie miał jaki udział w przybliżaniu i oddalaniu się od realizacji pomysłu budowy pomnika. Jego przeciwnicy, bojąc się wprost zaatakować ideę pomnika, argumentowali (jak to często bywa, na poły słuszenie), że jakieś warunki techniczne utrudniłyby bardzo budowę lub (jak to jeszcze częściej bywa) że w innym miejscu będzie lepiej pomnikowi. Tak to więc po raz kolejny lepsze stało się wrogiem dobrego. Żeby nie być gołosłownym: pomysł, by pomnik obrońców Lwowa stanął na skwerze przy ul. Retoryka, naprzeciwko pomnika legionistów z marszałkiem Józefem Piłsudskim, czyli po przeciwnej stronie ulicy Piłsudskiego, niektórzy radni Dzielnicy I obalali argumentami, że pod skwerem znajduje się ważna infrastruktura

ra miejska... Nie wdając się w dyskusję – a można by wiele przytoczyć – skwitujmy krótko: Szkoda!

### LOKALIZACJA USTALONA

Od początku działalności Komitetu najważniejsze kwestie rozpatrywano w gronie Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w gmachu krakowskiego Sokoła. Dominowały kwestie lokalizacji, finansowania, a przede wszystkim formy pomnika. Rozmawiano też wiele o promocji pomysłu, natomiast delegacje Komitetu odwiedzały osoby, które mogły wspomóc budowę.

Wśród pomysłów o lokalizacji, prócz wyżej wspomnianych, pojawiały się też inne, choćby ten o ul. Bernardyńskiej, przy wejściu na Wawel. Natomiast „Dziennik Polski” donosił, że przedstawiciele Komitetu spotkali się 27 stycznia 2022 roku z prezydentem Krakowa prof. Jackiem Majchrowskim, który odradzał lokalizację przy placu Kossaka, gdyż naprzeciwko (nad Wisłą) już znajduje się pomnik Żołnierzy Polski Walczącej i sam wstępnie zaproponował przeniesienie na drugą stronę Wawelu. Padaly nawet propozycje, by pomnik postawić przy ul. Beliny-Prażmowskiego...

Komitet przyjął pomoc władz krakowskich w organizacji i finansowaniu przygotowań do budowy, ale uznał za sprawę honoru sfinansowanie go ze zbiórki publicznej. Wśród pomysłów na fundusze szczególnie spodobał się ten o zbiorce pieniędzy przy krakowskie lub nawet małopolskie szkoły, co miałoby wymiar wychowawczy i edukacyjny... A jak dodaje pomysłodawca Mariusz Graniczka, „nawet grosz od polskiego ucznia łączyłby się z poznaniem historii jego rówieśników sprzed stu lat i wiązał na całe życie z tradycją niepodległościową”. Do tej idei udało się nawet pozyskać w 2017 roku małopolskiego kuratora oświaty i wychowania Barbarę Nowak, co przełożyło się na wystąpienia prezesa Adama Macedońskiego, prezesa Konrada Firleja i dyrektora Mariusza Graniczki na konferencjach dyrektorów placówek edukacyjnych i życzliwe ich reakcje (szczególnie Szkoły Podstawowej nr 101). Warto zacytować piękny fragment z apelu Komitetu do dyrektorów szkół małopolskich, bo chyba najlepiej oddaje on sens posadowienia pomnika właśnie w Krakowie – mieście jakże silnie związanym ze Lwowem:

„Wielu krakowian, będąc we Lwowie, natchnionych dostrzega szereg analogii w architekturze obu miast sprzed 1939 roku. Budynek TG „Sokół” i jego otoczenie są tutaj dobrym przykładem. Rozwój obu tych ważnych miast królewskiej Rzeczypospolitej istotnie kształtował się w tym samym kręgu cywilizacyjnym, co widać było zwłaszcza w dobie autonomii galicyjskiej. [...] Stąd więc powstała inicjatywa środowisk patriotycznych Krakowa, aby uczcić obrońców Lwowa z 1918 roku stosownym pomnikiem, który chcielibyśmy odsłonić w 100. rocznicę zakończenia walk o Lwów, czyli 22 listopada 2018 roku. Towarzystwo Gimnastyczne »Sokół« ma w tym zakresie szczególne zobowiązania. Jak wiadomo, ruch sokoli na ziemiach polskich pojawił się najpierw w zaborze austriackim – we Lwowie. Toteż w tradycji sokolskiej słusznie pojawia się określenie historyczne: Lwów jako Macierz”.

Inną formą zbiorów pieniędzy i popularyzacji pomnika były koncerty, jak ten w kinie Kijów 8 czerwca 2017 roku, poprowadzony przez trójkę aktorów krakowskich teatrów – Lidie Bogaczównę, Krzysztofa Bochenka i Łukasza Żurka. Czy porywający spektakl zatytułowany *Sen o Lwowie* w reżyserii śp. Romana Kołakowskiego i choreografii Romany Agnel, wystawiony 1 grudnia 2017 roku w Muzeum Armii Krajowej. Ciekawą formą zbiórki środków była publikacja wydawnictwa Biały Kruk autorstwa prof. Wojciecha Roszkowskiego ze wstępem inicjatora i pomysłodawcy tej publikacji Mariusza Graniczki o obronie Lwowa pt. *Orląta lwowskie*. Każdy kupujący album współfinansował pomnik z części ceny. Dyrektor Mariusz Graniczka przytacza także dziś aktualny fragment ze wstępu do tej publikacji: „Wdzięczność do tego pokolenia stała się ważnym symbolem naszej tożsamości narodowej. We Lwowie wyraża się to w postaci Cmentarza Orląt – Obrońców Lwowa, w Warszawie w postaci Grobu Nieznanego Żołnierza. [...] Wobec bezmiaru zła czynionego na naszym Narodzie w okresie okupacji niemieckiej i sowieckiej, wymazywania ze świadomości Polaków tego wielkiego dziedzictwa kulturowego, materialnego, historycznego, któremu na imię »Kresy«, a w nim diamentu w koronie, jakim był Lwów [...] *Mortui sunt, ut liberti vivamus!* (*Umarli, abyśmy mogli żyć jako wolni*). Dzięki i cześć Wam młodzi bohaterowie!”.

Nie udało się w planowanym terminie – 22 listopada 2018 roku – odsłonić pomnika upamiętniającego czyn Dzieci Lwowa w Krakowie. Komitet miał gotowy projekt pomnika autorstwa prof. Stefana Dousy i trwał w pełnej gotowości do realizacji założonego planu.

Wreszcie 6 lipca 2022 roku uchwałą nr XCII/2523/22 Rady Miasta Krakowa, przyjętą po burzliwych targach na sali obrad i w kuluarach, wskazano jako miejsce dla pomnika działkę nr 125/8 obr. S-60, tj. w ramach planowanego parku przy ul. Karłowickiej w Krakowie na tyłach dzisiejszej Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Krakowie, do której główne wejście prowadzi z ulicy Rajskiej, a na jej tyłach (po długim czasie użytkowania jako parking) powstał nowoczesny park Wisławy Szymborskiej. Biblioteka znajduje się w budynku dawnych koszar austriackich, zaprojektowanych przez wybitnego architekta Feliksa Księżarskiego i oddanych do użytku w 1860 roku. Stąd ruszyły oddziały na odsiecz Lwowowi, czyli uwzględniono związek lokalizacji pomnika z historią wydarzeń z lat 1918–19. Przeciw głosowali radni miejscy z Platformy Obywatelskiej.

Lokalizacja napotkała od razu na głosy sprzeciwu, skrzętnie zebrane przez „Gazetę Wyborczą”, a wśród nich znalazły się obawy (szczególnie działacze krakowskich radnych z klubu PO), że pomnik nie koresponduje z patronką parku Wisławą Szymborską. To bardzo smutna konstatacja, odbierająca noblistce poczucie patriotyzmu...

## KONKURS NA POMNIK ZAKOŃCZONY?

I tak, i nie.

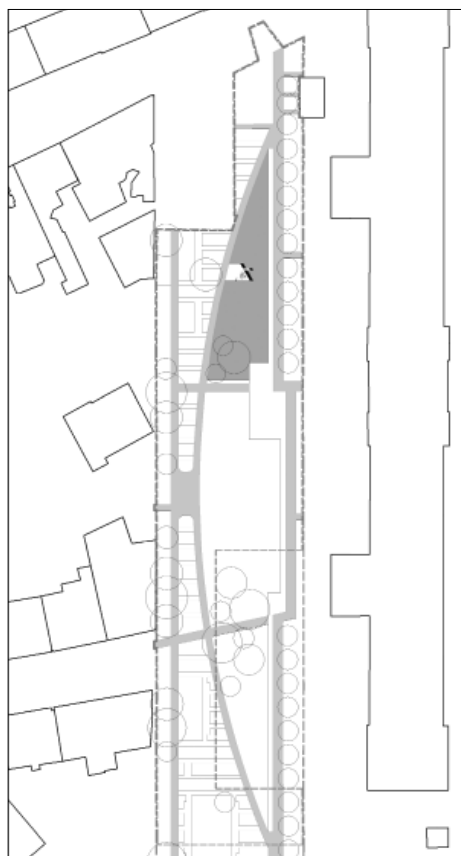
Tzw. zamawiający realizację pomnika (Wydział Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa oraz Zarząd Zieleni Miejskiej) 15 marca 2023 roku ogłosił konkurs, zorganizował obrady i wytypował sąd konkursowy w składzie: prof. dr hab. Andrzej Bednarczyk – sędzia przewodniczący, dr hab. Maciej Aleksandrowicz – prof. ASP, dyrektor Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku, sędzia referent, Hedva Ser – artystka UNESCO na rzecz Pokoju, prof. Sławomir Ratajski – dziekan Wydziału Sztuki Mediów ASP w Warszawie, prof. dr hab. Jan Tutaj – dziekan Wydziału Rzeźby ASP w Krakowie, dr hab. Rafał Rychter – prof. ASP, dziekan Wydziału Rzeźby ASP w Warszawie, dr Agniesz-

ka Łakoma – plastik miasta, arch. Tomasz Bobrowski – główny architekt miasta, Adam Macedoński – Komitet Budowy Pomnika „Orląt – Obrońców Lwowa”, Mariusz Graniczka – Komitet Budowy Pomnika „Orląt – Obrońców Lwowa”, Konrad Firlej – Komitet Budowy Pomnika „Orląt – Obrońców Lwowa”, Marcin Gajda – Gajda Architektura Krajobrazu, projektant parku przy ul. Karmelickiej, zastępcy sędziów konkursowych: Katarzyna Olesiak, dyrektor Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego UMK, Piotr Kempf, dyrektor Zarządu Zieleni Miejskiej w Krakowie. Sąd rozstrzygnął konkurs 14 września 2023 r. i ogłosił w gmachu Sokoła przy ul. Piłsudskiego zwycięski projekt, którego autorem jest zespół architektów w składzie: Michał Dąbek, Wacław Gawlik i Jan Kuka. Zastrzeżono jednak, że dokonane zostaną poprawki (szczególnie w napisach na pomniku).

Przewodniczący Komitetu Adam Macedoński ocenia, że prace konkursowe były na niskim poziomie, a nawet projekt zwycięski nie ma jasnego przesłania i nie odnosi się wyraźnie do zadanej tematyki. W decyzji jury widzi bardziej poprawność dzisiejszych czasów niż wierność rzeczywistości historycznej. Uważa, że należy go przerobić, by nabrał wyraźnego przekazu, co – przy dość abstrakcyjnej formie – można jeszcze zrobić, dodając wyraźny tekst objaśniający.

Rzeczywiście, pomnik nawet w swej pozornej oryginalności ma wyraźne piętno współczesnych tendencji – jak krzesła na placu Bohaterów Getta lub buty na naddunajskim nabrzeżu w Budapeszcie. Wygrał projekt bardziej artystyczny niż historyczny. Nie ma na nim dzieci, a mógłby przybrać charakter podobny do pomnika małego powstańca w Warszawie. Cokolwiek myślimy o zaangażowaniu dzieci w walki za ojczyznę, choćbyśmy twierdzili, że nie jest normalnym zjawiskiem, że to dzieci muszą ginąć z bronią w rękę – polska rzeczywistość historyczna jest właśnie taka i to wielokrotnie! W okresie międzywojennym na tym etosie budowano patriotyzm od najmłodszych lat i przyniosło to efekty podczas wojny w postaci pokolenia Kolumbów, a dziś wychowuje się młodzież do pacyfizmu, lecz właśnie nasze dwa sąsiednie państwa toczą wojnę, i oby ominęła ona Polskę. A pokoju trzeba też umieć bronić!

Nie brak osób niezadowolonych z formy zwycięskiego pomnika do tego stopnia,



że sugerują, iż nieraz już tak bywało, że realizowano projekt, który nie zajął pierwszego miejsca, a lepiej nawiązać do formy bardziej tradycyjnej, bardziej lwowskiej, jak w przypadku pomysłu z dziećmi przy pomniku lwowskiego lwa...

Niestety nie dotarł na konkurs (trudności formalne) piękny projekt autorstwa prof. Stefana Dousy, który przedstawia lwowskiego lwa i dwójkę dzieci. Nie dotarł także projekt autorstwa prof. Mieszka Tyłki, przedstawiający m.in. dwa lwowskie lwy... Szkoda.

Mariusz Graniczka dodaje, że po rozmowach z zespołem autorów zwycięskiego projektu, które się odbyły w trakcie publicznej jego prezentacji 5 października w budynku krakowskiego Sokoła, autorzy oświadczyli, że są otwarci i gotowi na uzupełnienie i poprawienie swojego dzieła o elementy zaproponowane przez zamawiających.

W tym miejscu uczinamy opowieść. Kolejne części dopiszemy jako działacze Komitetu, urzędnicy, mieszkańcy Krakowa i Małopolski, media... Losy powstawania pomnika znajdują się również w „Cracovia–Leopolis”.

Franciszek Haber

# Ulica Akademicka

Ulica Akademicka (Prospekt Szewczenki) lata 30. XX w.  
– domena publiczna



**U**lica Akademicka istniała od XVI wieku. Początkowo nazywała się Garbarską, potem Świętego Jana, a od 1871 roku Akademicką. Dzisiaj jest to Prospekt Szewczenki. Płynęła nią rzeka Pełtew, nie lubiana przez mieszkańców, gdyż zbierała brudy okolicznych ulic. W 1883 roku ukryto w podziemiach wstydlivy miejski ściek i od tamtego czasu zaczęła się szyb-

ka zabudowa ulicy. Nad zasklepioną rzeką poprowadzono aleję wysadzoną włoskimi topolami i obramowano kwiatowymi rabatami. W 1997 roku ścięto wysłużone drzewa i obsadzono aleję kulistymi klonami. Po obu stronach *Corso*, bo taka nazwa przyłgnęła do tej alei, biegną ciągi komunikacyjne. Akademicka jest ulicą, której się nie zapomina. Już sam piękny deptak przyniósł sławę ekskluzywnej arterii. Z wielkim powodzeniem dorównał Wałom Hetmańskim i stał się ich przedłużeniem dla spacerowiczów. Ta ulica znanych adwokatów bierze swój początek na placu Mariackim, przy którym stoi wspaniały hotel George, miejsce spotkań i pobytów luminarzy tamtego, przedwojennego świata, o którym pisałem w eseju *Moja ulica*, a kończy się na placu Akademickim.

Pod numerem pierwszym, *vis a vis* hotelu George, stoi trzypiętrowy, narożny gmach Banku Hipotecznego, zaprojektowany w stylu neorenesansowym (1872) przez

Hotel George – domena publiczna





Ul. Akademicka, słynne Corso – ojciec na spacerze z autorem i bratem Józefem – zdj. rodzinne autora

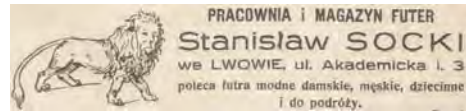
architekta Filipa Pokutyńskiego. Całość fasady boniowana, balkony drugiego piętra na rzeźbionych i podwojonych konsolach, okna ujęte w kolumnowe pilastry z gzymsami, naroże półkoliste z trójdzielnymi oknami. Nad wejściem gzyms gie-

rowany z medalionem. Przed wojną w fotelu dyrektora banku zasiadał Wacław Chowaniec, wcześniej prezydent Stanisławowa. W czasie wojny (1941–1944) budynek był zajęty przez Kriminalpolizei (Kripo). Teraz na parterze znajduje się salon mody.

Ukraina. Ponadto znajdowało się tam kilka spółek związanych z dystrybucją ropy czy gazu ziemnego. Dzisiaj zaprasza dom mody Fashion House.



Reklama firmy Barwa, ul. Akademicka 3



Reklama firmy Stanisława Sockiego



Ul. Akademicka 1 udekorowana na przyjazd cesarza do Lwowa – domena publiczna

Kamienica nr 3, w stylu funkcjonalnym, również powstała w 1872 roku. Jej właścicielem był J. Bieńkowski. Były tu luksusowe sklepy: Górniaka i Chruszczewskiego sklep z męską bielizną, konfekcją i kapeluszami; Stanisława Sockiego – futra; Bieńkowskiego – handel bronią; Ludwika Hoszowskiego Barwa – farby i lakiery; Stanisława Hoszowskiego – ceraty; sklep optyczny Bogumiła Pirkla. Także kino Europa Galicyjskiego Ośrodka Sztuki Filmowej. Dzisiaj jest kino



Akcja Banku Hipotecznego

Pod nr 5 Scott i Pawłowski prowadzili artykuły sportowe, cukiernia Hieronima Welza słynęła z pączków, Władysław Adamski sprzedawał tapety i dywany, fotograf Grotger przedłużał pamięć i Anna Kowalska prowadziła Drukarnię Akademicką. Przed wojną przeniosła tu fotograficzne atelier z ulicy Batorego 32 Janina Mierzecka. Kamienica trzypiętrowa, eklektyczna, z szerokim wykuszem pierwszego i drugiego piętra, na trzecim piętrze wyraźnie jest on zwężony, zakończony attyką. Dzisiaj na parterze FOTOSALON i sklep firmy Adidas.

Kamienica nr 7, siedmiopiętrowa, to drugi drapacz chmur Jonasza i Gizeli Sprecherów, projektu architekta Feiwela Kasslera, wykonany w duchu funkcjonalizmu (1929). Żelbetowy szkielet obłożono płytami z trawertynu oraz marmuru. Płyty dostarczyła firma mistrza kamieniarskiego Ludwika Tyrowicza z ulicy Piekarskiej 95. Prace wykończeniowe realizował architekt i rzeźbiarz Piotr Tarnawiecki. Budynek był wizytówką rozbudowującego się miasta. Szóste i siódme piętro miało tarasy i mieszkania. Wejście do budynku wykonano w duchu *art déco*, przeszklono mosiężną kratą bramy, a schodom dano formę spłaszczonej elipsy. Budynek stanął na miejscu dawnej kawiarni Gustawa Schneidera, w której zbierała się cyganeria Młodej Polski. Dom zburzono przed I wojną



światową, a plac, ukryty za reklamami, długo musiał czekać na zabudowę. W tej przepastnej kamienicy były dziesiątki różnych firm i spółek. Lwowska filia Banku Cukrownictwa Poznań, Helioterm – instrumenty chirurgiczne, Warszawskie Towarzystwo Ubezpieczeń Vita-Kotwica, POLMIN – Polska Fabryka Olejów Mineralnych, posiadająca neon na dachu „drapacza” widoczny z placu Akademickiego, magazyny mody oraz sklepy: z obuwiem Kunerta, elektryczny braci Borkowskich, salon samochodowy Trandy. Także mieszczał się tu konsulát węgierski. Jednym z mieszkańców był malarz, grafik i scenograf teatralny Fryderyk Kleinmann (1897–1943), który podobnie jak malarz Sichulski i wielki poeta Zbierzchowski pisywał satyry na ścianach słynnej restauracji u Atlasa (Rynek 45). Został zamordowany w obozie Janowskim (1943) podobnie jak właściciel kamienicy 81-letni finansista w lwowskim getcie w 1942 roku. Dzisiaj w Kamienicy Sprechera ma siedzibę Zjednoczenie Związków Zawodowych Obwodu Lwowskiego, jest punkt pocztowy i restauracja McDonald’s.

Za hotelem George odchodzi w prawo ulica Klementyny Tańskiej (Rudańskiego), po mężu Hoffmannowej (1798–1845), uznanej pisarki. Ulica ta łączy się z ulicą Sienkiewicza (Woronego). Na jej rogu stoi czynszowa kamienica Wixla (nr 2a), która została zaprojektowana przez Zygmunta Langroda i Juliana Cybulskiego w stylu secesji z elementami neobaroku, z wieżyczką i fryzem i ozdobiona maskaronami dłuta Piotra Witalisa

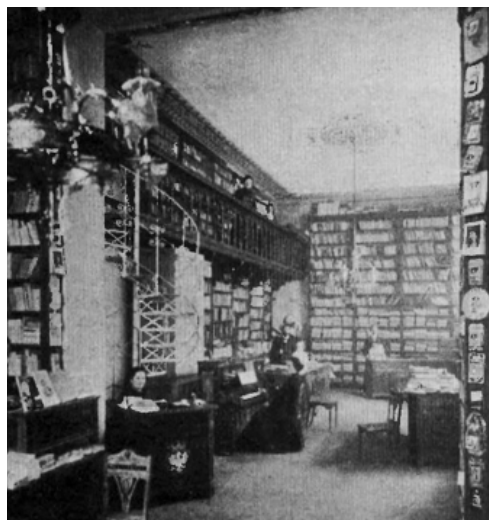
Reklama firmy POLMIN

Ul. Akademicka z widokiem na „drapacz chmur” Sprechera – domena publiczna

Harasimowicza. Dziś jest uznana za obiekt historyczny. Cieszyła się tu wielkim wzięciem u kochających literaturę Księgarnia Polska Bernarda Połonieckiego (1861–1943), który miał pod nr. 2 również Zakład Wydawniczy. Ten wybitny księgarz i wydawca, który był prezesem Stowarzyszenia Kupców i Przemysłowców Polskich Województw Południowo-Wschodnich we Lwowie, był także właścicielem wypożyczalni książek Czytelnia Naukowa we Lwowie, urządzonej ze smakiem i znanstwem, a także oferował wiele cennych nut i prasy literacko-artystycznej. Wychował wielu wybitnych księgarzy i wydawców. W uznaniu zasług został uhonorowany Srebrnym Wawrzynem Akademickim, przyznawanym zasłużonym dla literatury na wniosek Polskiej Akademii Literatury. Kierownikiem literackim wydawnictwa był w latach 1906–1914 Ostap Ortwin, prawnik, krytyk i znawca literatury. I w tym właśnie czasie firma wydała większość autorów polskich oraz uznane dzieła literatury obcej. Sowietci po wejściu do Lwowa (1939) skonfiskowali księgarnię i księgozbiory. Połoniecki utrzymywał się przy życiu z uprawy kwiatów (szczególnie róż i dali). Zmarł i został pochowany we Lwowie na cmentarzu Łyczakowski. Także pod nr. 2 miał wzięcie sklep z kapeluszami Emilia. Dziś jest klub nocny Rafinad People Night Club & Tusa Bar.



Sprecher z architektem Kesslerem, zdej. Janina Mierzecka



Księgarnia Bernarda Połonieckiego – domena publiczna



<b>BERNARD POŁONIECKI</b>	
Lwów, ul. Akademicka 1.2 a. i ul. Klementyny Tańskiej 1.1.	
<b>MAGAZYN NUT</b> i wypożyczalnia nowości muzycznych	<b>SKŁAD FORTEPIANÓW I PIANIN</b> ZAOPATRYWANY W INSTRUMENTY Z PIERWSZORZĘDZONYCH FABRYK
<small>UZUPELNIANA NOWOŚCIAMI DO ŚPIEWU, NA FORTEPIAN I INNE INSTRUMENTY MUZYCZNE POD PRZYSTĘPNYMI WARTOŚCIAMI</small>	<small>WYŁĄCZNE ZASTĘPSTWO DLA GALICJI FA- BRYKATÓW STEINWAYA W ABERDEENIE, BLETH- BYERNA, SCHREIBERSTERA I SYNGOW WYPOŻYCZALNIA NOWYCH INSTRUMENTÓW ZASTĘPSTWO NA GALICJI, PIANOLI</small>

Kamienica nr 4, czteropiętrowa, została zbudowana dla adwokata Adolfa Segala przez biuro projektowe Ułam-Kędziński, w stylu secesji (1904–1905). Fasada, która jest projektu architekta Tadeusza Obmińskiego, posiada duże wykusze, łukowe okna, balkony o różnych wielkościach, narożną wieżyczkę z kopułą i ozdobnym frontonem. Bogaty jest wystrój wewnątrz – sztukaterie, piękne witraże, tapety i kaflowe piece. To jedna z tych kamienic Lwowa, których się nie zapomina. Był tu sklep z zabawkami Klaftena, obiekt westchnień lwowskich dzieci. Pisze o tym czarodziejskim miejscu, rozsiewającym gwałtowne pokusy w sercach maluchów, Stanisław Lem, w książce *Wysoki Zamek*, sławny na całym świecie pisarz

science fiction. Mieściły się tu: Akcyjny Bank Związkowy, redakcja „Gazety Bankowej”, na pierwszym piętrze Iłnił gabinet dyrektora

Targów Wschodnich przemysłowca Mariana Turskiego, sklep Bolesława Błockiego – bielizna i materiały, firma Vesta, w której pracował Bolesław Herbert, ojciec Zbigniewa Herberta, wielkiego polskiego poety XX wieku. Dziś filia Zjednoczenia Związków Zawodowych, sklep spożywczy i bankomat. Właściciel kamienicy Adolf Segal przeprowadził się do Wiednia i zmarł tam w 1936 roku, a nowym właścicielem w międzyczasie został S. Bentel, jubiler.

W prawo za kamienicą Segala odchodzi ulica Chorążczyzna (Czajkowskiego). Po drugiej stronie stoi dwupiętrowa neobaro-

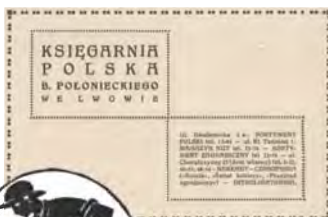
kowa kamienica (1865) Bromilskich – Akademicka nr 6. Za Galicji był tu sklep Bogumiła Pirkla Optyka, Szkoła Muzyczna (1870–1890) kompozytora Wilhelma Czerwińskiego (1837–1893), Muzeum Wynałazków, skład nut G. Seyfartha. W tym domu miesilił się słynny na



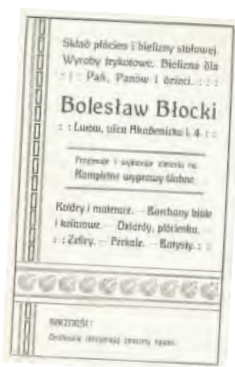
Ul. Akademicka nr 4 – kamienica Segala

cały Lwów pokój śniadankowy Zofii Telickowej (1881–1942). Gdy zmarł jej mąż Adolf (1920), właściciel fabryki wędlin, wzięła stery firmy w swoje ręce. Później prowadziła interesy ze swoim drugim mężem Janem Sudhoffem, przedsiębiorcą i radnym miasta, który zmarł w 1939 roku. Zofia Telickowa miała też drugi lokal Imperial na Akademickiej 12. Podczas wojny deportowana razem z synem do Kazachstanu (1940). Po uwolnieniu niestety zmarła w Teheranie, syn walczył pod Monte Cassino, po wojnie mieszkał w Warszawie aż do śmierci (1996). W 1929 roku pod domem Telickowej miało miejsce tragiczne zdarzenie. Akrobata Poliński, „człowiek-mucha”, po wykonaniu akrobacji na linie rozpiętej między dachami narożnych domów Chorążczyzny i Akademickiej poślizgnął się na dachu domu Telickowej i spadł na bruk. Zmarł w tym samym dniu w lwowskim szpitalu. Wydarzenie to uwiecznił w śpiewanym utworze *Akrobata mucha* Marian Hemar. Pod numerem

6 kusił złotymi wyrobami Władysław Buszek, podobnie jak pod nr. 8 Jan Wojtych, a pod nr. 20 Adam Cieślewicz. Dziś tutaj jest także jubiler i sklep z obuwem sportowym. Warto wspomnieć, że kiedyś na rogu zaraz za sklepem Klaftena w kamienicy Segala był sklep Karola Kurpińskiego z kawą i herbatą z różnych stron świata, do które-







Reklama firmy Bolesława Blockiego

go wchodziło się od strony ulicy Chorażczyzna. Nieco dalej na tej ulicy pod nr. 7 było kino Apollo, Towarzystwo Muzyczne oraz Konserwatorium. To tutaj w sali kina punktualnie o godzinie siódmej rano zaczynał wykład twórca lwowskiej szkoły filozoficznej profesor Kazimierz Twardowski, gdyż aula starego uniwersytetu nie mogła pomieścić studentów słuchających jego wykładów. Secesyjny gmach filharmonii powstał według planów Władysława Sadłowskiego (1905–1908). Dekoracje rzeźbiarskie fasady wyszły spod dłuta Piotra Harasimowicza. Po II wojnie światowej trafiły tu neobarokowe organy (1880) z lwowskiego kościoła Bożego Ciała oo. Dominikanów. Także pod nr. 7 w znanej pracowni grawerskiej Ungera, przeniesionej później na ulicę Bourlarda 4, wykonano w 1920 roku order Virtuti Militari V klasy (nr 1), którym dekorował miasto Semper Fidelis sam Marszałek Józef Piłsudski (22 listopada 1920).



Zofia Teliczek, slymna „ciocia” Teliczkowa, Wikipedia



Reklama firmy Zofii Teliczek – domena publiczna

## Marian Hemar AKROBATA MUCHA

Przyjechał do Lwowa akrobata-mucha, spadł z dachu na ziemię i wyzionął ducha. Chciał pokazać ludziom, jak on umie zwinnie drapać się po gzymsie i chodzić po rynnie. Chciał pokazać ludziom, że trudności ni ma i na gładkim murze jak mucha się trzyma. Chciał się popisywać za bilety wstępu i najad się wstydu, i narobił sztempu. Wlaził na Teliczkową bez poczucia strachu, minął drugie piętro... już był blisko dachu... Wszyscy dech zaparali, cisza była głucha, bo on rzeczywiście istny człowiek mucha. Czy on się poślizgnął, czy się tynk obruszył? Czy się chycił gzymsu, a gzyms się wykruszył? Nagle z krzykiem leciał w dół, na łeb, na szyję: Ratujcie mnie ludzie – taż ja się zabiję! Krzyczał przeraźliwie i w połowie krzyku trachnął w bruk – i został leżeć na chodniku. Tak się zakończyło straszne widowisko. Nie drap się wysoko, to nie spadniesz nisko

**Tragiczny zgon  
„Człowieka-muchy”.**  
W czasie pokazu akrobatycznego  
spadł z dachu i runął na bruk chodnika.  
Wieczorem w szpitalu zakończył życie.

Kamienicę nr 8, dwupiętrową, zbudowano w stylu funkcjonalnym pod koniec XIX wieku. W latach 1892–1898, jak podaje się dzisiaj, mieszkał Taras Szewczenko. Przed pierwszą wojną światową miał księgarnię Władysław Żadurowicz. Potem była księgarnia Oświata oraz kino Sztuka. Tutaj Władysław Szulc miał znany sklep z przyborami szkolnymi i biurowymi Sarmacja. Zegarmistrz Marian Suchecki, który był następcą Stanisława Woźniaka (od 1892), oferował najnowsze cudeńka szwajcarskiej roboty – ręczne, naścienne, stojące i kieszonkowe. Reklamowały się: sklep z kapeluszami Romany Korzeniowskiej Romana, zakład Bielca Foto-Plastyka,

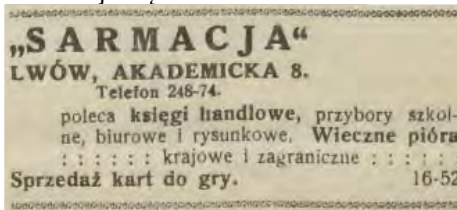


Jan Sudhoff (1876–1939)  
– domena publiczna



sklep złotniczy Jana Wojtycha oraz sklep z farbami, lakierami i kosmetykami Jana Sudhoffa (1876–1939), mającego też sklep pod 10. Jan Sudhoff, oprócz tego że był kupcem, był działaczem społecznym i politycznym.

W Izbie Przemysłowej we Lwowie zasiadał w kilku komisjach, pełnił funkcję prezesa Kongregacji Kupieckiej, założył dokształcającą szkołę kupiecką i fundację sklepów chrześcijańskich, prezesował Mieszczanowskiemu Towarzystwu Strzeleckiemu i był ławnikiem miasta Lwowa. Właścicielem kamienicy była Eugenia Sielska, mieszcanka, do której należało kino Chimera mieszczące się w oficynie. Obecnie na pierwszym piętrze jest klinika stomatologiczna Sofija, na parterze kinoteatr Kijów oraz ukraińska księgarnia Towarzystwa Naukowego im. T. Szewczenki. Na fasadzie znajduje się tablica pamiątkowa poety (J. Skakun, 1990). Reklamuje się także oceanarium.



Reklama firmy Sarmacja – domena publiczna

Gmach nr 9, dwupiętrowy, został zbudowany w XIX wieku. Parter i pierwsze piętro w boniach, okna drugiego piętra półłukowe, przedzielone pilastrami, narożnik dachu ozdobiony attyką w formie balustrady, gzyms rozdziela piętra. Mieściło się tam Państwowe Gimnazjum Żeńskie im. Królowej Jadwigi, a gdy przeniosło się do nowej szkoły na ulicy Potockiego (1932), to kontynuował swoją działalność w tym gmachu Wydział Opieki Społecznej Zarządu Miasta. W czasie wojny Niemcy utworzyli tam Staatliche Technische Hochschule. Dzisiaj znajdują się tam m.in.: Agencja Prasowa (Lwów Media – Miejski Żurnal Lwowa On-line), IQ Holding, Centrum

Konferencyjne, Agencja Modelak, Lwowski Instytut Bankowości, Nerdyssoft – producent oprogramowania.

Idąc z Akademickiej na ulicę Bourlar-da (Niżankowskiego), gdzie znajduje się wejście do budynku nr 9, mijamy rzeźbę Włodzimierza Iwasiuka (1949–1979), lekarza, kompozytora, poety, wokalisty, zamordowanego w 1979 roku pod Lwowem. Był kultowym muzykiem dla młodzieży ukraińskiej. W 2009 roku wybito monetę z jego podobizną.

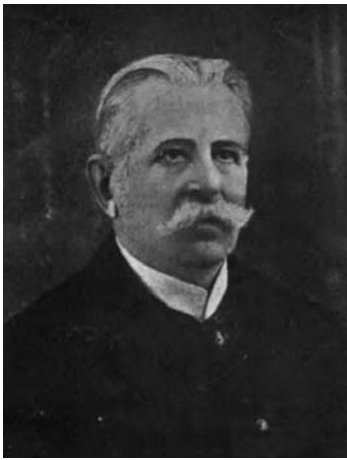


Moneta z podobizną Włodzimierza Iwasiuka – domena publiczna

Kamienica nr 11 jest dwupiętrowa, fasada eklektyczna z secesyjnym balkonem w osi bramy, nad okienkami strychu biegnie pas z guttami. To dawny dom znanego okulisty Emanuela Macheka (1852–1930), który zajmował całe pierwsze piętro. Na parterze mieszkał i zmarł prawnik i polityk, profesor i hrabia Stanisław Starzyński (1853–1935), dziekan Wydziału Prawa i rektor UJK. W 1909 roku przyczynił się do rozszerzenia autonomii Galicji przez ustawę nazwaną jego imieniem (lex Starzyński). W II RP cieszył się opinią najwybitniejszego znawcy prawa konstytucyjnego. Później I piętro zajmował Wydział Przemysłowy Zarządu Miejskiego oraz Polska Akcyjna Spółka Telefoniczna (PAST). W kamienicy także mieściła się firma Janusza Gierschinga produkująca radiodiodniarki, głośniki i mikrofony oraz była pracownia sukien Amalia Stein Godlewiczowej. Na drugim piętrze miał kancela-



Pomnik Włodzimierza Iwasiuka, kompozytora, Wikipedia



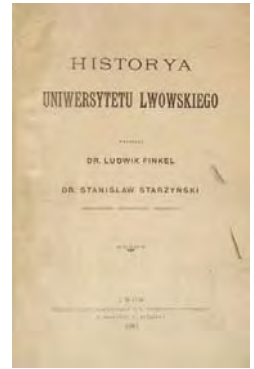
Profesor Stanisław Starzyński (1853–1930)  
– domena publiczna

rię adwokat Witold Olszewski i mieszkały jego dzieci: syn Witold i córka Helena. Helena Olszewska-Pazyryzna (1908–2011), absolwentka UJK, historyk mediewista, filolog klasyczny, drukowała swoje wspomnienia

w „Roczniku Lwowskim”. Jej autorstwa jest również ciekawe *Kalendarium Lwowa*, którego rękopis znajduje się we wrocławskim Ossolineum. Dzisiaj pod 9. jest filia PZU, Agencja Turystyczna Globus, Pres-Klub oraz kawiarenka.

Kamienica nr 10, neobarokowa, została zbudowana według projektu architekta Jana Schulza (1894). Po obu stronach fasady ryzality nakryto spłaszczonymi hełmami. Bogaty wystrój fasady i balkonów w stylu *art déco* wyszły spod dłuta Piotra Harasimowicza. Z lewej strony kamienicy było wejście do Zakładu Kąpielowego św. Anny, który znajdował się w oficynie i działał nieprzerwanie od 1810 roku do czasów okupacji sowieckiej. Na pierwszym piętrze był gabinet dentystryczny Zenona Wachłowskiego. A na parterze, na miejscu dawnej cukierni Grussa i Strusia, był skład fabryczny cukrów i cze-

kolady Katarzyny i Ludwika Zalewskich, w którym były również stoliki do konsumpcji kupowanych łąkoci. Stara klasyczna cukiernia Zalewskiego była pod nr. 22. Zalewscy mieli także filię w Warszawie na Nowym Świecie 57. Kamienica nr 10 była własnością adwokata dr. Włodzimierza Tuckiego, który zajmował całe drugie piętro. Dziś do dawnych pomieszczeń



Egzemplarz Historii Uniwersytetu Lwowskiego



Lwowski wąż studzienki kabli firmy PAST

Łaźni św. Anny zaprasza Grand Club Sofia. Zachowana została neorokokowa sztuczna łaźnia dłuta Piotra Witalisa Harasimowicza. Na froncie jest restauracja Pyszata Chata – kuchnia ukraińska.



Egzemplarz Konstytucji Państwa Polskiego (1921)  
– domena publiczna



Ul. Akademicka z widokiem na Corso (ok. 1925), pierwsza brama po schodkach z lewej strony zdjęcia – kamienica nr 11

Witryna cukierni Zalewskiego, Akademicka 10 – domena publiczna



Widok na Akademicką z piękną kamienicą nr 10 – domena publiczna



pane – Rudolfa Urbanickiego. Dziś Bank Kredytowy, sklep z obuwem i zegarmistrz.

Kamienica nr 13, jednopiętrowa, to dawne Kasyno Miejskie zbudowane w stylu eklektycznym przez architektów Filipa Pokutyńskiego i Ludwika Wierzbickiego (1876). Wejście flankują kariatydy dźwigające gzyms z rzeźbionym naczółkiem, attyka w formie balustrady, okna ujęte w pilastry z korynckimi

głowicami i wyrazistymi gzymsami. Parter z bogatą rustyką. Kasyno słynęło z sali balowej. Za czasów II RP mieściły się także tutaj: Koło Literacko-Artystyczne, Syndykat Dziennikarzy, Towarzystwo Przyjaciół Francji (od 1934). A dzisiaj w kamienicy mają swoje siedziby organizacje polityczne, a także księgozbiór literatury ukraińskiej diaspory, który znajduje się tutaj jako część Uniwersalno-Naukowej Biblioteki obwodowej. Na osi budynku, na Corso, naprzeciw wejścia do kasyna, stał pomnik poety Kornela Ujejskiego (1823–1897) dłuta Antoniego Popiela. Po wojnie szczęśliwie trafił do Szczecina. Dziś ozdabia skwer pomiędzy Bramą Portową a placem Zwycięstwa.



Reklama Zakładu Kąpielowego św. Anny

Kamienica nr 12, zbudowana w 1900 roku, należała do Schulima Wallacha, fabrykanta i kupca. Fasada zdobna jest w piękne secesyjne balkony. Strychowe okienka rozdzielają metopy z girlandami, nad nimi gzyms z guttami. Wyraziste nadokienniki, okna pierwszego piętra ujęte w pilastry rytmizujące podziały frontonu. Mieścił się tam pokój śniadaniowy Zofii Spang, atelier fotografii Szuka, skład wina i restauracja Zako-

Kamienica nr 15, dwupiętrowa, między Kasynem Miejskim i gmachem Izby Przemysłowo-Handlowej, została zbudowana w stylu funkcjonalnym. Ludwik Lange sprzedawał wyroby papiernicze, tytoniowe i filatelistycz-



Reklama restauracji Webera – domena publiczna



Kasyno miejskie, ul. Akademicka 13, Lwów





Reklama firmy fotograficznej N. Lissa – domena publiczna

Kamienica nr 20 to narożny dom z wejściem od ulicy Zimorowicza (Dudajewa) nr 2, który został zaprojektowany dla Zygmunta Drągowskiego przez architekta Łukasza Bodaszewskiego (1884). Półokrągłe secesyjne balkony narożnej fasady ozdabiają posągi Adama

Mickiewicza i Juliusza Słowackiego (I piętro), a gzyms z maszkaronem zdobi wejście na balkon drugiego piętra. Mieszkał tu Jan Kinel (1886–1950) – entomolog, dyrektor Muzeum Przyrodniczego im. Dzieduszyckich, po wojnie profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, autor wielu prac naukowych. Ponadto w kamienicy mieściły się: sklep z obuwem Lafayette, złotnik Adam Cieślewicz, zakład jubi-



Ul. Akademicka 18 | 20



Reklama firmy Stanisława Kowalskiego – domena publiczna

lerski Mariana Dajewskiego, sklep z odzieżą braci Zaleskich, fryzjer Kazimierz Suzdalski i księgarnia Oświata. Przed 1939 rokiem dom należał do Jadwigi Zaleskiej, żony adwokata. Dzisiejszy sklep sportowy Columbia ma wejście od Akademickiej.



Kamienicę nr 22 na rogu Zimorowicza (Dudajewa) zbudowano według projektu architekta Wilhelma Schmidta (1852). To jedna z najstarszych kamienic tej ulicy. Należała w latach 1880–1907 do doktora medycyny Józefa

Weigla. Pełniła wtedy rolę domowego muzeum, gdyż umieścił tutaj swoje zbiory obrazów i wyrobów z porcelany. Był tu sklep kolonialny Bodnara. A potem słynna cukiernia i kawiarnia Ludwika Zalewskiego (1909–1944). Jej wnętrze zaprojektowane zostało przez Kazimierza Sichulskiego. Była to kawiarnia przytulna, trochę staromodna, utrzymana w konwencji wiedeńskiej. Po pierwszej wojnie światowej, w czasach II RP, gdy zaczął działalność razem z ojcem syn Władysław, powstała druga siedziba pod nr 10, zaprojektowana w stylu *art déco* według projektu Kazimierza Piotrowicza (1928). Nieopodal, na ulicy Zimorowicza 14, aby sprostac



Ul. Akademicka 20, balkon (I p.) rzeźba Mickiewicza, Wikipedia



Zdjęcie Ludwika Zalewskiego tuż przed wojną – domena publiczna

zwykłymi robotnikami we własnym zakładzie. Ludwik Zalewski zmarł ze zgrzyoty w 1940 roku, a syn Władysław, zaarrestowany w 1945, został skazany na pięć lat łagru i zmarł w Tiumentiu (1947). Cukiernia na Akademickiej 22 przestała istnieć już w 1940 roku. Była tam lodziarnia,

a po wojnie przez długi czas na Akademickiej 10 istniała cukiernia firmowa fabryki Switocz. Przed wojną miał tu swoje miejsce także sportowy sklep Maraton Waław Kuchar (olimpijczyk, lekkoatleta i piłkarz Pogoni Lwów). Dzisiaj m in. są: apteka, piekarnia, lodziarnia, firma Budimeks. Gwoli uzupełnienia – fabryka Switocz to fabryka cukrów czekolady i kakao Branka Sp. Akc. (1882) Maurycyego Brandsteattera, mieszcząca się nieopodal dworca na ulicy Szeptyckich nr 26. Słynęła ze swoich wyrobów i nic sobie nie robiła z lwowskiej konkurencji. Miała cukiernię na ulicy Legionów, w której nigdy klientów nie brakowało. Sowieci fabrykę znacjonalizowali najpierw pod znakiem im. Kirowa, a od 1962 roku zmienili jej nazwę na Switocz. Niestety została sprzedana zagranicznej firmie Nestle (1998).

U wylotu ulicy Zimorowicza, po drugiej stronie ulicy Akademickiej, stanął według planów architektów Alfreda Zachariewicza

i Tadeusza Obmińskiego modernistyczny gmach nr 17/19 Izby Handlowo-Przemysłowej (1907–1910). Fasadę obłożono kamiennymi płytami z dwoma olbrzymimi kolumnami flankującymi reprezentacyjne wejście. Trójdzielne okna rytmiczują podziały frontonu. Dekoracje są mieszaniną secesji, neobaroku i neoklasycyzmu. Na fasadzie pod gierowanym gzymsem trzeciego piętra fryz z barwną mozaiką, a w osi ceramiczny herb Lwowa. Między drugim i trzecim piętrem umieszczono płaskorzeźby różnych profesji wykonywanych przez putta, alegorie handlu i rzemiosła, dłuta Wojciecha Przedwojewskiego. Wnętrze sprawia wrażenie pałacowe. Westybul, klatkę schodową, główną salę posiedzeń pokrywają malowidła Feliksa Wygrzywalskiego, Zygmunta Balka, rzeźby Zygmunta Kurczyńskiego oraz witraże znanej krakowskiej



Płaskorzeźba (fasada gmachu Akademicka 17/19) dłuta W. Przedwojewskiego – domena publiczna

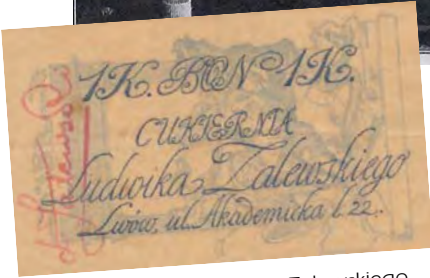
firmy Żeleńskich. Pilastry wśród sztukaterii, kasetony sufitowe i mozaiki ze stylizowanymi kwiatami są autorstwa Karola Frycza (1909). W wielkiej sali posiedzeń znajduje się cykl paneaux Feliksa Wygrzywalskiego z wypukłorzeźbami Z. Kurczyńskiego obrazującymi mity życia i losu człowieka.



Ul. Akademicka 22 – kawiarnia L. Zalewskiego – domena publiczna



Bufet kawiarni L. Zalewskiego, ul. Akademicka 22 – domena publiczna



Pieniądz zastępczy firmy L. Zalewskiego – domena publiczna

Miały tu swoje siedziby: Izba Przemysłowo-Handlowa, Giełda Towarowa i Pieniężna, Krajowe To-



Sala Posiedzeń w Izbie Handlowo-Przemysłowej, Akademicka 17/19 – domena publiczna



Znak firmowy cukierni Zalewskiego – domena publiczna

Naftowe, Stowarzyszenie Architektów RP, Stowarzyszenie Artystów RP. Dziś urzędują Bank Lwów i Prokuratura Obwodowa. Przy ulicy Bouarlarda, na tyłach Izby Handlowo-Przemysłowej, równocześnie zbudowano Instytut Technologiczny. Budowlę ozdabia attyka z rzeźbami cieśli i kowala dłuta W. Przedwojewskiego oraz ceramiczny fryz. Wnętrze ozdabiały słynne witraże (projekty Jana Matejki), ocalał jeden. Dzisiaj mieści się tu Akademia Muzyczna. Wracając na Akademicką, przy bramie nr 17 Izby Handlowo-Przemysłowej umieszczono na ścianie krzyż z koroną cierniową, upamięniający pobicie w tym miejscu kompozytora i znanego piosenkarza Igora Biłozira, który w wyniku odniesionych urazów zmarł.

Gmach Izby Handlowo-Przemysłowej, Akademicka 17/19 – domena publiczna

Kamienica nr 21 to bardzo ciekawa trzypiętrowa budowla w stylu neogotyckim, która została zaprojektowana przez architekta Jana Schulza (1910). Fasadę z dwoma symetrycznymi wykuszami wieńczą balkony i trójkątne attyki przeprute oknami poddasza. Okna tworzą biforia i triforia, balkon drugiego piętra zdobiony jest maswerkami z triforium, a balkon na trzecim piętrze ma balustradę z maswerków. Brama umiesz-

Kamienica przy ul. Akademickiej 21 – domena publiczna



Reklama firmy Branka

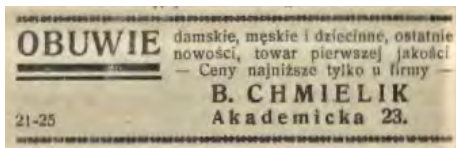




Prof. Leopold Caro (1864–1939) – domena publiczna

czona jest między filarami wychodzącymi z muru i na nich wspiera się wimperga. Ponadto fronton zdobią detale gotyckiej proveniencji. Mieszkał tam profesor Politechniki Lwowskiej Leopold Caro (1864–1939), ekonomista i adwokat.

Mieściło się Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, a profesor Leopold Caro był jego prezesem (1927), ponadto mieściły się tam: redakcja „Lwowskiego Tygodnika Lekarskiego”, Związek Pań Domu, Kosmetyka – Haliny Słodowskiej. Mieszkał także profesor Kazimierz Bocheński, ginekolog. Po wojnie został ordynatorem Kliniki Ginekologii we Wrocławiu. Właścicielem kamienicy był dr Bruno Pokorny, adwokat. Dzisiaj jest sklep z ciuchami Park Avenue i popularna restauracja z deserami Weronika.



Reklama firmy B. Chmielika

Kamienica nr 23 została zbudowana (1909) dla Antoniego Marsa (1851–1918), ginekologa, profesora UJK, przez architekta Ludwika Baldwina Ramułta (1857–1929). Ramułt, prezes Związku Architektów we Lwowie, członek Rady Miasta, członek Rady Państwa w Wiedniu (podlegało mu budownictwo dróg wodnych), założył we Lwowie biuro projektowo-architektoniczne do spółki z Julianem Cybulskim. Ten wzięty architekt wstawił się projektem pawilonu *Panoramy Raclawickiej* we Lwowie (1894). Rotunda miała szkielet żelazny, ściany z cegły, trzy piętra, z kopułą i latarnią doświetlającą (ok. 25 m wysokości i 38 m średnicy). Kamienica nr 23 ma dwa piętra, mieściła Salon Sztuki Feliksa Wygrzywalskiego, Polskie Towarzystwo Tatrzańskie – Oddział Lwowski, Klub Filmowy Awangarda, zakład modniarski Janiny Michalikowej, zakład zegarmistrzowski Kazimierza Adela i sklep z bu-

tami B. Chmielika. Później dom przeszedł w ręce adwokata dr. Stanisława Popieła oraz inżyniera Mariana Przetockiego. Dzisiaj mieści się tam Indeks-Bank.

Kamienica nr 25, na rogu Akademickiej i Fredry, zbudowana została w 1911 roku. W stylu jest eklektyczna, trzypiętrowa, z wykuszami pierwszego i drugiego piętra z obu stron fasady i na narożu kamienicy, na nich balkony trzeciego piętra. Gzyms z guttami biegnie nad trzecim piętrzem, oddzielając poddasze od fasady. Przed I wojną światową mieszkał tam Władysław Barącz, dyrektor Teatru Skarbkowskiego. Prowadził w kamienicy szkołę śpiewu, deklamacji i dramaturgii. Na parterze czynna była, od powstania kamienicy, kawiarnia Roma. Piękny wystrój wnętrza zawdzięczała malarzom Henrykowi Uziemble i Karolowi Fryczowi. Gromac-



Reklama zegarmistrza Kazimierza Adela – domena publiczna

dziła literatów, muzyków i artystów różnych profesji. Częstoym gościem i duszą kawiarni był Ostap Ortwin, prezes Lwowskiego Oddziału Zawodowego Związku Literatów Polskich. Oskar Katzenellenbogen (1876–1942), bo takie było jego prawdziwe nazwisko, był



Ul. Akademicka, pierwsza z prawej kamienica nr 25 – domena publiczna



Ostap Ortwin (z prawej) z Leopoldem Staffem, Wikipedia  
Alfred Schütz (z lewej), Włada Majewska, Wiktor Budzyński,  
1936 – domena publiczna

dziennikarzem, krytykiem literackim i prawnikiem. Na wniosek Polskiej Akademii Literatury został uhonorowany Złotym Wawrzynem Akademickim – zasłużony dla literatury. Zginął zastrzelony przez hitlerowców na lwowskiej ulicy w marcu 1942 roku. Bywał tu także w doborowym towarzystwie Alfred Schütz (1910–1999), współpracownik Wesołej Lwowskiej Fali i jej kierownik muzyczny, kompozytor muzyki do pieśni *Czerwone maki na Monte Cassino*, wielki twórca i kompozytor setek piosenek. Do tego towarzystwa należeli też Włada Majewska (1911–2011), aktorka i piosenkarka, oraz Wiktor Budzyński (1906–1972), dziennikarz, reżyser i kierownik literacki rozgłośni lwowskiej Polskiego Radia.



Samolot Potez XXV przy Akademickiej 25, Lwów  
(1929) – domena publiczna

W czasie Tygodnia Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej w 1929 roku stanął pod kamienicą nr 25, obok kawiarni Roma, samolot Potez XXV, który stał się niebywałą atrakcją dla mieszkańców Lwiewo Grodu (Polska



zakupiła licencję tego samolotu od firmy Avions Henri Potez – 1925).

Kamienicę nr 27 na rogu Fredry i Łozińskiego zaprojektował architekt Zbigniew Brochwicz-Lewiński (1909). Jej właścicielem był Tomasz Zieliński. Do 1941 roku działała tam kawiarnia Szkocka, słynąca z konwentykli lwowskiej szkoły matematyków. Piszę o tej niezwyklej w historii lwowskiej matematyki kamienicy w eseju *Ulica Łozińskiego*. Odwiedzali ją, podobnie jak sąsiednią kawiarnię Roma, pisarze i artyści. Obecnie powrócono do tradycji i dalej istnieje kawiarnia Szkocka z wejściem od ulicy Fredry.

W kamienicy nr 24, jednopiętrowej, Paulina Lachner-Kościelecka prowadziła znaną szkołę fortepianu. Były tu też: studio fotograficzne Venus, restauracja Pomorzanka i delikatesy Jana Górniaka, firma Terra sprzedawała nawozy sztuczne, a Stefan Frączek miał prywatną firmę przewozową. Kamienica była własnością Anny Kuczyńskiej, Jana Łozińskiego i Heleny Mołodyńskiej, żony kapitana armii polskiej. Dzisiaj są tam: sklep z obuwiem Fashion Shoes, Stomatologiczna Poliklinika, kantor wymiany walut oraz salon telefonii komórkowej MTC.

Trzypiętrowa kamienica nr 26 Romualda Turasiewicza została zaprojektowana przez architekta Juliana Cybulskiego (1897). Potocznie była nazywana przez lwowiaków Kamienicą pod Atlantami. Szeroki wykusz, nakryty balkonem trzeciego piętra, wspiera się na czterech atlantach. Nad balkonem attyka z gierowanym gzymsem, po bokach dwie lukarny. Okna interesująco zdobione. Później dom stał się własnością dr. Rudolfa Breitera, ginekologa, który zapisał kamienicę na biednych studentów. Były tam: sprzedaż maszyn do szycia Józefa Iwanickiego (1901), sklep z farbami, lakierami i kosmetykami – Łopuszański, atelier Foto-Huber, pralnia Europejska, sklep Przemysł Ludo-



Reklama Józefa Iwanickiego – domena publiczna



Ul. Akademicka 28 (pierwsza z lewej) –  
domena publiczna

Szewczenki). Ostatnim jej właścicielem był dr Stanisław Moszkowicz, adwokat. Apteka J. Pilewskiego Pod Duchem Świętym zaczęła tu służbę już w 1899 roku, był też antykwariat A. Krawczyńskiego i kawiarnia Szarotka. Kino istniało w tej kamienicy od 1912 roku. Najpierw był kinoteatr Corso, potem Warszawa, Pan, Rialto, a w czasach powojennych Pionier, im. Szczorsa, im. Szewczenki. W 1992 roku kino zostało zamknięte. Dziś jest piękny Modern Art Hotel i restauracja Cinema Jazz Hruszewski.



Pomnik Hruszewskiego na  
placu Akademickim we Lwowie –  
domena publiczna

wy – pamiątki, meble i antyki – Sarabacha, wędliny – Kotowicz, X Komisariat Policji Państwowej. Podczas wojny (za okupacji niemieckiej) była tu placówka Ukrainische Hilfspolizei. Dziś kusi belgijsko-ukraiński sklep z biżuterią St. Diamond, proponuje wyjazdy biuro turystyczne Piramida-Tur oraz ma tu kancelarię notariusz.

Trzypiętrowa kamienica nr 28, należąca do inżyniera Karola Zygmunta Richtmana-Rudniewskiego (1862–1921), została zbudowana według projektu architekta Jakuba Bałabana (1897), a neobarokowe detale rzeźbiarskie wykonał Bronisław Sołtys. Główna fasada znajduje się od strony placu Akademickiego, z dwoma wykuszami biegnącymi do dachu i nakrytymi wieżyczkami z lukarnami. Między wieżyczkami niska, prostokątna attyka, a za nią poddasze przerobione na pomieszczenia hotelowe. Kamienica znajduje się między ulicami Koralnicką (Wołoszyna) i Akademicką (al.

Plac Akademicki zwano też placem Fredry od pomnika poety dęta Leonarda Marconiego, na którym właściwie hrabia Aleksander Fredro siedział w fotelu w latach 1897–1944. Po wojnie monument trafił do Wrocławia (1956) i zdobi zabytkowy rynek. Na placu Akademickim ustawiono pomnik ukraińskiego historyka Mychajła Hruszewskiego dęta Dmytro Krwawycza (1994). Historyk przed wojną mieszkał niedaleko, bo na ulicy Długosza nr 5.

Plac Akademicki to taka lwowska „ośmiornica”, bo jakby nie patrzeć, łączą się z nim ulice: Akademicka (al. Szewczenki), Fredry, Łozińskiego (Hercena), Romanowicza (Saksahańskiego), św. Mikołaja (Hruszewskiego), Mochnackiego (Drohoma), Lelewela (Popowicza) i Koralnicka (Wołoszyna).



Pomnik Fredry na placu Akademickim  
we Lwowie – domena publiczna

Plac Akademicki i słynne kawiarnie  
Roma i Szkocka – domena publiczna

Karol Chlipalski

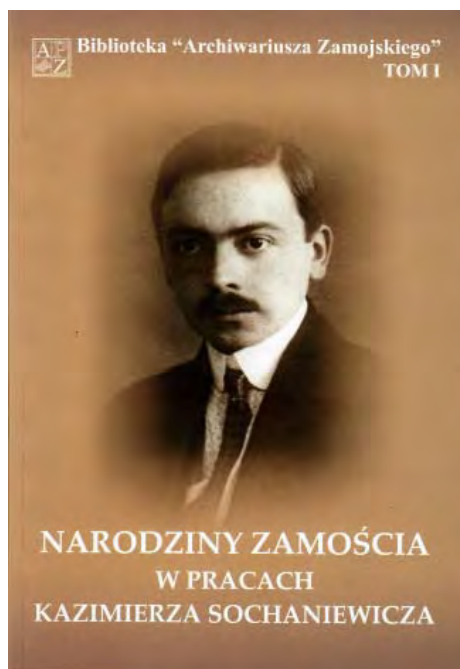
## Pracowite życie Kazimierza Sochaniewicza

Sylwetkę Kazimierza Sochaniewicza na łamach „Cracovia–Leopolis” warto przypomnieć z co najmniej trzech powodów. Po pierwsze był on lwowianinem, wprawdzie urodzonym w Wieliczce, ale pochodzącym z rodziny kresowej, który swoje formatywne lata spędził we Lwowie. Historii Lwowa i – szerzej – kresów południowo-wschodnich – poświęcił sporą część swoich publikacji (choć najbardziej znany jest jako specjalista w zakresie historii Zamościa). Po drugie, w momencie gdy w mediach coraz częściej wspomina się kwestie rewindykacji dóbr kultury, warto przypomnieć burzliwą historię komisji rewindykacyjnej, która przed II wojną starała się odzyskiwać to, co Rosja carska zagabiła od 1772 do 1917 roku, i w której pracach nasz bohater brał czynny udział zakończony pobytem na moskiewskich Butyrkach. Po trzecie wreszcie, Kazimierz Sochaniewicz był poniekąd prekursorem polskiej (i światowej) sowietologii publikując po powrocie z Sowietów broszurkę pt. *Życie w Rosji Sowieckiej*, w której dzieli się obserwacjami na temat tego, co widział w czasie swojego pobytu w ojczyźnie proletariatu i próbuje to zaskakująco trafnie wytłumaczyć. Jego obserwacje dziś nie zdziwią nikogo, kto choć kilka swoich świadomych lat spędził w realnym socjalizmie, ale biorąc pod uwagę datę ich powstania, są obserwacjami pionierskimi.

### DZIECIŃSTWO WE LWOWIE

Kazimierz Sochaniewicz urodził się 28 lutego 1892 roku w Wieliczce. Był synem Teofila, lekarza weterynarii, i pochodzącej z Tarnopola Marii z domu Gulin. Rodzina ojca zamieszkiwała od dwóch pokoleń Kraków i jego okolice, ale miała również korzenie kresowe. Na akcie małżeństwa dziadków Kazimierza wpisano cyrkuł stryjski jako miejsce pochodzenia ojca pana młodego.

Ojciec przyszłego historyka, wkrótce po narodzinach syna, zostanie powołany do Wydziału Krajowego do Lwowa jako referent ds. weterynaryjnych. Mały Kazimierz od tej pory będzie mieszkał we Lwowie, tu zdobędzie wykształcenie i to miasto bę-



dzie jego domem przez większość życia. Tu umrze i zostanie pochowany na cmentarzu Łyczakowskim.

Po ukończeniu czteroklasowej szkoły ludowej bohater niniejszego szkicu wstąpił do III Gimnazjum Klasycznego im. Franciszka Józefa we Lwowie (późniejsze Gimnazjum im. króla Stefana Batorego). W szkole średniej ujawniła się jego pasja do historii. Szczęście mu sprzyjało, bo napotkał wybitnych nauczycieli tego przedmiotu. Dość wspomnieć, że kółko historyczne, którego aktywnym członkiem był Kazimierz Sochaniewicz, prowadził dr Władysław Semkowicz, późniejszy profesor UJ i autor wielokrotnie wznawianej *Encyklopedii nauk pomocniczych historii*. Semkowicz był znany z tego, że potrafił rozbudzić w swoich uczniach pasję do wykładanego przez siebie przedmiotu. I tak zapewne stało się w przypadku Kazimierza Sochaniewicza. Zresztą kontakty z tym pierwszym nauczycielem będzie utrzymywał do końca życia.

W 1910 roku Kazimierz Sochaniewicz uzyskał świadectwo dojrzałości. Po maturze

zapisał się na Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Lwowskiego, gdzie studiował historię i geografę. Uczęszczał na seminarium do prof. Stanisława Zakrzewskiego i Ludwika Finkla. Zetknął się również z profesorami Eugeniuszem Romerem i Oswaldem Balzerem. To ten drugi zainspiruje go do badań nad historią prawa i jego Sochaniewicz będzie uważał za swojego mistrza.

### NA ŁAMACH RAZEM Z BRÜCKNEREM

Zanim Kazimierz Sochaniewicz zabierze się za badania historycznoprawne, ujawni innego rodzaju zainteresowania – etnograficzne. Zadebiutuje w druku już w 1911 roku na łamach kwartalnika „Lud”, organu Lwowskiego Towarzystwa Ludoznawczego. Warto zaznaczyć, że nazwisko niespełna dwudziestolatka sąsiaduje na tych łamach z takimi autorami, jak Bronisław Piłsudski, Aleksander Brückner czy Bronisław Malinowski. Pierwszy tekst, jaki młodzieńki student napisał do „Ludu”, to nekrolog Grzegorza Smólskiego, dziennikarza i ludoznawcy zmarłego kilka miesięcy wcześniej. W kolejnym roku obecność Kazimierza Sochaniewicza na łamach „Ludu” (który staje się rocznikiem) jest już bogatsza. Znajdujemy tu artykuł o Hugonie Kołłątaju jako pierwszym metodyku etnografii, omówienie dzieła Smólskiego o gwarze zakopiańskiej, a także kilka notek pomieszczonych w *Kronice etnograficznej*, gdzie wszystkie teksty są podpisane bądź nazwiskiem, bądź inicjałami – K.S.

„Lud” w kolejnym roku ukazał się w wersji okrojonej (z powodu braku funduszy) i brak tam śladów obecności Kazimierza Sochaniewicza, ale za to w zbiorczym numerze datowanym na lata 1914–18 znajdujemy przedruk referatu wygłoszonego przez dr. Kazimierza Sochaniewicza pt. *Stosunki narodowościowo-wyznaniowe w dyecezyi podlaskiej w roku 1863*. Jako ciekawostkę można dodać, że na drugiej stronie okładki wojennego numeru czytelnik zobaczy następującą informację: SKŁADANO I DRUKOWANO W CZASIE BOMBARDOWANIA LWOWA OD STYCZNIA DO MARCA 1919. Ale nie wybiegajmy za daleko w przyszłość.

„Lud” nie był jedynym periodykiem, w którym drukował Sochaniewicz jako student. Jego teksty można znaleźć również w kierowanej do szerszego kręgu odbiorców „Kronice Powszechnej, tygodniku społecznym,

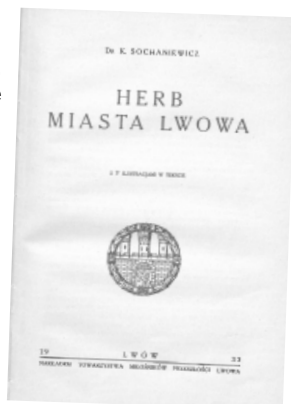
literackim i naukowym”, która wychodziła we Lwowie (1910–1914) sumptem Stanisława Henryka Badeniego. Kazimierz Sochaniewicz zamieszcza tam krótkie barwne szkice historyczne napisane nieco barokowym językiem niestroniącym od stylizacji. Wśród artykułów sygnowanych jego nazwiskiem znajduje się (nr 10 z 1913 roku) apel o poszanowanie dokumentów, jakie zawierają kancelarie parafialne: „Wiekowym pyłem pokryte drzemią tam skarby nieocenione. Ruszysz je choćby z lekka, na moment, te kroniki parafialne, a wnet odłoni ci się zwierciadło czasów głębszych niejednokrotnie, aniżeli saskie ostatki”. Zamiłowanie do archiwów tych małych i tych większych będzie mu towarzyszyło do końca życia.

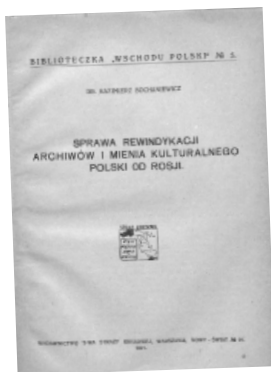
Z czasem Kazimierz Sochaniewicz zaczyna drukować w czasopismach stricte naukowych – w „Miesięczniku Heraldycznym” (od 1914), a także „Kwartalniku Historycznym”, co zdaniem profesora Ryszarda Szczygięła, było znacznym wyróżnieniem dla studenta. W 1914 roku zamieścił tam recenzję pracy Mariana Gumowskiego, jednego z najwybitniejszych polskich numizmatyków. Praca traktowała o medalach króla Stefana Batorego.

Aktywność Kazimierza Sochaniewicza w latach studenckich nie ograniczała się do pisywania do prasy. Poza pilną nauką i zdawaniem egzaminów brał udział w pracach koła naukowego studentów, którego został prezesem w roku akademickim 1913/14. W latach 1910–1912 odbył praktykę archiwalną w archiwum książąt Sapiehów przy Ossolineum. Ze względu na trudną sytuację materialną (jego ojciec zmarł w 1910 r.) utrzymywał się, pracując w bibliotece Wydziału Krajowego we Lwowie.

### W CK ARMII I POZA NIĄ

Studia przerwała wojna. W 1914 roku Kazimierz Sochaniewicz został zmobilizowany, ale ze względu na zły stan zdrowia dość szybko wrócił do cywila, co natychmiast wykorzystał na wyjazd do Wiednia.





Tam zapisał się na prawo na tamtejszym uniwersytecie, równocześnie studiując w Institut für Österreichische Geschichtsforschung, placówką badawczą wyspecjalizowaną w naukach pomocniczych historii. Pobyt w Wiedniu nie trwał jednak długo. W 1915 roku został ponownie zmobilizowany i służąc

jako oficer w 30. pułku „lwowskim” piechoty, zapewne trochę za sprawą Klio, muzy historii, trafił do Zamościa. Zamość go oczarował jako miasto, z którego – według jego własnych słów – „tchnęła historia”. Młody historyk musiał szybko się zorientować, że Perła Rostocza jest idealnym przedmiotem do prac badawczych dla ambitnego naukowca. Miasto, które odegrało ważną rolę w historii Rzeczypospolitej, pozostawało dotąd na marginesie zainteresowań historyków. Kazimierz Sochaniewicz zabrał się więc energicznie do czytania dokumentów, jakie spoczywały nieruszone od stuleci w zamojskich archiwach, głównie w Bibliotece Ordynacji Zamojskich, i robił to w chwilach wolnych od zajęć wojskowych. Jak intensywne były to badania i w jak pożyteczny sposób młody historyk potrafił wykorzystać dwa lata, jakie spędził w „Padwie na Rostoczu”, niech zaświadczy fakt, że w zestawieniu bibliograficznym prac Kazimierza Sochaniewicza można naliczyć kilkadziesiąt pozycji, których tytuły wskazują na tematykę zamojską. Nic nie wiemy, jakoby miał on dłużej przebywać w Zamościu w późniejszych latach, więc gros badań musiał przeprowadzić właśnie w latach 1915–17.

Pobyt w Zamościu przerwało ponownie zwolnienie ze służby w armii austriackiej, tym razem definitywne, które nastąpiło w 1917 roku. Przyczyną był stan zdrowia. Kazimierz Sochaniewicz powrócił więc do Lwowa, gdzie podjął pracę w VIII Gimnazjum, uzyskując uprawnienia nauczycielskie. W tym czasie uzyskał też doktorat na podstawie złożonych egzaminów.

W listopadzie 1918 roku po raz kolejny przyszło Kazimierzowi Sochaniewiczowi wdziać mundur, tym razem już polski. Gdy Lwów zajęli Ukraińcy, 28-letni nauczyciel hi-

storii i geografii zgłosił się na ochotnika do obrony swojego miasta, jednak ze względu na stan zdrowia nie trafił na barykady, tylko do kancelarii szpitalnej, gdzie udowodnił, że przekładając papiery, można służyć ofiarnie i być pożytecznym. W przeciwnym bowiem wypadku nie zostałby odznaczony Krzyżem Obrony Lwowa i Odznaką Orła Lwowskich, a władze wojskowe, po szczęśliwym wyparciu Ukraińców, nie przeniosłyby Kazimierza Sochaniewicza do kancelarii Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego do Warszawy, a następnie – co już bardziej leżało po linii jego zainteresowań – do Polskiego Archiwum Wojennego w charakterze zastępcy Oddziału Warszawskiego. Doświadczenie w pracy archiwalnej zaowocowało następnie powierzeniem mu zadania porządkowania Archiwum Skarbowego Warszawskiego na zlecenie Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Pracę rozpoczął pod koniec kwietnia, jednak szybko zorientował się, że warunki, w jakich przyszło mu pracować, nie satysfakcjonowały przyzwyczajonego do austriackich porządków historyka: 3/4 akt miało być nietkniętych od lat 50. XIX wieku i pokrywała je 2–3 mm warstwa kurzu, a w samym archiwum miała panować, według jego słów skreślonych w liście do Władysława Semkowicza z czerwca 1920 roku, „bezplanowość”. I tak już po kilku tygodniach Sochaniewicz zaczął nosić się z zamiarem powrotu do Lwowa i podjęcia pracy w gimnazjum. Jednak nie tak od razu stało się to możliwe.

Gdy sowieci zbliżali się do Warszawy, Kazimierz Sochaniewicz po raz kolejny wstępuje na ochotnika do wojska i znowu przychodzi mu służyć z dala od miejsc, gdzie słychać było świst kul. Sztab generalny Wojska Polskiego tym razem powierzył mu prowadzenie zajęć dla oficerów i tworzenie materiałów oświatowych, jakie miały być później użyte przez oficerów w pracy z żołnierzami. Owocem tych zajęć była broszura pt. *Jak prowadzić pogadanki z żołnierzami o dziejach ziemi, narodu i państwa polskiego*. Wśród historyków można spotkać opinię, że sporą część zasługi zwycięstwa w wojnie polsko-bolszewickiej należy przypisać działaniom oświatowym, dzięki którym w ciągu krótkiego czasu młodzi ludzie pochodzący z trzech zaborów i trzech różnych systemów edukacyjnych, w jakiejś części zapewne

nieposiadający wykrystalizowanej tożsamości narodowej, stali się polskimi patriotami. Najprawdopodobniej część tej zasługi spada na Kazimierza Sochaniewicza.

## REWINDYKACJA DÓBR NARODOWYCH

Nie wiemy, kiedy bohatera niniejszego szkicu zainteresowała kwestia strat, jakie poniosła kultura polska w efekcie rozbiorów, i czy badania na ten temat były jego prywatną inicjatywą czy też poleceniem otrzymanym od władz wojskowych. W każdym razie już w czerwcu 1921 roku, kilka miesięcy po zawarciu pokoju ryskiego, Kazimierz Sochaniewicz publikuje broszurkę *Sprawa rewindykacji archiwów i mienia kulturalnego Polski od Rosji*, która równoległe pojawi się w formie serii artykułów w kolejnych numerach miesięcznika politycznego „Wschód Polski”. Jak twierdzi Dariusz Matelski, Sochaniewicz jako pierwszy poruszył to zagadnienie wobec szerokiej publiczności. Temat był na czasie, bowiem podpisany kilka miesięcy wcześniej traktat ryski zawierał zapis o zwrocie dóbr kultury zagrabionych przez Rosję od 1772 roku począwszy (punkt XI traktatu). Na 74 stronach broszurki niespełna trzydziestoletni Sochaniewicz wnikliwie analizuje, co, kiedy i w jakich okolicznościach Rosjanie wywieźli do siebie, a także status prawny tych dóbr; podaje również – w przypadku, gdzie to było wiadome – dalsze losy oraz miejsce ówczesnego przechowywania zagrabionych dóbr kultury.

Aby zdać sobie sprawę z ogromu pracy, jaki Kazimierz Sochaniewicz musiał wykonać, należy wziąć pod uwagę, że rabunek nie był jednorazowy, dotyczył różnych ziem i dokonywany był w różnych okolicznościach. Pierwsze rabunki nastąpiły w roku 1772, kiedy to wraz z pierwszym rozbiorem w ręce rosyjskie wpadł m.in. Nieśwież Radziwiłłów, gdzie poza majątkiem własnym magnackiej rodziny znajdowały się zbiory posiadające charakter publiczno-prawny: na mocy dokumentu wydanego przez Zygmunta Augusta przechowywane w Nieświeżu były m.in. przywileje litewskie i tzw. tomicjana, czyli akta urzędowe z czasów Zygmunta Starego. Kolejna fala grabieży przeszła przez



ziemie polskie za sprawą Suworowa w 1794 roku, gdy wojska rosyjskie zdobyły Warszawę i wywiozły m.in. Bibliotekę Załuskich i wiele innych bogactw kultury polskiej. Wywożono także na potęgę po upadku powstania listopadowego. Oprócz tych najbardziej spektakularnych fal grabieży strumień np. archiwaliów płynął na wschód nieprzerwanie pod pretekstem reorganizacji, a ściślej mówiąc centralizacji urzędów.

Dalsze losy polskich dóbr kultury również były zagmatwane. Poza czołowymi instytucjami Petersburga i Moskwy książki, archiwalia, numizmaty czy dzieła sztuki trafiały w miejsca mniej oczywiste, np. część prywatnej biblioteki króla Stanisława Augusta, którą król wziął ze sobą na wygnanie, została podarowana przez cara Pawła I biskupowi prawosławnemu Astrachania i trafiła nad Morze Kaspijskie. Jeśli weźmiemy też pod uwagę, że niektóre instytucje zmieniały nazwy, ulegały przekształceniom, okazuje się, że sporządzenie tej broszurki wymagało benedyktyńskiej pracy. Być może właśnie autorstwo broszury *Sprawa rewindykacji archiwów i mienia kulturalnego Polski od Rosji* przyczyniło się do tego, że Kazimierz Sochaniewicz otrzymał propozycję włączenia się w charakterze eksperta w prace komisji



Oswald Balzer, zbiory NAC

tematycznej pracy naukowej i rozgoryczony rozważał „likwidację” swojej działalności na tym polu. „To [ukończenie studiów prawnych] da mi ewentualnie możliwość przejścia do zawodu wolnego, gdzie wysiłek energii da mi możliwość życia, a nie wegetacji” – pisał do Semkowicza w wigilię świąt Bożego Narodzenia 1923 roku. Jednak historii nie porzucił.

### **UDZIAŁ W KOMISJI REWINDYKACYJNEJ**

Komisja, która miała na celu rewindykację polskich dóbr kultury, nosiła nazwę Mieszanej Komisji Specjalnej (równolegle działała Komisja Reewakuacyjna, której obszarem działania była rewindykacja dóbr gospodarczych i przemysłowych wywiezionych z terytorium Polski w czasie I wojny światowej). Została ona podzielona na wydziały: muzealną, bibliotek, archiwów historycznych i pomocy naukowych oraz archiwów administracyjnych. Na jej czele z polskiej strony stanął Antoni Olszewski, polityk i dyplomata, wcześniej minister przemysłu i handlu, a następnie Edward Kuntze, późniejszy dyrektor Biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Komisja zaczęła swoje działania w październiku 1921 roku. Od samego początku strona sowiecka stosowała obstrukcję, której celem było uniemożliwienie wykonania postanowień traktatowych. Zdaniem polskich ekspertów niechęć do zwrotu Polsce zagrabionych dóbr kultury brała się z jednej strony z przekonania władz sowieckich, że należy utrudniać funkcjonowanie nowo powstałemu państwu polskiemu, jak tylko to możliwe, z drugiej natomiast rosyjscy eksperci, często profesorowie uniwersyteccy, nie chcieli wypuścić z rąk cennych obiektów. Oddajmy głos samemu Sochaniwiczowi, który w czerwcu 1924 roku w liście do Władysława Semkowicza tak charakteryzuje działalność sowieckich członków Komisji: „Polityka sabotażu i wyczerpania prowadzona przez Rosjan dąży świadomie do tego, aby wyczerpać naszą cierpliwość, znękać i zmusić do rezygnacji [z] praw odzyskowych”. I rzeczywiście, aby zminimalizować liczbę dóbr, jakie miały zostać zwrócone, strona rosyjska stosowała różne sposoby: od czysto prawnych – stawianie niemoż-

rewindykacyjnej (w komisji tej jedną z czołowych ról odgrywał jego dawny nauczyciel – prof. Semkowicz).

Ale zanim bohater niniejszego szkicu pojechał do Moskwy i Piotrogradu odzyskiwać polskie dobra kultury, miały upłynąć jeszcze niemal trzy lata. Tymczasem wrócił do Lwowa, do pracy w VIII gimnazjum, którą to przerwał w momencie zajęcia grodu nad Pełtwią przez Ukraińców. Jego życie we Lwowie nie było usłane różami. Konfrontował się z bardzo trudną sytuacją finansową. Jego brat służył wciąż w wojsku, mama ciężko zachorowała na czerwonkę, więc na niego spadło w dużym stopniu utrzymanie mamy i uczęszczającej jeszcze do szkoły siostry. Równolegle wznowił studia prawnicze na Uniwersytecie Jana Kazimierza, które niegdyś rozpoczął w Wiedniu. Zdaniem prof. Szczygiela miał to być wstęp do podjęcia gruntownych badań nad prawnymi aspektami dziejów Kościoła wschodniego. Jednak z korespondencji naszego bohatera z Władysławem Semkowiczem wynika, że Sochaniwicz przechodził wówczas głęboki kryzys. Obłożenie zajęciami (32 godziny tygodniowo, w tym 26 przed i 6 po południu) nie dawało mu możliwości prowadzenia sys-



liwych do spełnienia wymagań odnośnie do dokumentacji, jaka miała zostać przedstawiona – po zastraszeniu fizyczne. Ofiarą tego ostatniego padł właśnie Kazimierz Sochaniewicz. Ale po kolei.

## WRÓG ZWIĄZKU SOWIECKIEGO

Sochaniewicz przyjeżdża do Moskwy 27 kwietnia 1924 roku „w warunkach bardzo wygodnych i pomyślnych”. 29 kwietnia jedzie już do Piotrogradu, gdzie wraz z ks. Bronisławem Ussasem miał nadzorować odbiór rękopisów i książek z rosyjskiej biblioteki publicznej. W liście do W. Semkowicza z 15 czerwca informuje o odebraniu ok. 700 woluminów. W liście z 5 lipca informuje o postępach prac: „Odbieramy teraz działy mniej interesujące VI–IX [:] medycynę, fizykę, chemię i matematykę. Rękopisów tych jest sporo, zwłaszcza Załuskiego. Trafia się dość dużo bardzo cennych militariów Dąbrowskiego, ale o nie toczy się ciężka walka. Z książek odebraliśmy sto kilkadziesiąt inkunabułów klasztoru łysogórskiego, teraz toczy się walka o inkunabuły klasztorów cysterskich, walka bardzo ciężka, połączona z pisaniem replik, oświadczeń, protestów, dyskusji i przewlekań”. Przy tej samej okazji bardzo narzeka na brak wsparcia ze strony MSZ.

Ten drugi list musiał być napisany tuż przed aresztowaniem, które nastąpiło na przełomie lipca i sierpnia. Niestety nie mamy bliższych informacji na temat przebiegu tych dramatycznych zdarzeń. W korespondencji prof. Semkowicza jest list od Sochaniewicza, ale dopiero z grudnia 1924, w którym nadawca donosi, iż właśnie powrócił z Włoch, gdzie leczył „strzaskane nerwy i nadwerżone płuca po wydarzeniach bolszewickich”. Píše też, że wybiera się wkrótce do Krakowa, gdzie będzie chciał wygłosić „rodzaj konferencji w sprawach związanych mojejmi pracami i przygodami rewindykacyjnymi”. Przy tej okazji zapowiedział też wizytę w domu prof. Semkowicza przy ul. Podwałe 2, w trakcie której pewnie zdał szczegółowe relacje, które niestety nie zostały nigdzie zanotowane dla potomności.

Z ogólnych informacji na temat aresztowania Sochaniewicza wiemy, że spędził on miesiąc (przełom lipca i sierpnia) na okrytych ponurą sławą moskiewskich Butyrkach, a następnie został deportowany do

Polski<sup>1</sup>. Oficjalnym powodem aresztowania była działalność wroga wobec Związku Sowieckiego.

Pomimo że jego pobyt w Związku Sowieckim był krótki i dramatyczny, Sochaniewicz zgromadził mnóstwo obserwacji, którymi następnie, po powrocie do kraju, dzielił się w czasie odczytów, jakie miały miejsce w Warszawie, Lwowie i Lublinie (nie wiemy, czy krakowska „konferencja” doszła do skutku). Treść tych odczytów została następnie zebrana i wydana w formie broszury przez wydawnictwo Towarzystwo Straży Kresowej. Lektura *Życia w Rosji Sowieckiej*, bo pod takim tytułem broszurka została wydana, świadczy o tym, że Sochaniewicz był pierwszorzędnym obserwatorem. Z jej treści wynika, że młody (wciąż jeszcze, bo zaledwie 33-letni w momencie pobytu w ZSRS) historyk zabrał się w niezwykle metodyczny sposób do badania sowieckiej rzeczywistości, odwiedzając sklepy, aukcje staroci, porównując ceny, przyglądając się stanowi technicznemu budynków, taboru kolejowego, sposobowi ubrania przechodniów na ulicy itp. Można przypuszczać, że dociekliwość Sochaniewicza nie uszła baczny oczom GPU i przyczyniła się do wydalenia go z Ojczyzny Proletariatu.

To, co zaobserwował Sochaniewicz, poddał drobiazgowej analizie, malując obraz Związku Sowieckiego, który i dziś zdumiewa trafnością. Zacytujmy fragment, którego nie powstydziliby się George Kennan: „Materiaлистyczne podstawy komunizmu, eliminujące zupełnie świat ducha, doprowadziły do najdalej idących eksperymentów w zakresie mechaniczacji życia państwowego. Cała konstrukcja państwa i dokonywanie w tym kierunku ewolucje nie liczą się z psychologią jednostki, ani z psychologią narodu. Koncepcje polityczno-narodowościowe, panujące obecnie w Rosji, świadczą doskonale o tym, że realne wartości polityki narodowościowej muszą na każdym kroku ustępować wartościom państwowym. Dla szerokich mas ma się w zanadru tanią demagogię, dla zagranicy propagandę i kłamiwy blichtr – po za tem wszystkim kryje się terror rządu rewolucyjnego w stosunku do jednostki,

<sup>1</sup> Innym więźniem, członkiem Komisji mieszanej był ks. Bronisław Ussas, szef biura polskiej delegacji w Petersburgu/Leningradzie.

społeczeństwa i narodu” (ortografia i interpunkcja oryginału zachowane). Jedyny niedosyt, który czujemy po lekturze *Życia w Rosji Sowieckiej*, to ten odnoszący się do osobistych wspomnień autora, który w zbyt naukowy sposób podszedł do tematu, zaniedbując przedstawienie nam osobistych przeżyć, okoliczności zatrzymania, pobytu na Butyrkach itp.

## Z POWROTEM W SZKOLNICTWIE

Po powrocie do Lwowa Sochaniewicz trafia do szkolnictwa, tym razem do placówki, której mury opuścił 15 lat wcześniej, czyli III Gimnazjum im. Stefana Batorego, tak bowiem szkoła nosząca wcześniej imię Franciszka Józefa została nazwana w wolnej Polsce. W 1926 roku żeni się z Zofią Heleną ze Szczurkiewiczów. Ze związku tego urodził się w 1927 roku syn Lesław. Rodzina Sochaniewiczów zamieszkiwała we Lwowie przy ul. Snopkowskiej 33.

Ani praca w gimnazjum, ani życie rodzinne nie odciągały go jednak od pracy naukowej, a także organizacyjnej. Publikacje powstałe po roku 1925, jeśli chodzi o zakres terytorialny, dotyczą głównie dawnego województwa lubelskiego i ruskiego, a pod koniec życia także Torunia, gdzie Kazimierz Sochaniewicz znalazł ostatnie zatrudnienie. Jeśli natomiast chodzi o zakres tematyczny, można wyróżnić z grubsza trzy ich typy. Po pierwsze są to artykuły dotyczące nauk pomocniczych historii, np. na temat numizmatów, herbów oraz historii miar i wag. W kwartalniku „Cracovia–Leopolis” należy wspomnieć przede wszystkim o studium *Herb Miasta Lwowa*, opublikowanym nakładem Towarzystwa Miłośników Przeszłości Lwowa pośmiertnie w 1933 roku. Drugą grupę stanowią publikacje dotyczące historii prawa, w tym edycja źródeł. Trzeci typ publikacji to refleksje i propozycje dotyczące nauczania historii i prowadzenia badań historycznych<sup>2</sup>.

Poza pracą stricte naukową Kazimierz Sochaniewicz sięgał po pióro często i chętnie w celach popularyzatorskich. Dobór tematyczny publikacji mówi nam wiele na temat temperamentu, jaki cechował bohatera ni-

niejszego szkicu, który warsztat historyka-badacza potrafił połączyć z atrakcyjną formą wypowiedzi. Ułatwiała mu to niewątpliwie wrodzona łatwość pisania i doświadczenia, jakie przyniosła współpraca z prasą popularną w młodości. Na pozór nudne, specjalistyczne tematy ożywały pod jego piórem dzięki pomysłowości nie tylko w sposobie potraktowania tematyki, ale także w doborze wydawnictw, w których upowszechniał swoje prace. Już jako student opublikował pracę o zwyczaju piętnowania koni w Polsce w XV i XVI wieku w... „Przeglądzie Weterynaryjnym” (w którym publikował również jego ojciec). W późniejszych latach czytelnicy „Pamiętnika Literackiego” [t. 24, s. 412–417] mogli zapoznać się np. z problematyką prawa łowieckiego dzięki szkicowi: *Na marginesie sporu o Kusego i Sokola w „Panu Tadeuszu” (uwaga na temat prawa łowczego)*. Nasza narodowa epopeja posłużyła również za pretekst do przedstawienia wyników badań nad historią miar i wag w dawnej Polsce: *Na marginesie „Pana Tadeusza”. Pojęcia agronomiczno-miernicze u A. Mickiewicza („Ruch Literacki”, r. 2, s. 163–169)*. Aktywność popularyzatorską przejawiał także wygłaszając odczyty dla publiczności spoza grona zawodowych historyków. Np. lekarze i przyrodnicy zgromadzeni na zjeździe w Warszawie w 1925 roku mogli wysłuchać prelekcji pt. *O potrzebie systematycznego wydawania materiałów do historii procesów o czary w Polsce oraz O zwyczaju tatuowania na ziemiach polskich*.

Kazimierz Sochaniewicz nie zaniedbywał również działalności na polu organizacyjnym, będąc członkiem wielu organizacji i stowarzyszeń: Polskiego Towarzystwa Historycznego, gdzie pełnił funkcję członka zarządu oddziału lwowskiego, Towarzystwa Naukowego we Lwowie; był kolejno sekretarzem Wydziału Towarzystwa Heraldycznego we Lwowie, a następnie sekretarzem Zarządu Głównego tej organizacji. Działal również w organizacjach nauczycielskich.

Wszystkie te prace, podobnie jak działalność organizacyjna, odbywały się na marginesie pracy nauczycielskiej w III Państwowym Gimnazjum im. Stefana Batorego we Lwowie, a później, krótko, w VI Państwowym Gimnazjum im. Stanisława Staszica. Zresztą ta pierwsza szkoła, będąca również macierzystą szkołą Kazimierza Sochaniewicza,

<sup>2</sup> Bibliografię prac Kazimierza Sochaniewicza można znaleźć pod adresem <https://www.bazhum.pl/bib/article/191678/>.

doczekała się również swojego rysu historycznego jego pióra<sup>3</sup>. Jednak Sochaniewicz był naukowcem i archiwistą z powołania i w takiej działalności widział swoją przyszłość. W 1929 roku szczęście uśmiechnęło się – wystartował w konkursie na dyrektora Archiwum Miejskiego w Toruniu (równocześnie był kandydatem do stanowiska dyrektora biblioteki uniwersyteckiej w Wilnie), który wygrał w cuglach. Jego kandydaturę tak zaopiniował Kazimierz Kaczmarczyk, znany historyk-mediewista, profesor Uniwersytetu Poznańskiego: „Jako kandydat na archiwistę jest poza wszelką konkurencją w stosunku do zgłoszonych kandydatów. [...] Stawiam go jako jedyne kandydata, który wobec wielkiego znaczenia Archiwum Toruńskiego dla nauki może sprostać zadaniom, wymagany od archiwisty i pracować ku chlubie Miasta”.

Niestety nie dane było Kazimierzowi Sochaniewiczowi sprostać tym zadaniom, ale nie z jego winy. Wprawdzie od listopada 1929 roku zabrał się energicznie do pracy przy porządkowaniu i inwentaryzacji toruńskiego archiwum miejskiego i publikowaniu

<sup>3</sup> *Krótki rys dziejów Gimnazjum im. Króla Stefana Batorego [we Lwowie] ze szczególnem uwzględnieniem lat 1918–1928 [w:] Sprawozdanie Dyrekcji Państwowego Gimnazjum III we Lwowie za rok 1927/28.*

prac poruszających problematykę historii tego miasta, to jednak sił starczyło mu na nieco ponad pół roku. Jego zdrowie, słabe od urodzenia, a dodatkowo nadwątlone pobytem w wojsku i na Butyrkach, odmówiło posłuszeństwa. W czerwcu 1930 roku w czasie pobytu na konferencji w Krakowie ciężko zachorował i zmuszony został powrócić do Lwowa. Umarł w pół roku później – 28 grudnia 1930 roku. Został pochowany na cmentarzu Łyczakowskim. Jego imię nosi dziś ulica w Zamościu.

#### KORZYSTAŁEM Z:

Korespondencja Władysława Semkowicza z 1920, 1923, 1924, 1926–27, 1928–29, BJ Rkp.

Kuczyński Stefan K., *Stefan Sochaniewicz, Polski Słownik Biograficzny*, t. XXXIX, Warszawa–Kraków 1999–2000

Kuntze Edward, *Zwrot polskich zbiorów bibliotecznych z Rosji*, Kraków 1937

Łaskarzewska Hanna, *Traktat ryski. Fakty i refleksje. Cenne, bezcenne, utracone 1/74–4/77* (2013)

Matelski Dariusz, *Losy polskich dóbr kultury w Rosji i ZSRR*, Poznań 2003

Przybyszewski Kazimierz, *Bibliografia prac drukowanych doktora Kazimierza Romana Sochaniewicza (1892–1930), historyka-archiwisty, kierownika Archiwum Miejskiego w Toruniu*, „Rocznik Toruński 35” (2008)

Tyszkowski Kazimierz, *Z dziejów rewindykacji*, Lwów 1924

## Piszą do redakcji

Tym razem mówią... Podczas spotkania w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” pani Anna Cyankiewicz, stała czytelniczka naszego kwartalnika, nawiązując do tekstu Pawła Stachnika *Włodzimierz Puchalski – fotograf przyrody z Kresów* („Cracovia-Leopolis”, nr 1/2023, s. 58–62), poinformowała nas, że na murze kaplicy na cmentarzu przy ul. Mała Góra w Krakowie znajduje się tablica poświęcona fotografikowi. Na tablicy czytamy: *Włodzimierz Puchalski 1909–1979, pionier polskiego filmu, fotografii i albumów przyrodniczych pochowany na Antarktydzie*. W tablicę wmurowany jest kamień pochodzący z grobu Puchalskiego znajdującego się na wyspie św. Jerzego. Bardzo dziękujemy Pani za cenne uzupełnienie, o którym warto wiedzieć i pamiętać.



Aleksandra Solarewicz

## Baby, artyści i wariatuńcie

### TEN TO NA PEWNO ZE LWOWA...

– Mój promotor nazywa się Tatarowski – obwieściłam Babci.

– O? W Żółkwi byli Tatarowscy – stwierdziła po namyśle.

– Ćwiczenia z literatury romantyzmu są z dr. Bilińskim.

– We Lwowie była pani Bilińska – odpowiedziała natychmiast.

– Wykładowca filozofii nazywa się Dehnel.

– Pani Dehnelowa była ze Lwowa – trudno by było udowodnić, że to inna linia, i w takich momentach dyskusja się kończyła.

Opowiadałam o tym na uczelni. Prof. Lesław Tatarowski (który z Kresami nie ma nic wspólnego) uśmiechnął się pod wąsem:

– To jest taki lwowski „szowinizm”, co?

Coś w tym jest. Wszystko, co dawne i szlachetne albo po prostu godne zapamiętania, musiało mieć związek ze Lworem. Szkoda, że mimo ogromnego ładunku uczuć wobec Lwowa, Babcia nie przekazała mi „obrazków”. Na szczęście jej brat, Kazik Rychłowski, ocalił od zapomnienia kilku takich ludzi.

### SZTABSKAPITAN, ŚPIEWAK I PAWEŁ

Mówiono o takim: „wariatuńcio z Kulparkowa”, bo na Kulparkowie znajdował się szpital psychiatryczny albo „myszygene”. Pierwszym jest Sztabskapitan. Ten jego-ność z francuskim kepi na głowie chodził ubrany zawsze w bryczesy i wysokie buty z cholewami, a przy sobie nosił szpicrutę. Na co dzień regulował ruch na skrzyżowaniach, a kiedy spotkał oddział wojska, dołączał i maszerował przed nim, wydając komendy w języku niemieckim. Podczas gdy Sztabskapitan salutował, inny wędrowiec śpiewał na trotuarach donośnym głosem: „Tramwaj za tramwajem”, „Buwaj ty zdrowa, moja serdeńko...”. Z kolei na piętrowym stryszku jakiejś kamienicy mieszkał Paweł, człowiek twierdzący, że nie ma nazwiska. Kojarzony był natomiast ze swoją okrutnie śmierdzącą fajką. Na swój stryszek wchodził po drabinie, a na sąsiednim dachu su-



Ludomir Benedyktowicz

szył stare austriackie banknoty, starannie je przeliczając za każdym razem. Wujek wspominał też „wariatuńcia”, który po wejściu bolszewików w 1939 roku, idąc ulicą Jabłonowskich, chciał rozłożonymi rękami zatrzymać sowiecki patrol. „Padł od pierwszej kuli”.

### BABY Z RYNKU

„Pójdźmy teraz do »centrum handlowego«, na Rynek – pisał wujek Kazik – to dopiero raj! U każdej »baby« inny – jakżeż smaczny, gatunek jabłek, śliwek, gruszek! W korobkach świeżutkie poziomki. Borówki! Owinięte w liście kapusty osetki masła. Twarożek w czystych białych szmatkach. Śmietana w bańkach. Oby tylko nie była podprawiona mąką! [...] To w lecie. A w zimie? W zimie [...] handlowały w Rynku przeważnie »zawodowe przekupki«. Rozkładały się na stołeczkach, rozkładały na ziemi towar, fasolę, groch, kaszę hreczaną, masło, nawet jajka. Obok duży, żelazny garnek z żarzącym się węglem drzewnym. Grzało to nie



Erno Erb, Przekupki na rynku we Lwowie

gorzej od piecyka, a garnek znajdował się najczęściej... pod spódnicą”.

Wujek wspominał też ulicznych sprzedawców, wołających „Świży, świży precli”, „Gorące marony!” (jadalne kasztany). Czym wujek-poeta się wzruszał i bawił, to jego siostra surowo oceniała. Nie znosiła ona gatunku przekupek ze względu na ich maniery. Taka rozjuszona „baba” z lwowskiego Rynku brała się pod boki, po drugiej stronie placu stawała do boju jej konkurentka i zaczynała się: „Ty taka – owaka!”. Babcia zapewniała, że baby w gniewie były „strasznie ordynarne”. I rzeczywiście, mówiła, oszukiwały, dodając mąki do śmietany.

### DZIADKI Z ULICY

– Przed wojną była straszna bieda – kiwał głową wujek Kazik. – To prawda. Ale niewątpliwie szło już ku lepszemu. Idąc rano do szkoły Benedyktynek Ormianek, Babcia mijiała kościół św. Antoniego (swój ulubiony). Siadywał tam pewien żebrak, któremu chętnie oddawała drugie śniadanie. Pod innym lwowskim kościołem siedział niewidomy i z tego wynikała pocieszna historia. Któregoś razu idzie nasz dziadek i widzi, że ten „niewidomy” siedzi zatopiony w lekturze

gazety. – To pan czyta? – zapytał zdziwiony. – Ja... nie czytam, ino oglądam – odparł szczerze staruszek.

Wszyscy znali dziadków spod kościoła, ale nie każdy widywał żebraków ze Lwowa. Najstarszy siostrzeniec Babci, Adam, zwrócił się raz „Dziadku” do nestora rodu. Starszy pan nagle zamilkł, nasrożył się, wolno wstał i odszedł do swego pokoju. Siedział w nim potem smutny i nie dał się namówić do powrotu. Atmosfera gęstniała, w końcu interweniowała babcia. Adaś poszedł z przeprosinami i pocałował starszego pana w dłoń. I wtedy się chłopak z Rohatyna dowiedział, że we Lwowie „dziadek” to jest określenie zarezerwowane dla żebraka. A do seniora wolno zwracać się wyłącznie eleganckim „Dziadziu”.

### ARTYŚCI

W latach 20. na obiady do prababci Marii Rychłowskiej przy ul. Chorążczyzny przychodził bezręki malarz, weteran i inwalida. Ludomir Benedyktynowicz (1844–1926) jako młody chłopak walczył w powstaniu styczniowym i stracił obie dłonie<sup>1</sup>. Nie poddał

<sup>1</sup> Wujek twierdził, że odrabiali mu je Rosjanie, kiedy go schwytali z bronią w rękę.



Henryk Zbierzchowski, NAC

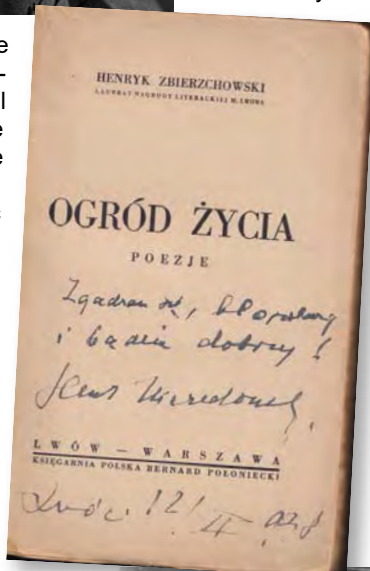
*Czasem, gdy złość w nich zapłonie  
Żona mężowi  
Albo mąż żonie  
Coś niemiłego powie:  
Jakieś słowo, jakiś zgrzyt,  
Że słuchać wstyd.  
(Kłótnia małżeńska)*

Pradziadek – tłumacz symbolistycznej poezji francuskiej – stawiał poetom wyższe wymagania, a poza tym miał zwyczaj rąbać prawdę w oczy, co też i tu uczynił i panowie się pokłócili. Kiedy już doszło do zgody, Henryk Zbierzchowski napisał nawet dla Rychłowskiego pojednawczy wiersz, zwracając się do niego „mój przyjacielu”.

Co to był za wiersz, na razie nie wiem, bo został już tylko jeden świadek historii, za to milczący i w płóciennej oprawie. Jest nim tom poezji pt. *Ogród życia* (Lwów 1935), który dostałam za życia Babci. Nie znalazłam tam żadnego wiersza, który mógłby być inspirowany zgodą z redaktorem Rychłowskim. Ale sama książka znaczy coś więcej. Na pożółkłej karcie tytułowej widnieje błaknący napis niebieskim atramentem: „Zgadzam się, błogosławie i bądźcie do brzy! Henryk Zbierzchow... Lwów 12 II 1938”.

się psychicznie. Sprytnie uchwycy zamiast dłoni pozwalają mu utrzymać pędzel malarski, a nawet filiżankę herbaty. Chodził codziennie na lwowską Cytadelę: „... wyprostowany, siwy starzec w rogatywce z gwiazdkami oficerskimi, w granatowym mundurze z baretkami orderów na piersi. [...] Przechodnie kłaniali mu się z szacunkiem, oficerowie i żołnierze oddawali honory. [...] Był już wtedy znanym w kraju i za granicą malarzem. Jeden z obrazów podarował moim rodzicom. Niestety, przepadł gdzieś wraz z całym dobytkiem w zawierusze wojennej” – pisał wujek Kazik.

Kręgi artystyczne były bliskie naszemu pradziadkowi Kazimierzowi Rychłowskiemu, który jako poeta i tłumacz bywał w kawiarni Szkołkiej. Napisał setki recenzji na łamach „Kurier Porannego” czy „Gazety Lwowskiej”, ale nie wszystko, co mu podsuwano, było twórczością najwyższych lotów. Recenzował między innymi wiersze pracowitego poety, życzliwie zwanego lwowskim bardem. Jedne były lepsze, a inne średnio udane:



Przekupki lwowskie, NAC

Michał Piekarski

## W dzień jubileuszu Bronisława Pacana

**T**radycje muzyczne katedry lwowskiej trwają do dziś dzięki wieloletniej działalności dwóch muzyków – Józefa Nowakowskiego i jego dawnego ucznia Bronisława Pacana. Józef Nowakowski (ur. 1894 w Dobropolu koło Buczacza, zm. 1990 we Lwowie) był absolwentem Konserwatorium Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego we Lwowie. Na stanowisku organisty katedry lwowskiej pozostawał przez 70 lat – od 1920 do 1990 r. Poza obowiązkami organisty prowadził też chór męski. W czasach powojennych zaangażował się w działalność na rzecz uratowania katedry od zamknięcia przez władze sowieckie. W tym celu zamieszkał na stałe w murach świątyni. Pracę w nowych warunkach łączył z obowiązkami administracyjnymi, m.in. jako przewodniczący komitetu kościelnego (1948–1974), bez którego nie mogła istnieć w ZSRR żadna parafia (z duchowieństwem władze ZSRR spraw administracyjnych nie omawiały). Nowakowski do 1969 r. sprawował opiekę nad chórem męskim, który łączył rozproszonych po wojnie członków innych chórów lwowskich. Chórem tym jednak nie kierował (mimo kwalifikacji), powierzając obowiązki dyrygenta Marianowi Lechowiczowi, który należał do przedwojennego Towarzystwa

Śpiewaczego „Bard”. Nowakowski na tym samym stanowisku przetrwał czas okupacji sowieckiej, okupacji niemieckiej i ponownej okupacji sowieckiej, która wiązała się z zagarnięciem Lwowa i wschodnich województw Polski do ZSRR oraz wysiedleniem z tych terenów większości polskiej ludności.

W 1960 r. naukę u Nowakowskiego podjął Bronisław Pacan (ur. 1943 w Mościskach). Wychował się w rodzinie o tradycjach muzycznych, w której poza śpiewem grywano też na fisharmonii. Przeszedł na świat podczas okupacji niemieckiej (Distrikt Galizien), już po roku znajdując się pod okupacją sowiecką. Mimo przymusowych wysiedleń ludności polskiej z zagarniętych przez ZSRR terenów południowo-wschodnich województw II RP, w Mościskach i okolicznych miejscowościach (do dziś) pozostało wiele rodzin polskich, dlatego też dzieciństwo Bronisława Pacana przebiegało w zasadzie w polskim środowisku. Dzięki temu, że Bronisław Pacan trafił na naukę do Józefa Nowakowskiego, na przestrzeni kolejnych lat tradycje muzyczne katedry lwowskiej zostały ocalone i zdeponowane w rękę jego ucznia i następcy. Jak pisała Joanna Pacan-Świetlicka: „Po krótkim czasie zdolny uczeń mógł już odciążyć swego profesora w jego obowiązkach

*Musica Leopoldis*



Bronisław Pacan z Chórem Katedry Lwowskiej



Józef Nowakowski

hymnu *Jeszcze Polska nie zginęła*. Prawdopodobnie właśnie dzięki zastosowaniu tekstu mszalnego władze sowieckie nie zwróciły na to uwagi. Melodia *Jeszcze Polska nie zginęła* brzmiała w katedrze lwowskiej w pełnych ucisku czasach Breżniewa, gdy władze sowieckie dewastowały Cmentarz Obrońców Lwowa...

Warto dodać, że *Missa „Gaude Mater”* Lachmana do 1945 r. była często wykonywana w wielu innych lwowskich kościołach, w tym w największym w mieście kościele św. Elżbiety. Organistą i dyrygentem chóru był tam Michał Woźny (ur. 1902 w Spytkowicach k. Wadowic, zm. 1990 w Krakowie), absolwent Konserwatorium Towarzystwa Muzycznego w Krakowie, który po zamknięciu świątyni przez władze sowieckie w 1946 r. zamieszkał w Krakowie. Tradycje muzyczne pielęgnowane wcześniej we Lwowie kontynuował jako wieloletni organista katedry na Wawelu. W 1946 r. założył Męski Chór Katedralny, którym kierował przez 40 lat, dobierając do jego składu także lwowian osiadłych w Krakowie. Po Michale Woźnym kierownictwo Męskiego Chóru Katedralnego (1986–1999) przejął Roman Mackiewicz (ur. 1917 we Lwowie, zm. 1999 w Krakowie), wcześniej członek chóru kościoła św. Elżbiety. Do dziś tradycje pochodzące z czasów Woźnego są obecne w murach wawelskich. W niedziele o g. 10 nieraz można tam usłyszeć właśnie *Missa „Gaude Mater”* Lachmana, która (co osobiście sprawdziłem) wykonywana jest z nut przywiezionych przez Woźnego ze Lwowa.

Bronisław Pacan jako kierownik Chóru Katedry Lwowskiej współpracował też z polskim kompozytorem Andrzejem Nikodemowiczem (ur. 1926 we Lwowie, zm. 2017 w Lublinie), absolwentem powojennego Lwowskiego Konserwatorium Państwowego. Sam pomysł założenia chóru powstał zresztą podczas spotkań z udziałem Pacana w domu Nikodemowiczów. Na jego prośbę Nikodemowicz stworzył następnie wiele opracowań polskich kolęd i innych pieśni, głównie na chór a cappella. Jak pisała Joanna Pacan-Świetlicka, współpraca ta musiała być utrzymana w tajemnicy i niewielu chórzystów wiedziało, że obok nich siedzi autor wykonywanych „anonimowo” utworów. Dyskrecja była konieczna ze względu na to,

organistowskich, a z czasem – powróciwszy do Lwowa po odbyciu trzyletniej obowiązkowej służby wojskowej – stał się prawą ręką mistrza. Wspomagał go w pracy aż do jego śmierci, która nastąpiła w 1990 r.”

Ponadto Bronisław Pacan często grał też podczas mszy na organach w kościele św. Marii Magdaleny, aż do jego zamknięcia (na 40 lat) przez władze sowieckie w 1962 r. Był to wówczas kościół parafialny jego późniejszej małżonki Zofii Pacan. Z ich małżeństwa na świat przyszły dwie córki – Joanna (muzykolog) i Beata (polonistka), które kontynuują tradycje muzyczne, należąc do Chóru Katedry Lwowskiej. Co więcej, Joanna Pacan-Świetlicka, jako muzykolog (absolwentka UJ), jest autorką szeregu artykułów poświęconych kulturze muzycznej Lwowa w XIX i XX w.

Bronisław Pacan odbył studia w zakresie dyrygentury, pobierał naukę śpiewu solowego. W 1971 r. powołał mieszany Chór Katedry Lwowskiej (od 2005 r. im. św. Jana Pawła II), który kultywuje tradycje tej świątyni. Przeważającą część repertuaru stanowią (i stanowią) utwory kompozytorów polskich – od Mikołaja Gomółki przez Stanisława Niewiadomskiego do Andrzeja Nikodemowicza. Choć w okresie sowieckim nie mogło być mowy o muzycznym ekspozowaniu wątków narodowych, udawało się je przemycić. Podczas niedzielnych mszy bardzo często brzmiała *Missa „Gaude Mater”* Wacława Lachmana na czterogłosowy chór męski i organy (powstała ok. 1920 r.). Już podczas *Kyrie* słychać pierwsze takty



Beata i Michał Piekarscy na imieninach Bronisława Pacana, Lwów wrzesień 2023 r.

że Nikodemowicz był zatrudniony w lwowskim konserwatorium, z którego z powodu jego zaangażowania religijnego został i tak ostatecznie usunięty w 1973 r. Z tego powodu musiał opuścić swoje rodzinne miasto i w 1980 r. zamieszkał w Lublinie.

W 2014 r. Nikodemowicz wspominał współpracę z chórem: „Dzisiaj w okresie Świąt Bożego Narodzenia mogę łączyć się z lwowską wspólnotą przynajmniej poprzez śpiew kolęd. Wiele z tych kolęd opracowałem na chór i dziś są one chętnie wykonywane. 20 z nich zostało wydanych drukiem w zbiorze, który dedykowałem o. Rafałowi Kiernickiemu jeszcze za jego życia. Inicjatorem tych opracowań był pan Bronisław Pacan, organista katedralny, który swego czasu poprosił mnie o opracowanie jednej z kolęd, mianowicie *Cztery lata zawsze pisał*. Praca ta tak mnie zafascynowała, że w rezultacie powstało ok. 500 opracowań kolęd”.

Parafianie lwowskiej katedry grę Bronisława Pacana mają okazję słyszeć już od blisko 60 lat, gdy w 1965 r. zaczął (początkowo okazjonalnie) zastępować Józefa Nowakowskiego. Od 1990 r. jest on głównym organistą katedralnym. Bronisław Pacan poza pielęgnowaniem tradycji chóralnych dba o adekwatną dla miejsca grę organową oraz (co wyjątkowo istotne) o lwowskie warianty pieśni kościelnych oraz właściwy dla nich akompaniament liturgiczny. Melodie lwowskich pie-



śni kościelnych stanowią wyjątkowo cenną spuściznę, zwykle niezanotowaną (temat na dobrą pracę doktorską). Uwagę zwracają zwłaszcza liczne we Lwowie kolędy, unikalne *Gorzkie żale* i wiele innych pieśni.

W sierpniu 2023 r. z okazji 80. urodzin Bronisława Pacana odbył się we Lwowie jubileusz, na który przybyli zarówno liczni członkowie rodziny, jak i wielu chórzystów. Uroczystość obchodzono także przypadające 1 września imieniny solenizanta, podczas których mogłem mu osobiście złożyć najserdeczniejsze życzenia wszelkiej pomyślności i dalszych owocnych lat działalności jako organisty i dyrygenta Chóru Katedry Lwowskiej.



Bronisław Pacan z Chórem Katedry Lwowskiej.

Beata Bednarz

## Zakład Ojców Jezuitów w Chyrowie we wspomnieniach wychowanków

Prowincjo galicyjska! Z wszystkich szarych ziemi  
Zapomniana w najbardziej szarym końcu świata,  
Wróć mi ten oddech, który niebiosami twymi,  
Jak słodki wiew dzieciństwa snuje się i lata.

(Kazimierz Wierzyński,  
*Oda prowincjonalna*)



Pocztówka z 1910 r., źródło: Polona.pl

Chyrow

Zakład św. Józefa

Jedna z najlepszych szkół średnich przed I wojną światową i w okresie międzywojennym w Europie znajdowała się w ówczesnej Polsce, w dawnej Galicji. Było to gimnazjum klasycystyczne ojców jezuitów w Chyrowie (koło Lwowa).

„Zakład Naukowo-Wychowawczy oo. Jezuitów w Bąkowicach pod Chyrowem – tak brzmiała pełna nazwa – leżał na dość wysokim wzgórzu, na wprost stacji kolejowej, o jakieś półtora kilometra od miasteczka. Prowadziła doń piękna, stosowna aleja, wysadzana drzewami. Sam Zakład zachwycił, a zarazem przeraził mnie swoim ogromem. Olbrzymie gmaszysko dwupiętrowe, kilometry korytarzy, pełno sal, których użytku

nawet się nie domyślałem. [...] Na drugi dzień od rana rozpoczęły się wędrówki po książki i zeszyty, do krawców po miarę na mundury, do szewców po buty. Dostałem numer 58, wszystko się tym numerem znaczyło i łatwo było dojść po nitce do kłębka. Szafa z bielizną w składzie bielizny – nr 58, miejsce przy stole – 58, łyżka, nóż i widelec – 58. Dziś zdaję sobie sprawę z doskonałości organizacji, wtedy wchłonięty zostałem w tryby życia codziennego bez bólu i reszty. Życie było tak zorganizowane, a rozkład dnia minutowy, że mogły dnie za dniami płynąć, a wszystko działało się tak, jak należy, bez zgrzytów i zahamowań. [...] O rozmiarach gmachu niech świadczy to, że każda z klas

miała oddzielną sypialnię, pokój do nauki i do rekreacji, a klas szkolnych było tyle, ile oddziałów” – tak zapamiętał swoje pierwsze chwile pobytu w tej wielce zasłużonej dla kształcenia polskiej inteligencji placówce Andrzej Rostworowski, który wspomina swoje lata tam spędzone w książce *Ziemia, której nie zobaczysz. Wspomnienia kresowe*. Ich spisywanie zaczęła w 1961 r., a pierwsze wydanie ukazało się w 2001 r. Autor, wywodzący się z rodu, który wydał m.in. Karola Huberta Rostworowskiego, ukończył naukę w chyrowskim gimnazjum w 1914 r. Przez 53 lata istnienia przez konwikt przewinęło się ponad sześć tysięcy uczniów. Absolwenci tworzyli elitę społeczną, do której należeli wybitni duchowni, naukowcy, prawnicy, artyści, literaci oraz politycy – twórcy niepodległego państwa polskiego. Spośród znanych osób uczniami kolegium byli: pisarze: Jan Brzechwa, Franciszek Ksawery Pruszyński, Kazimierz Wierzyński, Józef Garliński, Kamil Giżycki, Mieczysław Orłowicz; artyści malarze: Adam Styka, Antoni Wiwulski (twórca Pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie); aktorzy: Kazimierz Junosza-Stępowski, Włodzimierz Ziemiński; naukowcy: Aleksander Birkenmajer, Mieczysław Jerzy Gamski, Stanisław Łoś, Paweł Siwek, Franciszek Tokarz. Trudno nie wyliczyć tu zasłużonych duchownych: kardynała Adama Kozłowieckiego (arcybiskupa Lusaki), biskupa Kazimierza Tomczaka, Edwarda O'Rourke'a (pierwszego biskupa gdańskiego), Mariana Morawskiego (bratanka założyciela zakładu, teologa, męczennika Oświęcimia), ks. Stanisława Starowieyskiego (błogosławionego Kościoła katolickiego, przyjaciela

Karola Wojtyły, z którym wyjechał na studia do Rzymu w 1946 r.), Stanisława Stysia (jezuitę, profesora biblistę), Brunona Wolnika (jezuitę, misjonarza). Uczniem chyrowskiego konwiktów był także ks. Zdzisław Aleksander Peszkowski – doktor filozofii, kapelan Jana Pawła II, harcmistrz, podchorąży kawalerii Wojska Polskiego II RP, rotmistrz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, kapelan Rodzin Katyńskich i pomordowanych na Wschodzie, Kapelan Naczelny ZHP. W Chyrowie przebywał również legionista Bolesław Wieniawa-Długoszowski – miłośnik kobiet, koni i hucznych zabaw, poeta, lekarz medycyny, generał, a także bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego. Trafił do słynącego z rygoru gimnazjum jezuitów na własną prośbę, ale szybko z niego uciekł.

#### **HISTORIA POWSTANIA ZAKŁADU**

W Polsce przedrozbiorowej rozbudowana sieć szkół jezuitów zeszczupiała wskutek kasaty zakonu, a po wydaleniu jezuitów z Rosji ograniczyła się do trzech, i to przez niedługi stosunkowo okres, prowadzonych gimnazjów: w Nowym Sączu, Lwowie i Tarnopolu. Dekret banicyjny cesarza Ferdynanda z 8 maja 1848 r. spowodował zlikwidowanie szkół jezuitów na terenie byłej Galicji, a gimnazja jezuitów we Lwowie i w Nowym Sączu upadły na zawsze. Zakład tarnopolski oddano jezuitom z powrotem 15 czerwca 1853 r., ale pracę szkolną wznowiono dopiero w 1857 r. Niedogodne dla reszty b. Galicji położenie Tarnopola, trudności komunikacyjne, zbyt ciasne mury budynku konwiktowego i dość wysoka opłata roczna uniemożliwiały tendencje rozwojowe zakła-





Chyrow Zakład św. Józefa  
*Wasz pohledniai Dnes obryzel. Zebra máme zde visokou nádvěru. To  
 je te nelyli Kouho na cestách. Ze jest velkoi zimni. Dopyraw  
 a wolemi w Tebej*  
 Z handia Jana Strzalskiego w Chyrowie  
 Lwów 22. II. 1902.

du i ograniczały liczniejszy napływ uczniów. Ksiądz Marian Morawski jako rektor tarnopolski (1880–1884) poddał ówczesnemu prowincjałowi, ks. Henrykowi Jackowskiemu, myśl założenia nowej placówki oświatowej w innym, dogodniejszym miejscu i przeniesienia tam zakładu tarnopolskiego. Projekt ten zatwierdził generał zakonu, a ks. Jackowski z entuzjazmem zabrał się do jego realizacji. Po powrocie z Włoch w 1882 r. odbył on liczne podróże po zachodniej Galicji w poszukiwaniu odpowiedniego terenu dla założenia konwiktów. Kierował się zasadą, że konwikt powinien stanąć „przy miasteczku małym raczej, niż w jakimś mieście większym, a to nie tylko dla większej taniości, ale szczególnie dlatego, że będąc u siebie, będziemy mogli młodzieży nam powierzonej dać odpowiednią swobodę, dla rozwoju tak fizycznego jak duchowego również korzystną, bez wystawienia jej na niebezpieczeństwa, na jakie większe centra obecnie niestety tak bardzo narażają”. Ostatecznie w marcu 1883 r. zakupiono od Franciszka Topolnickiego Bąkowice z Suszycą Małą, Śliwnicą i Polaną, liczące łącznie 954 morgów. Do społeczeństwa zwrócono się z prośbą o dobrowolne ofiary na budowę placówki. Ojciec Marian Morawski ofiarował swój spadek w wysokości 105 000 złotych reńskich, co umożliwiło zakup gruntu i rozpoczęcie budowy, ale cały ciężar budowy i organizacji zakładu chyrowskiego na swych barkach

dźwigał o. Henryk Jackowski – prowincjał zakonu jezuitów w Galicji. W czasach I RP Chyrow był miasteczkiem należącym do województwa ruskiego, położonym na ziemi przemyskiej, w latach 1918–1945 najpierw w powiecie starsamborskim, później dobro-milskim województwa lwowskiego. Na południe od Chyrowa biegnie pasmo Beskidów, w niektórych źródłach określane jako Płaskowyż Chyrowski. Niewielkie miasteczko położone w malowniczej okolicy górskiej, nad brzegami rzeki Strwiąż, zasłynęło pod koniec XIX w. właśnie dzięki otwarciu jezuickiego zakładu wychowawczego. W 1886 r. w obszernych budynkach szkolnych ze wspinałymi warunkami socjalnymi, znakomicie zaopatrzonych w pomoce naukowe, bibliotekę (30 000 książek), zbiory archeologiczne, numizmatyczne i przyrodnicze, sale gimnastyczne, 4 korty tenisowe i 8 boisk, rozpoczął działalność Zakład Naukowo-Wychowawczy Ojców Jezuitów. Ośrodek obejmował gimnazjum, 7-klasową szkołę powszechną i konwikt (internat) obliczony na około sześciuset uczniów. Główny gmach składał się z 327 pokoi i szkolnych sal.

### DYWIZJE, LOKAJE, PUCYBUCI I SZKLANE BUDKI

Zdaniem wychowanka chyrowskiego gimnazjum Andrzeja Rostworowskiego: „Zakład był placówką pierwszej kategorii, dawał warunki życia i nauki zdrowe i dobre. Utafro się,



Pocztówka z 1899 r. źródło: Polona.pl

że do Zakładu przyjeżdżało: z Poznańskiego dziesięciu–dwunastu uczniów, a z Królestwa i Litwy czterdziestu–pięćdziesięciu, i byli to przeważnie uczniowie celujący i wzorowi; reszta nazbierała się z Galicji, skąd zazwyczaj przyjeżdżali tacy uczniowie, z którymi rodzice w domu nie mogli dać sobie rady. Trzeba przyznać, że Zakład przeważnie umiał sobie z nimi poradzić i bardzo rzadkie były wypadki, żeby ktoś z trzaskiem w ciągu roku opuszczał szkołę”. Tak rozkład dnia w chyrowskim gimnazjum wspomina inny z wychowanków: „Pobudka była o szóstej rano, cisza nocna o pół do dziesiątej. Lekcje trwały od 9 rano do pierwszej, z trzema kwadransami dużej pauzy i od czwartej do pół do szóstej. Na rekreację poświęcano dwie i pół godziny w dwu ratach. We wtorki i czwartki zamiast poobiednich rekreacji i lekcji odbywały się wycieczki i spacer. Zimą: łyżwy, narty, sanki. Latem kąpiele w rzece”. Warunkiem przyjęcia do tej szkoły prywatnej była wyznawana przez ucznia religia katolicka. Jak głosił punkt drugi ustawy konwiktu: „Obowiązki względem Boga w Zakładzie tym zajmują pierwsze miejsce, a uchybienia przeciwko religii będą najsurowiej karane i na wydalenie z Zakładu narażają”. Dzień zaczynał się od mszy świętej. Każda dywizja (klasa) miała przydzielonego lokaja (w mundurze strzelca), który opiekował się nią od etapu przygotowawczego do klasy ósmej.

Lokajowi podlegało dziesięciu tak zwanych pucybutów, do których obowiązków należało: sprzątanie, dbanie o lampy (w latach szkolnych autora wspomnień jeszcze były naftowe), czyszczenie butów, donoszenie wody do umywalni, która stała przy każdym łóżku, i zmiana pościeli. Przez cztery lata na czele każdej dywizji stali prefekt i jego zastępca – księża, którzy doglądali uczniów w czasie nauki, w salach przygotowawczej i rekreacyjnej. Zakładem kierował ksiądz rektor z pomocą: prefekta generalnego, który przewodził księżom i wychowawcom, dyrektora nauk oraz prefekta gospodarczego. Profesorami byli sami księża, tylko muzyki uczyły osoby świeckie. W salach lekcyjnych i na korytarzach obowiązywała cisza. Jeśli zachodziła potrzeba porozmawiania na temat spraw szkolnych, uczeń za zgodą księdza wychowawcy wychodził na korytarz. Na skrzyżowaniach korytarzy były usytuowane budki szklane, w których urzędowali bracia zakonnicy, by pilnować porządku. Czasami funkcje budkarzy pełnili księża. Tajemnicą poliszynela było, że to zadanie powierzano im za karę. W milczeniu wchodziło się do jadalni, a rozmowy zaczynało i kończyło na sygnał dzwonka. Uczniowie budzili się na dzwonek prefekta, który witał ich chrześcijańskim pozdrowieniem: „Laudetur Jesus Christus”. Chłopcy odpowiadali i natychmiast podnosili się z łóżek, odmawiając zazwyczaj

krótką modlitwę. Następny dzwonek oznaczał sygnał do porannego umywania. Czwar-ty dzwonek oznaczał, że należy się ubrać, na piąty dzwonek uczniowie powinni byli wyjść z sypialni. Z dzwonekami, jak wspomina A. Rostworowski, wiąże się zabawna sytuacja. „W jednej z budek był zainstalowany skomplikowany system dzwonekowy – z niej urzędujący tam brat, za moich czasów był to brat Meisner, budził nie tylko poszczególne sypialnie, ale również poszczególnych ojców w ich celach, w zależności od godziny dla każdego z nich przeznaczonej. [...] Sławny był kiedyś kawał, gdy jacyś domorośli elektrycy odpowiednio poprzęcali (chyba w nocy) pojedyncze kable. Brat budkarz zgodził się na poszczególnych pomieszczeń zgodnie z rozkładem, nic nie wiedząc, że panuje tam grobowa cisza. Dopiero brak ruchu na korytarzach zaintrygował dzwonnika i okazało się, że tak my, jak i ojcowie śpimy w najlepsze. [...] Powstały w ten sposób bałagan opanowano dopiero po paru godzinach. [...] Ponieważ kawał nie miał cech złośliwości, a wykonany był artystycznie i ze znanstwem przedmiotu, specjalnych represji nie było, za to dużo śmiechu”.

### KONIA Z RZĘDEM TEMU...

Psoty chłopięce nieformalnie dzielono na szkodliwe i nieszkodliwe. Jeśli cechowały się błyskotliwością i nikomu nie przyspo-

rzyły dużych problemów, przyjmowane były z poczuciem humoru. W przeciwnym razie karano za nie. Rostworowski zapamiętał, że „faktu ponalewania miodu do butów księżom wychowawcom śpiącym z klasą w sypialni i unieruchomienia ich w ten sposób na pewien czas nie przyjęto bezkrytycznie, sprawca jednak nie został zdemaskowany, a tylko klasa solidarnie musiała odkupić obuwie”. Do niezwykle pomysłowego kawału zainspirował uczniów niechęć jeden z nauczycieli. Otóż, jak opisał Rostworowski: „Jeden z wykładowców greki, ojciec Kapaun, ogłosił, że da konia z rzędem temu, kto z dużego słownika greckiego przepisze wraz ze znaczeniem dwa tysiące słówek greckich. Znalazł się taki szaleniec i po paru miesiącach złożył kilkanaście zeszytów pięknie wykaligrafowanych. Kilka lekcji później ojciec Kapaun wręczył mu drewnianego konika, zabawkę odpustową na kółkach. W mig powstał pomysł zemsty. W ruch poszli najtężsi technicy, między innymi i ja! Jakoż po kilku dniach jesteśmy na lekcjach greki. Cisza jak makiem zasiał. Naraz otwierają się same drzwi od szafy szkolnej, spuszcza się pomost – »koń z rzędem« wyjeżdża na środek klasy, po czym niezauważony przez ojca cofa się z powrotem. Pomost się podnosi, drzwi się zamykają i nagle ryk z czterdziestu piersi. Ojciec zrywa się przerażony i wtedy nastąpiła druga demon-



Pocztówka z 1910 r., źródło: Polona.pl

stracja, już przy akompaniamencie takiego hałasu, że z dwóch sąsiednich klas przybiegli ojcowie zobaczyć, co się tu dzieje. Demonstracja za demonstracją, w końcu przetarł się sznurek i wszystko się zacięło. Radość była duża, sława wykonawców ogromna!". Inny wychowanek, Jan Rostański, który w konwiktach edukował się na przełomie XIX i XX w. (matura w 1901 r.), z rozczuleniem wspominał: „A pamiętacie boligłówkę? Czasem to się człowiek chciał od jakiejś przykrej afery wymigać i poprzez »kartkę« meldunkową zgłaszać do infirmerji. Ale wtedy na jej czele stał drogi i kochany bardzo o. Bezym. Jak on nam imponował, gdy w dobrej chwili, pokazywał swą siłę, krusząc orzechy laskowe, położone między zgięte palce i uderzając nimi o stół. Otóż, jak się zjawiał taki »gość«, któremu źle z oczu patrzyło, to o. Bezym, który się znał na farbowanych lisach, dawał pod pachę termometr i czekał. Ale zaglądał raz wraz, co się z pacjentem dzieje, by przypadkiem przez tarcie instrumentu nie podniósł on temperatury tak nieopatrnie, jak któryś z chłopców, któremu »skoczyło« na sam czubek termometru...". Rostański zaprzyjaźnił się z wymienionym wyżej Wiwulskim, który w gimnazjum miał przezwisko „Matejko nr 2". „Wiwulski był już wtedy w Konwiktach nieprzeciętnym rysownikiem i na dorocznej naszej wystawie rysunków podziwialiśmy jego twory".

### „TAKICH MIELIŚMY PRZEWODNIKÓW NAUKI I DUCHOWYCH”

Pierwszy punkt ustawy chyrowskiego ośrodka edukacyjnego brzmiał: „Ponieważ celem Zakładu jest wychować i umysłowo wykształcić godnych i pożytecznych dla rodzin, kraju i Kościoła członków, obowiązkiem jest uczniów, którzy się w tym Zakładzie wychowują, do tegoż celu zmierzać wszystkimi siłami woli, serca i umysłu”. W dążeniu tym pomagali uczniom całkowicie oddani pracy pedagogicznej wychowawcy, przełożeni i znamienici profesorowie, o których zapisano w punkcie czwartym, że wychowankowie są im winni posłuszeństwo i uszanowanie: „Jak długo bawię w Zakładzie, winni są cześć i posłuszeństwo nie tylko naczelnyemu Zakładowi przełożonym, ale też wszelkim innym przełożonym, profesorom i wszystkim ich zastępcom; każdy bowiem z przełożonych zastępuje im miejsce rodziców, a więc i Boga samego, którego władzę i powagę rodzice względem swych dzieci na ziemi przedstawiają. W okazywaniu zaś tej czci i posłuszeństwa powodować się należy nie jakimś marnym i niewolniczym strachem lub obawą kary, lecz szczerem przywiązaniem, ufnością ku przełożonym i poczuciem chrześcijańskiego obowiązku. Takie tylko posłuszeństwo wpłynie na wyrobienie pięknego i czystego charakteru, zahartuje w cnocie i utwierdzi na całe życie w najszlachetniejszych zasadach”. Ze wspomnień wychowanków spisanych po



Pocztówka z 1906 r., źródło: Polona.pl



Pocztówka z 1910 r., źródło: Polona.pl

wielu latach wylania się fascynująca galeria niezwykłych postaci nauczycielskich. Przez okres działalności konwiktów przewinęło się ich 353; byli to jezuita, a także nauczyciele świeccy. Niektórzy uczyli tam przez wiele lat. Wśród nich należy wymienić Aleksandra Gromadzkiego, który przez 26 lat wykładał w Chyrowie matematykę, fizykę, historię naturalną, mineralogię i język rosyjski. Romuald Koppens uczył przez 42 lata w klasach gimnazjalnych literatury, języka polskiego, łaciny i greki. Leon Kapaun przez 37 lat był nauczycielem łaciny i greki. Wiktor Hoppe przez 33 lata uczył języków nowożytnych: francuskiego, niemieckiego i angielskiego. Ojciec Herman Libiński, który przez ćwierć wieku uczył historii i geografii oraz języków niemieckiego, francuskiego, greckiego, religii i matematyki, był nieprzeciętnym poliglotą. Niektórzy wykładowcy nie mieli długiego stażu w nauczaniu konwiktów, ale ich nieprzeciętność wniosła olbrzymi wkład w wychowanie młodzieży. Do znaczących osób związanych z chyrowskim konwiktem należy także zaliczyć wybitnych duchownych: Adama Kozłowieckiego – polskiego duchownego rzymskokatolickiego, jezuitę, misjonarza, arcybiskupa metropolitę Lusaki w latach 1959–1969; Jana Bezyma – polskiego duchownego katolickiego, jezuitę, misjonarza, błogosławionego Kościoła katolickiego, czy ks. Teofila Bzowskiego – katechetę klas niższych, moderatora Sodalicii Mariańskiej, wykładowcy literatury rosyjskiej, działacza patriotycznego. Rostworowski wspomina ks. Bzowskiego jako niezwykle serdecznego człowieka i przyjaciela młodzieży: „Ojciec Bzowski pamiętał wszystkich z imienia i nazwiska, a uczniowie długie lata po opuszczeniu Zakładu korespondowali z nim i udawali się do niego w ciężkiej sytuacji po radę i po-

moc. [...] Zmarł w roku 1959 w wieku niemal stu lat! W następnym roku pobytu zostałem zwerbowany przez o. Bzowskiego do grona »kronikarzy«, a także do pracy w Towarzystwie imienia Piotra Skargi, którego działalność polegała na szerzeniu dobrej prasy”. Wśród innych scharakteryzowanych przez Rostworowskiego znakomitych nauczycieli są zakonnicy: Aleksander Gromadzki, który „potrafił tak przystępnie wytłumaczyć najzawilsze prawa fizyki i chemii, że je rozumieliśmy, a wtedy już nie było żad-

nej sztuki, aby je zapamiętać”; Nuckowski – „wielki przyrodnik, interesował się szczególnie mikrobiologią. Dla niego z wakacji przywoziliśmy buteleczki z próbkami wody oraz planktonu wód słodkich, który pobieraliśmy na różnych głębokościach specjalnymi siatkami z gęstego jedwabiu. Oglądaliśmy następnie te drobnoustroje przez wspaniałe mikroskopy, w które wyposażony był jego gabinet”; i Herman Libiński – „były major austriackiego Sztabu Generalnego, wykładał różne przedmioty, głównie geografii i język niemiecki. Ale dla kółka topografów prowadził kurs kartoznawstwa, polegający na dokonywaniu zdjęć w terenie i rysowaniu map według wymogów Instytutu Kartografii Wojskowej. [...] Uczył nas też sporządzać przekroje terenu dla wytyczonej trasy, na przykład szosy. Zginął zamordowany przez Niemców w czasie powstania warszawskiego”. Rostworowski pisze także o pozostałym w kontakcie z Zakładem Janie Beyzymie, który uczył w Chyrowie do 1898 r., zanim wyjechał na Madagaskar do trędowatych. „Również przez Chyrów przeszło kilku ojców Konopków, którzy potem byli misjonarzami w Afryce”.

Inny były wychowanek Zakładu, Stanisław Głowacki, tak zapamiętał swój pobyt: „O. Suchowski, gospodarz klasy drugiej, sceptyczny niedowiaręk, zaczął mnie podstępnie wypytywać, jak to się dodaje, mnoży, dzieli itp. Staralem się mu wyjaśnić, ale był niepojętny, nie rozumiał i w końcu zaproponował mi, żebym może przecie zaczął od pierwszej. W nagrodę za to szlachetne ustępstwo z mojej strony obiecywał mi, że w pierwszej będą celującym i dostanę na końcu roku czerwono oprawną książkę. Był przytem tak miły i tak uprzejmie namawiał, że się zgodziłem. On, muszę przyznać,



ze swej strony także słowa dotrzymał. Zostałem rzeczywiście celującym i dostałem Verne'a *Trzech Rosjan i trzech Anglików*. Że stało się to tylko dzięki słowności O. Suchowskiego, najlepszy dowód w tem, że takie celujące świadectwo dostałem wtedy jeden jedyny, pierwszy i ostatni raz w życiu". Gustaw Zaremba, pułkownik-lekarz Wojska Polskiego, po latach z wdzięcznością przywoływał z pamięci swoich profesorów: „Rektorem był wówczas śp. O. Jackowski Henryk, twórca przed niespełna 5 laty rozpoczętej budowy Konwiktu – kapłan o niezwykłych zaletach ducha, kierownik wytrawny dusz ludzkich, który nas prowadził nieprzerwanie światłym swym umysłem aż do zdania matury. Profesorów mieliśmy pierwszorzędnych, zarówno lingwistów, polonistów i przyrodników. Wspomnę oo. Włodzimierza Piątkiewicza, Stopkę, którzy nas uczyli łaciny; Czernego, Webla, którzy nas uczyli greki; Czencza wykładającego nader zajmująco literaturę polską; Petera, Waszycę germanistów; Gromadzkiego, nieźrównanego matematyka i fizyka, kapłana o gołębiej duszy, umiającego nawet tak suchemi przedmiotami zająć umysły nasze. Wspomnę także profesorów świeckich: Markiewicza, wykładającego nieźrównanie zajmująco historię powszechną, oraz prof. Bizonia, który już w VIII klasie wykładał łacinę, wpajając w nasze dusze młode piękność Horacego i ucząc nim się przejmować do głębi". Wychowankowie z rozrzewnieniem i podziwem wspominali swoich nauczycieli: „Wspomnienia moje wiążą się ściśle z osobami naszych kierowników naukowych i przełożonych bezpośrednich. O. Krysa dał nam podstawy historii, którą każdy z nas do dzisiaj musi mieć, tak jak geografję, i bodajże, że nie ma chyrowiaka, któryby nie miał i mapy świata i nałożonej na nią historii w pamięci. To daję podstawę do kultury umysłowej życia codziennego". Uczniowie mieli też możliwość poznania tajników władania szablą. Jednego z nauczycieli sportretował Jan Rostafiński: „Niezapomniany jest dla mnie i pewnie dla całego szeregu swych uczni śp. prof. fechtunku Bernolak, autor doskonałego podręcznika o szermierce, ze wstępem o szabli polskiej. Prof. Bernolak władał wspaniale zarówno szablą, jak floretem, i umiał wlać w nas zamiłowanie do używania tej broni. Boże, jak nas irytowało,

gdyśmy już uważając się za poważnie zaawansowanych, musieli bezowocnie z nim się zmierzać! Co więcej, na popisach przed całem gronem konwiktów najlepsi spośród nas atakowali prof. Bernolaka szablą, a on, mając w ręce floret, raz po raz dawał skuteczne sztychy. To była piękna i szlachetna szkoła przytomności umysłu, wyrobienia oka i bystrości uderzenia". Spośród świeckich nauczycieli największej sławy zażywał wykładowca muzyki Józef Nikorowicz – kompozytor polski pochodzenia ormiańskiego, znany jako autor melodii chorału *Z dymem pożarów*, będącego jednym z hymnów narodu polskiego. Jak można dowiedzieć się ze sprawozdania za rok szkolny 1911, w ramach nauczania z języka polskiego „uczniowie celniejsi zdawali nadto sprawę ze swej lektury prywatnej, która obejmowała utwory wybitnych autorów, czy to poetyczne, czy powieściowe, lub znakomitsze dzieła naukowe z zakresu historii polskiej, historii literatury, estetyki i krytyki literackiej". Ponadto na każde półrocze pisali wypracowania, np. Adolf Lachman uczniom klasy V podał następujące: „Dwór w Soplicowie: gospodarstwo sędziego Soplicy”, „Postać Rymwida w *Grażynie* (charakterystyka)”, „Dola polskiego tułacza w noweli Sienkiewicza pt. *Latarnik*”, „Boleść Araba w *Ojcu zadźmionych* po stracie ukochanej córki Hatfe”, „Uwagi Tadeusza nad pięknnością ojczystego kraju, rozprawdzone na tle czterowiersza: *Cudze chwalicie, swego nie znacie; sami nie wiecie, co posiadacie*". Uczniom klasy VIII Romuald Koppens zalecał napisanie m.in. na temat: „Z jakich obrazów symbolicznych składa się widzenie ks. Piotra w *Dziadach* i co przez nie Mickiewicz wyraża?”, „Ironia i sarkazm jako wyraz uczuć w *Ustępie* do III cz. *Dziadów* przez Mickiewicza dodanym”, „Rozwinąć i uzasadnić myśl J. Kasprowicza: *W rozbolełego serca żywą księgę / Zapisz na zawsze słowa takiej treści: / Jak ruda w ogniu znajduje potęgę / Oczyszczającą, tak człowiek w boleści*". Program nauczania zakładu pokrywał się z programem zalecanym dla klasycznych gimnazjów państwowych, ale próbowano go wzbogacać.

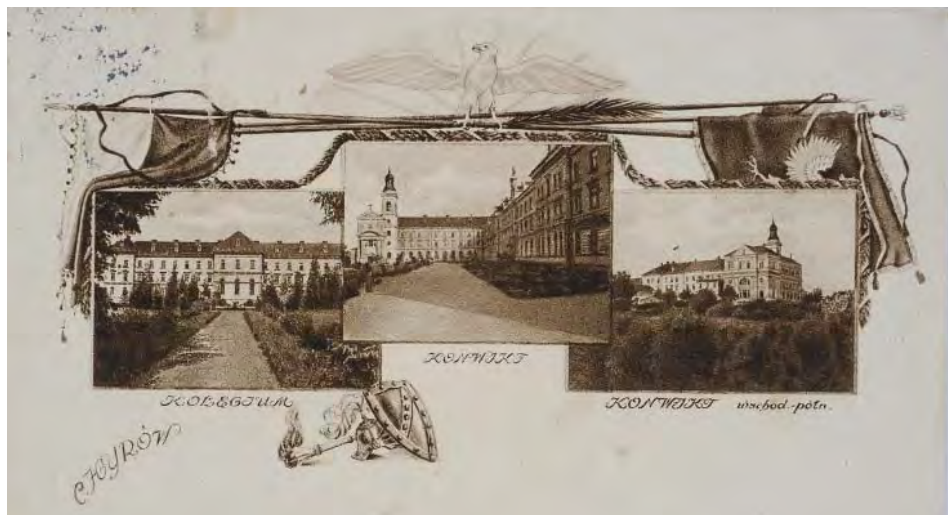
### **DEO, PATRIAE, AMICITIAE**

Na sztandarze wypisane były złotymi zgłoskami, ku pokrzepieniu serc i dusz wychowanków: *Deo – Patriae – Amicitiae*:

Bogu – Ojczyźnie – Przyjaźni! „Zakład Chyrowski przez wychowanie dzielnych katolików, karnych i ofiarnych Polaków służy Bogu, duszom, Kościołowi i Ojczyźnie. Przewodniem jego hasłem: *BOGU NA CHWAŁĘ – OJCZYŹNIE NA POŻYTEK!*” – napisano w Księdze Pamiątkowej opracowanej z okazji 50-lecia działalności. W tej archiwalnej publikacji można przeczytać piękne słowa ks. Bzowskiego skierowane do uczniów: „*Deo!* Bogu! Oto zasada zasad waszych, dusza duszy waszej, życie życia waszego. Bóg, wiara święta, Kościół katolicki – to fundament niezbędny nie tylko dla jednostki, ale i dla całych społeczeństw i narodów. [...] *Patriae* – Ojczyźnie! To drugie hasło wasze. Po Bogu Ojczyzna i miłość ku niej pierwsze miejsce w sercach waszych zajmować powinna. Ale nie ta miłość instynktowna, nie pojmująca siebie. Człowiek bowiem, zanim rozwinie swe władze psychiczne, żyje w ustawicznym związku z całym swoim otoczeniem i między nim a miejscem, w którym się urodził, wytwarza się nader sympatyczny stosunek. Krajobrazy, które ogląda za młodu, wzgórze czy góry o niebotycznych szczytach, szumiące lasy nasze czy błękitne niebo, aż do barw zieleni, do śpiewu ptaków, wszystko to wbija się w pamięć i stanowi tło, do któregośmy przywykli, a bez którego żyć dziwnie trudno. [...] *Amicitiae* – Przyjaźni! Cóż o tem trzecim hasle krótko i dosadnie powiedzieć? Chyba powtórzyć te słowa Adama Mickiewicza: *Świętym jest na ziemi, kto umiał przyjaźń zawrzeć ze świętymi*. Tak, ale te słowa

odnoszą się tylko do przyjaźni świętej, opartej na niewzruszonym fundamencie miłości Boga i bliźniego, na ukochaniu wspólnem tych samych ideałów religijnych i narodowych, na ukochaniu obowiązku i cnoty. Na takiej podstawie oparta przyjaźń zwycięży nawet młodocianą płochłość i zmienność, zwycięży długą rozłąkę i wielkie oddalenie, – przetrwa wszystkie dole i niedole, przetrwa życie całe i w całym blasku okaże prawdziwość słów Ducha świętego: *Kto przyjaciela znalazł, skarb znalazł*. Przyjaciel, miłujący Boga i mający cnotę w sercu, będzie dla przyjaciela zawsze w życiu dźwignią i otuchą. W potrzebie pośpieszy z pomocą, wahającemu się doradzi, wątplącego umocni, błądzącego serdecznie upomni, zbolącego pocieszy”. Warto wspomnieć, że w krakowskim kościele św. Barbary znajduje się tablica upamiętniająca stulecie powstania konwiktów i gimnazjum jezuitów w Chyrowie.

Bibliografia: *Ustawy i przepisy Zakładu Naukowo-Wychowawczego oo. Jezuitów w Chyrowie*, Nakładem oo. Jezuitów, Chyrów 1899; *Księga Pamiątkowa 50-lecia Konwiktów i Gimnazjum oo. Jezuitów w Chyrowie (1886–1936)*, Nakładem Konwiktów w Chyrowie, Kraków 1936; *XVIII Sprawozdanie Zakładu Naukowo-Wychowawczego oo. Jezuitów w Bąkowicach pod Chyrowem za rok szkolny 1911*, Nakładem Zakładu Naukowo-Wychowawczego oo. Jezuitów w Bąkowicach pod Chyrowem, Przemyśl 1911; A. Rozstworowski, *Ziemia, której nie zobaczysz. Wspomnienia kresowe*, Czytelnik, Warszawa 2015; M. i M. Osip-Pokrywka, *Leksykon zabytków architektury Kresów południowo-wschodnich*, Arkady, Warszawa 2014



Joanna Kulicka, Katarzyna Pasik

# WYGRZYWAŁSCY

## Opowieść nie tylko kresowa

**S**ięgając pamięcią w przeszłość, odnajdujemy w naszych dziejach polskie rody – rodziny, obdarzone szczególnie przez los, w których poprzez pokolenia pojawiały się niepospolite i utalentowane postacie. Jest rzeczą pewną, że do takich rodzin zalicza się ród Wygrzywałskich.

Opowieść naszą wypada rozpocząć w Gorlicach – w niewielkim mieście podkarpackim. Tam w drugiej połowie XVIII wieku w kościele katolickim przygrywał na organach, Panu Bogu na chwałę, a współziomkom ku radości, Jan Kanty Wygrzywałski (1767–1847). Gdyby się udało wejrzeć w przepastne starodawne księgi parafialne kościoła Narodzenia NMP w Gorlicach, można by się dowiedzieć niejednego o urodzeniu i przeszłości Jana Kantego. Teraz wiemy tyle, że był żonaty z Marianną Steyner (1771–1831). Po śmierci żony Jan Kanty ożenił się powtórnie 5 marca 1832 r. z wdową lat 45, Katarzyną Nosowiczową. Małżonkowie pomarli w Gorlicach: on – w roku 1847,

ona – w 1848. Jan Kanty umarł mając 80 lat; całe życie grał pięknie na organach, a ponadto przekazał swój talent muzyczny synowi – Józefowi Błażejowi Wygrzywałskiemu, który urodził się jemu i jego małżonce Mariannie dnia 2 lutego 1797 r. w domu numer 10 w Gorlicach. Chrzest odbył się w kościele gorlickim w listopadzie tegoż roku.

Historia życia Józefa Błażeja Wygrzywałskiego jest barwna i wielowątkowa. Jego zainteresowania muzyczne były szerokie, a szczególnie fascynował go kolorowy świat teatru. Opuścił dom rodzinny, będąc młodym człowiekiem i w roku 1820 spotykamy go jako dyrygenta orkiestry w teatrze krakowskim. To był okres, gdy Narodowy Teatr w Krakowie wystawiał zarówno sztuki teatralne, jak i wodewile, opery buffo i inne uznane przedstawienia operowe. Artyści musieli dysponować nie tylko umiejętnościami aktorskimi, ale także pięknymi głosami. Teatr posiadał scenę stacjonarną, a wyłonione zespoły, zwłaszcza latem, udawały się

Kazimierz Michał Skibiński, litografia z „Pamiętnika aktora”, opracował i wydał M. Ruliński, Warszawa 1912



**K. SKIBIŃSKI.**  
*Artysta Dramatyczny.*



Franciszek Salezy Zębrowski, Aktor Dramatyczny Teatru Narodowego Krakowskiego, litografia F. Zielińskiego w Kielcach według rysunku T. Urbańskiego; świadek na ślubie Józefa i Bibiany Wygrzywałskich

w podróże artystyczne po wszystkich trzech zaborach i dalej za granicę. Rodziły się liczne przyjaźnie między artystami i tworzyły się małżeństwa aktorskie. Jedną z ważnych postaci w dziejach teatru i osobiście w życiu Józefa Wygrzywalskiego był Kazimierz Skibiński, aktor, śpiewak, reżyser i dyrektor teatru krakowskiego w latach 1820–1823, w sezonie 1825/26 i 1828/29.

Kazimierz Skibiński pochodził z Wilna. Od najmłodszych lat był tak zauroczony teatrem, że uciekał z domu, by żyć w atmosferze zaczarowanej magii – wśród aktorów, choć ojciec na próżno chciał wyposażyć go w wiedzę prawniczą. Ożenił się z Józefą z Piotrowskich Kamińską, której pierwszy mąż – aktor i dyrektor teatru w Poznaniu Jan Kamiński – w rok po ślubie zmarł. Józefa, urodzona w Poznaniu, pobierała lekcje muzyki u swego ojca Jakuba Piotrowskiego – nauczyciela gry na fortepianie. Dysponowała wspianym sopranem koloraturowym i była ozdobą teatru krakowskiego. Urodziła się w roku 1794, a umarła w 1834 i wówczas Kazimierz ożenił się z młodą śpiewaczką Wilhelminą Brodowiczową. Wzmianka o Kazimierzu i Józefie Skibińskich ma znaczenie w niniejszej opowieści o tyle, że równolegle rozwijała się w teatrze krakowskim kariera Józefa Wygrzywalskiego, a Józefa Skibińska została wkrótce szwagierką Józefa za sprawą swojej młodzianki siostry Bibianny Zofii Piotrowskiej (1805–1864) – córki Jakuba i Antoniny czy też Karoliny z Michałowskich. Jak siostra urodziła się w Poznaniu, debiutowała w teatrze w Wilnie i w sezonie 1822/23 została zaproszona przez Kazimierza Skibińskiego do teatru w Krakowie. Była urodziwą aktorką o dobrym głosie i wkrótce zawróciła w głowie dyrygentowi Józefowi Wygrzywalskiemu – kawalerowi do wzięcia. Kolejną rzeczą był więc ślub Bibianny i Józefa w roku 1826. Zanim o nim opowiemy, warto zdać krótką relację z tournée teatralnego zespołu krakowskiego do Poznania w roku 1822 i 1826. Sytuacja polityczna nie sprzyjała występom polskiego teatru w Księstwie Poznańskim. Pruskie władze faworyzowały tamtejsze teatry niemieckie, choć ich poziom artystyczny był mierny, a umiejętności aktorów pozostawiały wiele do życzenia. Po wyczerpujących negocjacjach z niemiecką antreprenerką Karoliną Leutner Kazimierz Skibiński, przy użyciu wpływów

wolnomularzy z wileńskiej loży Doskonała Jedność, której był członkiem od roku 1814, uprosił członków loży poznańskiej Świątynia Jedności o protekcję i w rezultacie uzyskał zgodę na 10 przedstawień za cenę 750 talarów odstępnego dla Karoliny Leutner. W czasie negocjacji zespół przebywał w Kaliszu, a gdy tylko zaistniały sprzyjające okoliczności, aktorzy przybyli do Poznania i dnia 31 sierpnia 1822 r. rozpoczęły się tam występy teatru krakowskiego przy niezwykle entuzjastycznym przyjęciu nie tylko ze strony publiczności polskiej, lecz również niemieckiej. Publiczność manifestowała swoje uczucia patriotyczne, podziwiając równocześnie kunszt aktorski i śpiewaczy krakowskich artystów i świetne przygotowanie ambitnego repertuaru. Józefa Skibińska w uznaniu jej niezwykłych umiejętności wokalnych została przyjęta na prywatnej audencji przez Ludwikę z Hohenzollernów, żonę namiestnika Wielkiego Księstwa Poznańskiego ks. Antoniego Radziwiłła. Na czterech przedstawieniach zespołu Kazimierza Skibińskiego w Poznaniu obecny był wielki poeta niemiecki Heinrich Heine, odwiedzający wówczas Wielkie Księstwo Poznańskie. W szkicu *O Polsce* chwalił teatr Kazimierza Skibińskiego i zachwycił się grą i śpiewem jego żony Józefy, nie szczędząc słów uznania innym aktorom.

Drugi przyjazd teatru krakowskiego Kazimierza Skibińskiego do Poznania w roku 1826 był również dużym sukcesem. Dano aż 22 przedstawienia, a na pierwszym z nich, dnia 9 czerwca, pojawił się następca pruskiego tronu, przyszły król Fryderyk Wilhelm IV. W repertuarze zaprezentowano tego wieczoru operę Józefa Wygrzywalskiego i Jana Drozdowskiego: *Pan dobry ojcem poddanych, czyli Wesele krakowskie*. Wśród artystów zespołu znalazła się też nowo poślubiona żona Józefa: Zofia Bibianna Wygrzywalska.

A ślub Józefa Wygrzywalskiego i Bibianny z Piotrowskich był nie byle jaki. W kościele Mariackim w Krakowie dnia 31 maja roku Pańskiego 1826 młoda para złożyła sobie przysięgę małżeńską. Państwo młodzi mieli czterech świadków, w tym trzech artystów dramatycznych z teatru krakowskiego: Antoniego Fiszera, Franciszka Żebrowskiego i Antoniego Zawadzkiego. Czwartym świadkiem został cukiernik Jerzy Frohne.

Józef miał lat 28, a Zofia Bibiana – 21. Majestatyczny wystrój kościoła Mariackiego oraz liczna obecność w uroczystości świata artystycznego Krakowa nadały wydarzeniu powagi i blasku.

Potem nadeszły lata pracy w teatrze oraz liczne podróże zespołu – jak mawiano – opery wędrownej, w których oboje małżonkowie realizowali się artystycznie. Przynajmniej w tym okresie krakowskim skomponował Józef Wygrzywański swoje opery *Kazimierz Wielki i Bródka* i *Wesele na Pocieszce*. Wtedy także zachwyił się corocznymi obrzędami Lajkonika i dla kapeli „Młaskotów”, przygrywającej pochodowi Lajkonika w towarzystwie włóczków – flisaków spławiających Wisłą drewno – i świty, ułożył muzykę w rytmie marsza, z melodią, która przypominała *Marsz Sobieskiego*, towarzyszący Polakom wracającym z odsieczy wiedeńskiej w roku 1683. Teraz melodia ta ma słowa Ewy Szelburg-Zarembiny: „Ten Lajkonik, nasz Lajkonik / po Krakowie zawsze goni / Lajkoniku laj laj / poprzez cały kraj”.

W roku 1826 Józef Wygrzywański dyrygował orkiestrą w Kaliszu i Poznaniu, w roku 1827 w Radomiu, a w 1828 w Wilnie. W drodze do Wilna teatr zatrzymał się też w Siedlcach, dając 6 przedstawień operowych.

O tym wydarzeniu pisze Stanisław Dąbrowski w kronice wydarzeń teatralnych w Siedlcach. W zespole Kazimierza Skibińskiego przeważali wokaliści; podany został skład osobowy trupy, z Józefą Skibińską, Bibianą Wygrzywalską, Kazimierzem Skibińskim i Józefem Wygrzywalskim – kapelmistrzem. W repertuarze było sześć modnych i wartościowych utworów, a to: *Krakowiacy i górale* – W. Bogusławskiego, J. Stefaniego, *Jan z Paryża* – F.-A. Boieldieu’go, *Cyruлик sewilski* – G. Rossiniego, *Szarlatan* – K. Kurpińskiego, *Wolny strzelec* – K.M. Webera i *Pustota, czyli dwa lisy* – E.N. Méhula.

Z Wilna podróż teatru wiodła przez Grodno do Lublina, a potem w roku 1830 do Krakowa.

Życie wędrownej opery było trudne i wyczerpujące, często przebiegające w prymitywnych warunkach, bez wygod i możliwości należytego odpoczynku. Wiecznym problemem były finanse i zdobycie stosownych strojów i rekwizytów. Czasem wystawiano przedstawienia w szopach czy wozowniach, ledwie przystosowanych do nowych zadań. Uciążliwość wędrownego życia powodowała, że okres intensywnej pracy aktorów był niedługi i tylko wielka pasja artystyczna konsolidowała grupy teatralne, które trwa-



Opactwo św. Wojciecha Mniszek Benedyktynek w Staniątkach, stara rycina



Grób Anny z Wygrzywalskich i jej męża Mieczysława Kotowskiego Trzaski na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie (źródło cyfrowe)



ły i roztaczały przed publicznością skarby swego talentu. Przy nazwisku Zofii Bibianny Wygrzywalskiej w *Słowniku biograficznym teatru polskiego* (PWN, Warszawa 1973) jest wzmianka, że działała ona w latach 1819–1830, czyli przez 12 lat.

8 września 1828 r. w Lublinie przyszedł na świat pierwszy syn państwa Wygrzywalskich o imionach Marian Stanisław, który 16 września ochrzczony został – tylko z wody – w katedrze św. Jana w Lublinie. Nie był to jedyny chrzest małego Mariana. Okazało się bowiem, że po blisko dziewięciu latach dnia 27 lipca 1837 r. dziecko zostało powtórnie ochrzczone w Nowym Mieście powiatu Dobromil w Galicji. Stąd można wnosić, że rodzina Józefa Wygrzywalskiego zamieszkała na jakiś czas w Nowym Mieście, a Marian otrzymał nowy austro-węgierski akt urodzenia, w uzupełnieniu do aktu urodzenia z Królestwa Polskiego.

Po powrocie do Krakowa w roku 1830 i w latach dalszych Józef Wygrzywalski pracował w Opactwie św. Wojciecha Mniszek Benedyktynek w Staniątkach w pobliżu Niepołomic i pełnił tam funkcję świeckiego kantora i organisty do roku 1847. Jeszcze dziś Konwent PP. Benedyktynek pod Krakowem, liczący przeszło 800 lat, gromadzi i porządkuje bogate zbiory ksiąg, starodruków, dokumentów, rękopisów (w tym muzycznych). Wśród zachowanych kancjonałów i innych

zapisów muzycznych klasztoru w Staniątkach odnalazły się i zostały skatalogowane dwa dzieła Józefa Wygrzywalskiego, a to: *Msza* (identyfikator 77 a) oraz *Rorate coeli* (identyfikator 83f). W trzecim tomie *Kroniki*, spisywanej sumiennie przez zakonnice w Staniątkach, przeczytać można: „Od dawnych czasów był zwyczaj, iż próbantki i konwiktorki uczyły się śpiewać przy kantorze, którego utrzymywał klasztor nasz. Tych tu tylko wymienić można, których doszła pamięć nasza. 1. [Józef] Wygrzywalski, słynny muzyk, odjechał r.1847. 2. Józef Kunstman odjechał 1848 r. 3. Walenty Czajkowski wybył do r. 1853 [...]”. W następnych latach był Józef Wygrzywalski organistą w kościele parafialnym w Bochni, a w latach 1850 i 1851 – również nadzwyczajnym profesorem śpiewu w gimnazjum bocheńskim, zgodnie z uchwałą grona profesorskiego tegoż gimnazjum nr 419 z 30 listopada 1849 r. i z zapisami w szematyzmie galicyjskim. Uposażenie profesora wynosiło 50 florenów, a w roku 1850 za zrealizowane przedsięwzięcia muzyczne Ministerstwo Oświaty Publicznej obdarowało profesora J. Wygrzywalskiego dodatkowo nagrodą 50 florenów. Wydaje się, że właśnie w tym okresie skomponował muzyk melodię do wzruszającej kolędy anonimowego autora, pod tytułem *Wesołą nowinę bracia słuchajcie*.

W roku 1853 odnajdujemy państwa Wygrzywalskich we Lwowie. Tam pan Józef został organistą w kościele rzymskokatolickim św. Antoniego oraz nauczał śpiewu do roku 1856 w Lwowskim Cesarsko-Królewskim

Akademickim Gimnazjum Państwowym jako profesor nadzwyczajny, a ostatnie lata pracy 1857–1860 poświęcił nauczaniu śpiewu w Zakładzie Kształcenia i Opieki nad Osobami Ciemnymi we Lwowie, będąc nadal organistą u św. Antoniego. W Szematyzmie galicyjskim na rok 1857 podano adres zamieszkania profesora: Lyczakower Vorstadt Nr 52 4/4 – Przedmieście Łyczakowskie nr 52 4/4. Około roku 1857 muzyk dyrygował też orkiestrą w Lublinie, o czym pisze Wojciech Sowiński w *Słowniku muzyków polskich*: Józef Wygrzywalski – wybitny polski kompozytor okresu klasycystycznego, także skrzypek, organista, kapelmistrz i nauczyciel śpiewu – umarł we Lwowie dnia 30 czerwca 1860 r., a jego pogrzeb odbył się w lwowskiej bazylice NMP dnia 3 lipca.

Cofnijmy się teraz do lat wcześniejszych. Drugi syn Bibianny i Józefa Wygrzywalskich urodził się w Gorlicach 22 lipca 1833 roku i nadano mu imię Apolinary.

Para miała jeszcze córkę Annę Zofię, urodzoną w Staniątkach w roku 1840, która była utalentowaną śpiewaczką i aktorką i występowała w teatrze lwowskim w latach 1857–1862. W roku 1859 wystąpiła nawet w Teatrze Wielkim Opery w Warszawie, gdzie była życzliwie przyjęta przez krytykę i publiczność jako aktorka o mocnym i przyjemnym głosie.

Anna Wygrzywalska zakończyła karierę śpiewaczą w momencie zamążpójścia. Mężem Anny został Mieczysław Eques de Kotowski Trzaska, potem pułkownik w cesarsko-królewskiej armii austro-węgierskiej, urodzony w Zaleszczykach w roku 1835, syn Marcellego i baronessy Klary Brunickiej. Marcel Kotowski był właścicielem majątku Stare Bohorodczany w byłym województwie stanisławowskim. Anna z Wygrzywalskich i Mieczysław Trzaskowie pochodzeni są na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Mijamy nadzieję, że życie Anny Wygrzywalskiej potoczyło się szczęśliwie. A jednak pozostaje nutka żalu za niewyśpiewanymi ariami Anny, jej artystycznym urokiem w blasku światła scenicznych i za niezrealizowanymi radosnymi emocjami, które bywały udziałem widzów na lwowskich przedstawieniach z jej udziałem.

W Staniątkach w roku 1845 urodził się jeszcze najmłodszy syn Józefa i Bibianny – Jan Dominik Wygrzywalski.

Przybliżmy teraz losy i dokonania synów Bibianny i Józefa – Mariana Wygrzywalskiego, Apolinarego Wygrzywalskiego i Jana Wygrzywalskiego.

Marian Wygrzywalski ukończył studia medyczne i jako lekarz położył wielkie zasługi dla rozwoju medycyny polskiej. Pozostał jednak w cieniu sław medycznych i niewiele osób zna dziś jego nazwisko i mogłoby wyszczególnić jego osiągnięcia. Ukończył gimnazjum krakowskie, a następnie zaliczył rok na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, co uprawniło go do podjęcia studiów medycznych. Studia te odbył w Krakowie i Wiedniu, gdzie został promowany na doktora medycyny z dniem 3 kwietnia 1855 r., o czym doniosła lwowska prasa medyczna. Następnym okresem dr Wygrzywalski spędził w Anglii, Francji i Niemczech, ugruntowując swoją wiedzę w dziedzinie chirurgii. Po krótkim okresie pracy w Krakowie w roku 1857 służył w tymże roku w cesarsko-królewskiej armii austro-węgierskiej, pełniąc funkcję naczelnego lekarza w 50. Pułku Piechoty wielkiego księcia Fryderyka I Badeńskiego. Z dniem 31 grudnia roku 1857, na własną prośbę, opuścił armię i powrócił w rodzinne strony. Wydaje się, że w tym momencie podjął decyzję o przeniesieniu się na teren Królestwa Kongresowego, bowiem w roku 1858 zdał obowiązujące egzaminy i złożył przysięgę lekarską w Radzie Lekarskiej Królestwa Polskiego, otrzymując prawo wykonywania tam praktyki lekarskiej.

Dr Marian Wygrzywalski zamieszkał na stałe w Piotrkowie Trybunalskim i temu miastu poświęcił swoje umiejętności i wiekopomne strategie medyczne.

Pracę podjął w szpitalu miejskim w roku 1859, a w roku 1862 został ordynatorem Szpitala św. Trójcy w Piotrkowie, liczącego 40 łóżek na oddziale chrześcijańskim i 20 – w części dla starożakonych. Pracy było więc w bród, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę, że dr Wygrzywalski studiował pilnie literaturę medyczną donoszącą o najnowszych osiągnięciach światowych, robił tłumaczenia ważniejszych prac i sam publikował wyniki własnych dokonań. Ponadto, w początkowym okresie, był także lekarzem więziennym. W roku 1867 światowym wydarzeniem medycznym stała się pionierska publikacja Josepha Listera w czołowym piśmie medycznym „The Lancet” o znaczeniu



Grób dr. Mariana Stanisława Wygrzywalskiego na cmentarzu w Piotrkowie Trybunalskim, według zbiorów dr. Zbigniewa Kococika

i zastosowaniu metod antyseptyki w leczeniu ran urazowych i operacyjnych. Artykuł brytyjskiego uczonego ukazał się w marcu, a już w kilka tygodni potem dr Marian Wygrzywalski jako pierwszy na ziemiach polskich zastosował leczenie ran w warunkach antyseptycznych z użyciem roztworu kwasu karbolowego do dezynfekcji i opatrywania ran, a także opatrunki odwierzające, dające możliwość lepszego gojenia się ran. Dodatkowym czynnikiem, usprawniającym przebieg operacji i chroniącym pacjentów przed bólem w trakcie zabiegów, było stosowanie przez dr. Wygrzywalskiego narkozy chloroformowej. Dzięki nowatorskiemu podejściu do praktyki chirurgicznej uratowało się wiele istnień ludzkich. Dr Marian Wygrzywalski był bez wątpienia pierwszym lekarzem polskim, który uwzględnił wszystkie możliwe procedury antyseptyczne, obserwował ich skuteczność i opisywał szczegółowo i krytycznie przebieg leczenia swoich pacjentów. Należy zauważyć, że dr Wygrzywalski przetłumaczył dzieło profesora J. Listera i opublikował je w „Gazecie Lekarskiej”, zachęcając grono lekarzy do wprowadzenia nowych rozwiązań.

Dr Wygrzywalski był utalentowanym i odważnym chirurgiem. Wykonał szereg operacji, które budziły podziw i uznanie, zarówno w dziedzinie otolaryngologii i okulistyki, jak i liczne operacje nowotworów, przepuklin, kamieni pęcherza moczowego; z powodzeniem przeprowadzał przeszczepy skóry i operacje plastyczne. Na szczególną uwagę zasługują tracheotomie galwanokaustyczne przy użyciu rozżarzonego drutu, które zmniejszały

ryzyko wystąpienia krwotoków.

Nie wchodząc w dalsze niuanse medyczne, wspomnijmy o działalności społecznej i organizacyjnej doktora. Już w roku 1872 powołał do życia poliklinikę dla ubogich chorych, w której, oprócz leczenia, otrzymywali oni bezpłatnie leki zakupione z pieniędzy złożonych przez ofiarodawców. Doktor postulował tak-

że systematyczne dokształcanie kadry lekarskiej, wprowadzenie leczenia ambulatoryjnego, utworzenie ubezpieczeń dla robotników rolnych. Hojnie wspierał finansowo młodzież gimnazjalną i uniwersytecką.

Po śmierci ojca – Józefa Wygrzywalskiego w roku 1860, Marian Wygrzywalski zaopiekował się matką – Bibianą Zofią z Piotrowskich, która opuściła Lwów i zamieszkała z nim w Piotrkowie, i tu umarła w roku 1864.

W następnym roku 1865 Marian ożenił się z Joanną z Przyłuskich, panną z Majkowa, córką ziemian: Antoniego i Barbary Łazarew. Ślub ten został zapisany w księdze małżeństw kościelnych Piotrkowa dopiero w roku 1868. Dnia 5 stycznia 1869 r. urodziła się córka Mariana i Joanny o imionach Marianna Julianna. Drugim dzieckiem był syn: Jan Józef Walenty Wygrzywalski, który przyszedł na świat 22 stycznia 1877 r. Warto tu wspomnieć, że ojcem chrzestnym małego Janka był Bolesław hr. Skarbek, kuzyn Joanny Przyłuskiej ze strony matki. Rodziny były ze sobą zaprzyjaźnione i miały częste kontakty. Bolesław hr. Skarbek brał ponoć udział w spisku na życie cara. Spisek został wykryty i hrabia miał zostać aresztowany przez nasłanych na jego dom Kozaków. Jednakże do zatrzymania nie doszło, gdyż hrabiemu udało się na czas zażyć truciznę. Historia spisku jest niejasna, nie wiadomo, jakie siły uczestniczyły w organizacji wydarzenia i kto wydał Bolesława hr. Skarbka. Na jego grobie widnieje napis, że był właścicielem Drzazgowej Woli, żył lat 47 i umarł w roku 1889.





Grób sędziego Jana Józefa Wygrzywalskiego i jego żony Marcjanny z Damazych, cmentarz Bródnowski w Warszawie (źródło cyfrowe)

Jan Józef Walenty Wygrzywalski osiągnął wysokie stanowisko rangi państwowej, zostając radcą prawnym Najwyższego Trybunału Administracyjnego w Warszawie. Ożenił się późno, bo w roku 1928, z Marcjanną z Damazych.

Małżonkowie są pochowani w Warszawie na cmentarzu na Bródnie: Marcjanna zmarła w roku 1936, a Jan – w roku 1944.

Dr Marian Stanisław Wygrzywalski pracował do końca życia w Szpitalu św. Trójcy w Piotrkowie. Umarł 14 kwietnia 1895 roku w wieku 66 lat. Pozostawił po sobie żonę Joannę i rzeszę pacjentów, którzy z żalem odprowadzili go na miejsce wiecznego spoczynku na starym cmentarzu piotrkowskim. Przyjaciele i współpracownicy wspominali wszechstronne zainteresowania doktora, w tym jego zamiłowanie do poezji i upodobania muzyczne, których wyrazem były zapisane przez niego wiersze i kompozycje muzyczne. W ostatnich dziesięcioleciach środowisko lekarskie stara się upamiętnić postać światłego i jakże skromnego doktora Wygrzywalskiego, publikując prace o jego dorobku i mianując jego imieniem aulę uniwersytecką Uniwersytetu Medycznego w Łodzi w Zamiejscowym Ośrodku Dydaktycznym w Piotrkowie Trybunalskim. Pamiątkowa tablica została tam uroczystie odsłonięta 22 stycznia 2007 r.

Joanna z Przyłuskich Wygrzywalska zmarła 16 listopada 1924 r. i grób jej znajduje się w Warszawie, prawdopodobnie na cmentarzu Bródnowskim.

Młodszy z braci Wygrzywalskich – Apolinary – po ukończeniu gimnazjum był słu-

chaczem Politechniki w Wiedniu, a w latach 1856–1862 studiował na Akademii Technicznej we Lwowie. Był architektem i inżynierem geometrą. Wymieniany jest w szematyzmach galicyjskich (rok 1875) jako inżynier przy budowie Prywatnej Uprzywilejowanej Kolei Żelaznej Arcyksięcia Albrechta, wiodącej ze Lwowa do Stanisławowa, a także w roku 1880, jako geometra, w ck Komisji krajowej podatku gruntowego we Lwowie. Kolej Arcyksięcia Albrechta miała długość 183 km i wiodła przez Szczerzec, Mikołajów, Rozwadów do Stryja, a stamtąd przez Bolechów, Dolinę, Kałusz do Stanisławowa. W roku 1891 przeszła na własność Austriackich Kolei Państwowych, stanowiąc część kolei transwersalnej. W Szematyzmie kolei austro-węgierskich na rok 1874 można przeczytać, że w Dyrekcji Budowy Kolei Arcyksięcia Albrechta we Lwowie na odcinku Kałusz–Stanisławów kierownictwo sprawował jako nadinżynier – inż. Mieczysław Ziembicki, współpracując z inż. Apolinarym Wygrzywalskim i grupą pracowników. Nazwisko Mieczysława Ziembickiego pada tu nie przez przypadek, o czym przekonamy się za chwilę. W roku 1875 w Szematyzmie galicyjskim obaj inżynierowie występują ponownie, pełniąc te same funkcje jak w roku 1874.

W roku 1872 Apolinary ożenił się z panną Laurą Szałowską, starościanką. Jej rodzicami byli: starosta nowosądecki Józef Feliks Szałowski i Marcjanna z Ziembickich h. Półkozic. Okazuje się, że bratankiem Marcjanny, a kuzynem Laury był inż. Mieczysław Ziembicki, który szefował inż. Apolinarym



Tablica upamiętniająca dr. Mariana Wygrzywalskiego przy wejściu do auli Zamiejscowego Ośrodka Dydaktycznego w Piotrkowie Trybunalskim Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, źródło: Kronikarz, nr 10, 2007

Wygrzywalskiemu. W kwietniu roku 1872 odbyły się zapowiedzi, a potem w maju tego roku ślub pary narzeczonych w Przemyślu. Zarówno w świadectwie zapowiedzi, jak i ślubu status Apolinarego Wygrzywalskiego określono jako inżyniera geometry przy kolei żelaznej arcyksięcia Albrechta. Jednym słowem, Apolinary był związany z powstawaniem tej kolei chyba od początkowej fazy budowy, to znaczy od roku 1871.

Dnia 20 listopada 1875 r. w Przemyślu urodził się jedyny syn Apolinarego i Laury – Feliks Michał Wygrzywalski. Spośród czworga rodziców chrzestnych Feliksa Michała zwróćmy uwagę na Władysława Janickiego, właściciela tabularnego dóbr w pobliżu Przemyśla, a konkretnie wspaniałego majątku Stubno.

Apolinary Wygrzywalski umarł na wadę serca 7 czerwca 1880 r., osierocając czteroletniego Feliksa i żonę Laurę. Pochowany został na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. W następnych latach Laura Wygrzywalska sama ponosiła trudy wychowania i wykształcenia syna i zabiegała o rozwój jego wybitnego talentu malarskiego.

W roku 1893, po ukończeniu gimnazjum, Feliks uzyskał stypendium artystyczne Fundacji im. Malinowskiego i wyjechał na studia do Monachium. Tamtejsza Akademia Sztuk

Pięknych – Akademie der Bildenden Künste – stanowiła jeden z najważniejszych ośrodków artystycznych Niemiec. Tam, pod kierunkiem malarzy Johanna Caspara Hertricha i Carla von Marra, okrzył talent Feliksa i nabrał własnego wyrazu. W akademii monachijskiej cztery prace młodego artysty zostały włączone do jej szczególnych zbiorów. Przez pewien czas Feliks przebywał w Paryżu i tam w Akademii Julian – prywatnej akademickiej szkole artystycznej Rodolphe'a Juliana – zetknął się z jeszcze innym spojrzeniem na sztukę malarską. Pracował bardzo intensywnie, z wielką pasją i zapamiętaniem. Studia zakończył w roku 1898. Nastął czas, by rozpocząć własną, niezależną twórczość – na miejsce, w którym postanowił stawiać pierwsze kroki, wybrał Rzym. Do Włoch Feliks nie wyruszył jednak sam. Towarzyszyła mu niezwykle urody młoda kobieta – Rosa Samassa, w której się zakochał z wzajemnością i która została jego żoną.

Rosa, urodzona w roku 1877, była córką zamożnych mieszczan monachijskich – Elżbiety Hoheneder i Ludwiga Samassy, mistrza kowalskiego, pracującego na dworze księcia Maksymiliana Bawarskiego. Przodek Ludwiga – Giovanni Battista Samassa, kupiec, przybył w okolice Augsburga z Republiki Weneckiej najpewniej w roku 1755 i osiedlił się w Biberbach. Jako wdowiec ożenił się z córką zmarłego już wtedy burmistrza miasta Höchstädt – Ursulą Hayn, a od Józefa Marii hr. Fuggera von Wellenburg, włodarza rozległych okolicznych ziem, w tym miejscowości Biberbach, ze znamie-



Grób Apolinarego Wygrzywalskiego na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, źródło: zdjęcia wykupione w genealogiczne.pl]

Feliks Michał Wygrzywalski, Autoportret, rok 1906, źródło: Sztuka, nr 1, 1912

nitego rodu Fuggerów, otrzymał nader hojne przywileje i koncesje na handel wieloma poszukiwanymi dobrami. Tradycje kupieckie przetrwały w rodzinie przez następne pokolenia, tak więc zarówno pradziadek Rosy – Franciszek Ksawery Samassa, jak i jej dziadek – Alojz Samassa byli kupcami. Jednakże zgoła inną karierę wybrał jeden z braci Franciszka Ksawerego – Johann Georg Samassa: został ludwisarzem w Passawie, rozslawiając nazwisko swoją wybitną działalnością. Stworzył wiele wspaniałych dzwonów, zwanych z uznaniem „dzwonami Samassy”, z których znaczna część istnieje do dziś. Natomiast Hohenederowie trudnili się handlem mięsem. Rodzice Rosy – Elżbieta i Ludwig Samassowie mieli kilkoro dzieci i ich potomkowie żyją w Monachium do dziś.

Feliks i Rosa rozpoczęli nowe życie w Rzymie. Były to lata szczęśliwe i słoneczne i zaowocowały twórczością Feliksa przepelnioną włoskim morzem, pracą rybaków, scenami z Orientu, które były pokłosiem krótkiego pobytu malarza w Egipcie. Wówczas też malarz kopiował prace starych mistrzów. Równocześnie wykonywał ilustracje do polskiego tygodnika „Wędrowiec” i do czasopism niemieckich i rosyjskich. Malował portrety i akty urodziwych Włosek. Państwo Wygrzywalscy nawiązali bliski kontakt z tamtejszą artystyczną Polonią, którą Feliks oczarował swoim dowcipem i radosnym usposobieniem.

W roku 1900 w Rzymie urodziły się państwu Wygrzywalskim bliźnięta – dwaj chłopcy: Feliks Jan i Feliks Kazimierz. Chłopcy także doświadczyli dobrodziejstw tych rozświetlonych, szczęśliwych lat. Dopiero w roku 1908 Feliks senior zdecydował o wyjeździe rodziny na stałe do Lwowa, gdzie czekała na całą czeladkę matka Feliksa – Laura Wygrzywalska.

We Lwowie malarz od razu otrzymał nowe zadania, więc oprócz tworzenia nowych obrazów zaczął projektować, a potem urzędywistniać alegoryczne malowidła ścienne, mające zdobić Izbę Przemysłowo-Handlową. W latach 1909–1914 pracował też w teatrze lwowskim jako inspektor sceny, projektował dekoracje i kostiumy teatralne do szeregu przedstawień. Tworzył grafikę, ilustracje do książek i projekty witraży. Kilkakrotnie udało



się też wyjechać do Włoch, by zanurzyć się w pięknych wspomnieniach, pobycić znów w atmosferze wielkiej sztuki, chłonąc kolory i blaski Południa... Tymczasem chłopcy podorastali i zaczęli uczęszczać do IV Gimnazjum im. Długosza we Lwowie. Obaj wykazywali uzdolnienia plastyczne i muzyczne.

W roku 1914, w czas wojny, gdy Rosjanie opanowali Lwów, z powodu deficytu budżetowego miasta zaistniała konieczność wyemitowania asygnat kasowych dla zaspokojenia podstawowych potrzeb miasta, utrzymania działalności instytucji, a także celem opłacenia pracowników budżetowych. Projekt biletów płatniczych powierzono artyście malarzowi Feliksowi Wygrzywalskiemu, który wykonał projekty asygnat o nominałach 100 koron, a także 5, 10 i 20 koron austriackich. Zrealizowano jedynie asygnaty stukoronowe, które zachwycały swoją wartością artystyczną i uchodziły za najładniejsze bilety płatnicze w Europie. W obiegu znalazły się także asygnaty jednokoronowe, wcześniejsze, być może też projektu Feliksa Wygrzywalskiego. I jedno, i drugie na pięknym papierze wykonało Towarzystwo Akcyjne dla Przemysłu Litograficznego. Na początku lutego 1915 r. kasa miejska otrzymała znaczną liczbę asygnat do wypłaty, za które zaręczyła całym swoim majątkiem Gmina królewskiego stołecznego miasta Lwowa.



Feliks Michał Wygrzywski, Dzieci artyści, źródło: Sztuka, nr 1, 1912

Natomiast Feliks Michał Wygrzywski z żoną Rosą i synami w ramach rosyjskich represji przeciwko ludności Lwowa został zesłany do Berdiańska nad Morzem Azowskim, a potem do Rostowa nad Donem i tam spędził z rodziną sześć lub siedem następných lat. Tam w roku 1917 umarł na tyfus Jan Wygrzywski. Feliks zarabiał na utrzymanie, ucząc rysunków w szkole i jako artysta cieszył się miernym wśród mieszkańców Rostowa, którzy obserwowali jego poczynania artystyczne, gdy wyruszał nad rzekę, by malować buraków, rybaków z sieciami pełnymi ryb, łodzie i chwile wytchnienia rybaków.

Tymczasem Laura Wygrzywska, już w sędziwym wieku, pozostała we Lwowie sama i jak wielu mieszkańców, także wygnanców i uciekinierów z obszarów ogarniętych wojną, cierpiała biedę i głód. Wiemy o tym, gdyż w zapiskach o Klemensie Dąbrowskim, benedyktynie, jednego z założycieli Komitetu Uchodźców Polskich

w Pradze, istnieje wzmianka, że nowojorski Polish Victims Relief Fund zamierzał, między innymi, wspomóc Laurę Wygrzywską, w czym pośredniczył właśnie komitet z Pragi czeskiej. Polish Victims Relief Fund powstał z inicjatywy dwóch wielkich Polaków: pianisty i kompozytora Ignacego Paderewskiego i pisarza Henryka Sienkiewicza, którzy jeździli po świecie i byli orędownikami sprawy polskiej w Londynie, Paryżu czy Nowym Jorku. Pomoc ofiarowywana była szczerze, gdyż koncerty Ignacego Paderewskiego przy-

ciągały tłumy, a sam kompozytor dał nawet dwa koncerty w Białym Domu. Stowarzyszenie zostało założone w Szwajcarii i stamtąd płynęła też dodatkowa pomoc dla ofiar wojny w Polsce. O. Klemens Dąbrowski był spokrewniony z Henrykiem Sienkiewiczem, co ułatwiało kontakty między Szwajcarią a Pragą. Jak wyglądały dalej sprawy Laury Wygrzywskiej – nie wiadomo. Nie wiemy, czy ta deklarowana pomoc do niej dotarła i jakie były jej dalsze losy.

W Rosji w roku 1917 wojna zapętlila się z rewolucją październikową, co spowodowało jeszcze większe trudności i ograniczenia dla ludności. Dopiero w roku 1921 Feliks, Rosa i Kazimierz odzyskali wolność i mogli nareszcie powrócić do Lwowa.

Z zapałem i energią urządzano się wówczas w nowej Polsce.

Feliks Wygrzywski rzucił się w wir pracy. Malował przepiękne akty i portrety kobiety, morze – nie tylko włoskie, ale i nasze, Beduinów, Arabów – sprzedawców i napra-

Feliks Michał Wygrzywski, Kłótnia rybaków, rybacy to synowie Artysty, z lewej – Feliks Kazimierz, a z prawej – Feliks Jan Wygrzywski



Feliks Michał Wygrzywski, W ogrodach harem, obraz wystawiany i sprzedany w prestiżowym Salonie Aukcyjnym Dzieł Sztuki Christie's w Londynie



Feliks Michał Wygrzywalski, Sprzedawca dywanów w Bosforze, obraz wystawiany w Salonie Christie's w Londynie

styczną i orientalną do swojego warsztatu. Malował też portrety, kwiaty, drzewa i pejzaże.

Był również utalentowanym śpiewakiem, choć tylko na własny użytek. Jego córka Teresa wspomina, że ojciec wyśpiewywał jej wspaniałe arie operowe, umilając chwile spędzane razem. W czasie drugiej wojny światowej obaj artyści pracowali wspólnie w teatrze lwowskim: Feliks Michał Wygrzywalski był kierownikiem artystycznym, a jego syn Feliks Kazimierz – scenografem. Przez pewien okres w czasie wojny Feliks Kazimierz

wiaży dywanów, pracę rybaków i pejzaże, sceny rodzajowe i autoportrety. Operował w sposób doskonały światłocieniem i kolorami. Założył we Lwowie Salon Sztuki pod nazwą „Kunstausstellung”, w którym wystawiał i sprzedawał prace swoje i kolegów malarzy. W roku 1932 miał indywidualną wystawę dzieł w Lwowskim Towarzystwie Sztuk Pięknych, a w roku 1935 – w Krakowie. Stworzył wspaniały cykl 14 obrazów dotyczących tańca do sali balowej pensjonatu Lwigród w Krynicy. Był pracowitym i płodnym malarzem, ale kochał też przyjemne i beztrudne życie. Bywał duszą towarzystwa i uwodził słuchaczy piękną grą na skrzypcach... Niestety rozstał się z żoną Różą i ożenił ponownie. Umarł w Rzeszowie w roku 1944 w czasie ucieczki ze Lwowa przed Armią Czerwoną. Pochowany został na cmentarzu Rzeszów Pobitno, ale jego grób został przykryty innym i nie ma obecnie śladu po wcześniejszym pochówku.

Feliks Kazimierz Wygrzywalski, syn Feliksa Michała, po powrocie z wygnania w roku 1921 uzupełniał wykształcenie i rozpoczął studia na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie pod kierunkiem Józefa Mehoffera i Władysława Jarockiego. Tak więc lata studenckie 1923–1928, a potem kilka lat spędzonych częściowo we Włoszech były okresem intensywnej pracy artystycznej i rozwoju młodego malarza. Były to lata dobre, które pozwoliły, choć częściowo, uwolnić się z traumy po pobycie na zesłaniu. Kazimierz pozostawał pod wpływem artystycznym ojca i przejął z powodzeniem tematykę maryni-

z matką ukrywali się w okolicach Kalwarii Zebrzydowskiej ze względu na niemieckie pochodzenie Rosy Wygrzywalskiej. A po wojnie nie było już powrotu do Lwowa.

Feliks Kazimierz Wygrzywalski i Rosa, lub po polsku Róża Wygrzywalska, zamieszkali na Śląsku, w Zabrze. Kazimierz ożenił się z poznaną jeszcze we Lwowie panną Marią Wrońską, córką kupca lwowskiego Eugeniusza Wrońskiego i Stefanii Riedl, córki Edmunda – innego znanego kupca lwowskiego, radnego miasta Lwowa i posła



Feliks Michał Wygrzywalski, Merkury, grafika



na galicyjski sejm krajowy pierwszej kadencji. Za jakiś czas przysłała na świat ich ukochana córeczka, Terenia, która wniosła do domu artysty szczęście i radość.

Po drugiej wojnie światowej czasy nie były zbyt łaskawe dla artystów, gdyż spauperyzowane społeczeństwo musiało zaspakajać najbardziej podstawowe potrzeby życiowe, a sztuka była luksusem, poza możliwościami większości Polaków. Szczęśliwie jednak Feliks Kazimierz zyskał wielkie uznanie wśród koneserów sztuki z zamożnego Wiednia, którzy zainteresowani byli zakupem obrazów, głównie o tematyce orientalnej. Dzięki temu Kazimierz utrzymywał rodzinę i pozwalał wyobraźni kreować coraz to nowe bogate



Feliks Kazimierz Wygrzywański. Portret przyszłej żony Artysty – Marii Wronskiej (rok 1940)

Feliks Michał Wygrzywański, fotografia Artysty, z albumu rodzinnego pani Teresy Wygrzywańskiej-Małko.

desenie kolorowych dywanów, które Arabowie, młodzi i starzy, sprzedawali na targowiskach... Szary świat piękniał, gdy patrzyło się na wyiskrzzone słońcem, soczyste w barwie, miękkie materię, rozłożone malowniczo na wschodnich bazarach, wśród ruchliwego tłumu. Pośród innych obrazów dominowało morze – o różnych odcieniach zieleni i błękitu, z białymi grzywkami lub grzywami fal, ze skałami nagle wyłaniającymi się spod wody, o które z łoskotem i pianą rozbijają się fale, z blaskiem odbitych i wibrujących promieni słonecznych. Obrazy Feliksa Kazimierza pokazywane były na licznych wystawach i sprzedawane w domach aukcyjnych. A oprócz tego, że był znamienitym artystą, Kazimierz Wygrzywański był ciepłym, miłym i życzliwym światu człowiekiem.

Teresa Wygrzywańska chłonęła artystyczną atmosferę domu, rysowała i rzeźbiła, a po maturze, pod okiem ojca, miała rozpocząć poważne przygotowania do studiów na Akademii Sztuk Pięknych. Niestety los chciał inaczej. W roku 1966, niespodziewanie, Feliks Kazimierz Wygrzywański umarł i został pochowany na cmentarzu św. Anny w Zabrze. Rosa Wygrzywańska, jego matka, umarła cztery lata wcześniej w roku 1962 i spoczywa na tym samym cmentarzu co syn. Rosa Samassa – piękna dziewczyna z Monachium, szalona miłość i muza wielkiego artysty – Feliksa Michała Wygrzywańskiego.

Marzenia dotyczące studiów artystycznych Teresy zostały zniweczone przez konieczność podjęcia pracy zarobkowej zaraz po zdaniu matury. Po przedwczesnej śmierci matki Marii Wygrzywańskiej w roku 1972 Teresa została zupełnie sama. W roku 1974 wyszła za mąż za artystę Aleksandra Małkę, a w 1975 urodziła syna Tomasza, który po latach przyjął rodowe nazwisko matki.

Tomasz Wygrzywański odziedziczył po przodkach włoską urodę Samassów i i wielki talent malarski po polskich dziadkach Feliksie Michale i Feliksie Kazimierzu. Żył krótko. Umarł śmiercią tragiczną, mając lat 27, ale w tych niewielu latach zawarł całe bogactwo dokonań artystycznych.

Czuł zawsze nieuchwytną pieczę swoich utalentowanych przodków, którzy obdarowali go wrażliwością, wyobraźnią i energią twórczą. Ukończył Liceum Plastyczne w Zabrze ze specjalizacją snycerki, a potem studia



w katowickiej filii Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Ukończył dwa kierunki: malarstwo – pod kierunkiem prof. Romana Nowotarskiego i grafikę – pod kierunkiem prof. Romana Kalarusa. Powstawały rzeźby, grafiki, plakaty filmowe i inne obrazy o zróżnicowanej tematyce, z uwzględnieniem tematyki specyficznie śląskiej – z familokami, starymi podwórkami, podobnymi do tych zabrzańskich, pejzażami pięknej śląskiej ziemi.

Malował Tomasz też portrety i autoportrety, jak również przymierzał swój nowoczesny ogląd świata do dawnych tematów, jakby parafrazując orientalne sceny z obrazów Feliksa i Kazimierza Wygrzywalskich.



Tworzył ilustracje do książek, współpracując z wydawnictwem KOS, i projektował scenografie teatralne. Uczestniczył w życiu artystycznym Zabrza i Katowic poprzez różne akcje organizowane z innymi młodymi plastykami, na przykład w grupie Pięcuniedziesięciu. Brał udział w wielu wystawach w Polsce i za granicą i otrzymał wiele nagród za swoje niezwykle prace. Zostawił po sobie pustkę i żal.

Wzruszająco pisze o nim przyjaciel, reżyser filmowy Ryszard Stecura, we wspomnieniu zatytułowanym *Świat mniejszy o Tomka*: „Uważam, że był talentem, jaki może się w pokoleniu zdarzyć tylko jeden. [...] Przez tę śmierć świat stał się mniejszy, mój świat. Ja także”. Pisze, że Tomasz był pasjonatem twórczości i to ona była zasadniczym sensem jego egzystencji. Był pracowity i wymagający wobec siebie. Był też kochającym synem i radosnym, dobrym człowiekiem. Umarł 10 maja 2002 r. i spoczywa obok swoich przodków na zabrzańskim cmentarzu św. Anny. Po odejściu Tomasza jego narzeczona Sara Kramza – dziś po mężu Rękosiewicz – starała się przez lata być córką



Teresa Wyrzywalska, córka artysty

sekretarza w Centralnym Wydziale Szkód w Towarzystwie Ubezpieczeń w Krakowie. Jako emerytowany urzędnik figuruje w księgach adresowych Krakowa w latach 1907–1914. Niestety nie mamy danych o życiu rodzinnym Jana.

Kończąc tę przebogata historię rodzinną rodu Wyrzywalskich, nieco nostalgiczną i pełną niedopowiedzeń, zachęcamy do bliższego wglądu w przemieniony czas powstań i wojen światowych, w burzliwe dzieje teatru polskiego, w klimaty starej i nowej muzyki teatralnej czy kościelnej, w początkowy pionierski okres kolejnictwa – gdy nagle zmieniał się świat i powstawały nieoczekiwane możliwości przemieszczania się i rozwoju, w zmagania artystyczne naszych wielkich malarzy, w świat dawnej medycyny i jej luminary i do chwili refleksji nad kondycją człowieka w ogólności.

Skłonmy też głowę przed zasłużonymi indywidualnościami rodu Wyrzywalskich, które przez pokolenia wносиły do naszego świata i postęp, i radość, i wiele doznań artystycznych.

---

Wszystkie obrazy artystów i fotografie rodzinne są zamieszczone w artykule za wiedzą i zgodą pani Teresy Wyrzywalskiej-Maiko.

---

dla Teresy Wyrzywalskiej, a dwaj synowie Sary są dziś wnukami Teresy.

Jan Dominik Wyrzywalski – trzeci syn Józefa i Bibiany, mimo predyspozycji artystycznych, poszedł inną drogą zawodową. Po ukończeniu 7 klas gimnazjalnych zdał egzamin wstępny na lwowską Akademię Techniczną i studiował tam w latach 1868–1869. Równocześnie był aktorem Teatru we Lwowie (1868–1870). W lecie roku 1869 występował też w Przemyślu, Tarnowie i Szczawnicy. Ostatecznie wybrał karierę urzędniczą i przez 28 lat pracował na różnych stanowiskach w Towarzystwie Wzajemnych Ubezpieczeń w Krakowie, o czym można przeczytać w Szematyzmach galicyjskich z lat 1877–1904. Przez pewien czas przebywał we Lwowie, pełniąc funkcję inspektora w reprezentacji dyrekcji krakowskiego towarzystwa ubezpieczeniowego. Karierę zakończył na prominentnym stanowisku



Tomasz Wyrzywalski, fotografia autorstwa Ireneusza Dorońskiego (Zabrze Nasze Miasto, 23 listopada 2001 r.).



Tomasz Wyrzywalski, Autoportret



**Antoni Wilgusiewicz**

## Lwowianie i kresowianie w Policji Województwa Śląskiego (1922–1939)

Niedawno zakończone obchody 100-lecia powrotu części Górnego Śląska do Polski stały się okazją do przypomnienia wielu faktów i postaci historycznych związanych z objęciem ziem śląskich przez Państwo Polskie, w tym także lwowian i kresowian, takich jak generał Stanisław Szepetycki. Wnuk Aleksandra Fredry, wybitny polski dowódca (przez pewien czas także minister spraw wojskowych) został zapamiętany na Górnym Śląsku jako ten, który w imieniu Państwa Polskiego pierwszy wkraczał na Śląsk na czele polskich oddziałów. Wśród powstających wówczas instytucji polskiego życia publicznego na czele z Sejmem Śląskim ważną rolę odegrała Policja Województwa Śląskiego, będąca samodzielnym odpowiednikiem Policji Państwowej (stanowiło to jeden z przejawów odrębności Śląska zagwarantowanej Statutem Organicznym Województwa Śląskiego z 15 lipca 1920 roku). Policjanci śląscy działali na tych samych zasadach, co ogólnopaństwowi, odróżniał ich orzeł śląski na mundurze; podlegali Wojewodzie i Sejmowi Śląskiemu, a na ich czele stała Komenda Główna Policji Województwa Śląskiego z siedzibą w Katowicach.

Pierwszym Komendantem Głównym został pułkownik Stanisław Młodnicki, który interesuje kresowian jako osoba wywodząca się ze wschodnich terenów Polski. Urodził się w 1868 roku w Czerniowcach (wówczas jako stolica Kraju Koronnego Bukowina będących częścią monarchii austro-węgierskiej). Po zdobyciu wykształcenia prawniczego służył w austriackiej żandarmerii, a w 1918 roku przeszedł na służbę Odrodzonego Państwa Polskiego. Został komendantem żandarmerii Księstwa Cieszyńskiego, wyróżniając się na tym stanowisku w niełatwym okresie sporów polsko-czeskich zręczną i skuteczną działalnością. Zaangażował się także w przygotowania do tworzenia polskich organów bezpieczeństwa na terenie Śląska pruskiego (kursy dla przyszłych policjantów śląskich). Spowodowało to podczas formowania Policji Województwa Śląskiego mia-



nowanie go z dniem 16 czerwca 1922 roku przez wojewodę śląskiego Józefa Rymera Komendantem Głównym PWSi. Mimo że jego służba na tym stanowisku nie trwała długo (z końcem 1923 roku jako człowiek już niemłody i schorowany przeszedł na emeryturę), zapisał się na trwałe w historii Górnego Śląska jako twórca i pierwszy komendant śląskiej policji.

Skład osobowy Policji Województwa Śląskiego w latach 1922–1939 możemy poznać dość dokładnie dzięki zaangażowaniu społeczników z Ogólnopolskiego Stowarzyszenia „Rodzina Policyjna 1939 r.” z siedzibą w Katowicach. Niestety, jak dotąd ich badania źródłowe pozwoliły na skompletowanie biogramów funkcjonariuszy o nazwiskach na litery A–Ł; stanowi to jednak dość pokaźną listę około 1800 nazwisk, której udostępnienie mi przez p. Grzegorza Grześkowiaka, aktywnego działacza Stowarzyszenia, pozwoliło na napisanie tego artykułu.

Podstawową grupę funkcjonariuszy PWSi stanowili rodowici Ślązacy, tak z byłego Śląska pruskiego, jak i ze Śląska Cieszyńskiego, w tym wywodzący się z tzw. Zaolzia. Dość



Plk Stanisław Młodnicki

licznie reprezentowani byli także Wielkopolanie; osoby z innych części Polski, w tym z Galicji zarówno Zachodniej, jak i Wschodniej, stanowiły margines. Wśród policjantów śląskich związanych wcześniej z Kresami Wschodnimi znaj-

dziemy dwóch oficerów. Pierwszy to Wiktor Buliński, podobnie jak komendant Młodnicki urodzony w Czerniowcach, ale znacznie później, bo w 1895 roku. Po udziale w wojnach z bolszewikami i Ukraińcami, za który został odznaczony, podjął służbę w PWŚI. Jako wybitnie uzdolniony policjant został skierowany m.in. na kurs kryminologii do Wiednia i awansowany na stopień nadkomisarza, a w 1936 roku przeniesiony do służby policyjnej w Warszawie. Drugi, Marian Chomrański, urodzony w Jaśle w ówczesnej Galicji, służbę policyjną rozpoczął w Okręgu Lwowskim (w komendach w Dolinie i Żółkwi), a od 1924 przeszedł do PWŚI. W stopniu podinspektora (od 1936 r.) był Naczelnikiem Urzędu Śledczego w Katowicach.

Jedynym znanym nam policjantem śląskim urodzonym we Lwowie był Józef Bombas; odbył służbę w austriackiej Marynarce Wojennej, a pracę w polskiej policji rozpoczął w Gorlicach. W latach 1922–1925 służył w Tarnopolu, skąd przeszedł do PWŚI – był komendantem posterunku, w 1937 r. skierowano go do Wydziału Śledczego w Katowicach.

Być może był on krewnym ks. Ludwika Bombasa ze Lwowa, zasłużonego kapelana wojskowego, który 14 sierpnia 1934 roku został mianowany administratorem parafii wojskowej pw. Świętego Kazimierza w Katowicach; dał się poznać jako dobry organizator i budowniczy nowoczesnego wojskowego domu parafialnego. 19 marca 1938 roku otrzymał awans na stopień proboszcza parafii katowickiej.

Karol Czech, urodzony w Starym Samborze, miał za sobą bogatą przeszłość wojenną. Przez Żandarmerię Księstwa Cieszyńskiego trafił do PWŚI; najdłużej służył w Komisariacie Bielsko (1933–1938), skąd po zajęciu Zaolzia skierowano go do Orłowej. Podzielił tragiczny los wielu policjantów śląskich. Jeniec Obozu Specjalnego NKWD w Ostaszkwie (1939–1940), zamordowany przez funkcyjna-

riuszy NKWD (kwiecień 1940) w Twerze (nr list. dysp. NKWD 044/2 z dn. 22.04.1940). Pogrzebany na Polskim Cmentarzu Wojennym w Miednoje. Postanowieniem z dn. 5.10.2007 Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego pośmiertnie awansowany na stopień służbowy aspiranta Policji Państwowej.

Bolesław Gawroński urodził się w Podhajcach. Pracował w Komendzie Policji w Katowicach w Referacie Wojskowym (lata nieznane).

Bronisław Czerwiński urodził się w powiecie Mościska. Po krótkiej służbie w Tarnopolu znalazł się na Śląsku (1928), gdzie służył jako posterunkowy, m.in. w Królewskiej Hucie.

Antoni Krasnopolski, rodem ze Zbaraża, przez żandarmerię austriacką znalazł się w Żandarmerii Księstwa Cieszyńskiego, a potem w śląskiej policji. Jako komendant posterunku w Jasienicy koło Bielska zmarł w 1933 roku.

Marian Koneczny z Sokala urodził się w 1878 roku. Znalazł się w śląskiej policji w podobny sposób jak poprzednik, zmarł jako komendant posterunku Szopienice rok wcześniej (1932).

Antoni Lewkowicz, urodzony w 1915 roku w Gródku Jagiellońskim, reprezentował młodsze pokolenie policjantów. Po odbyciu służby wojskowej został przyjęty do policji śląskiej, gdzie służył w Jabłonkowie na Zaolziu. Dalszy jego los jest niezany.

Teofil Jekiel pochodził z okolic Tarnobrzega. Po udziale w wojnie z bolszewikami rozpoczął służbę policyjną w Tarnopolu, skąd w 1925 roku przeszedł do PWŚI. Jako starszy przodownik był do wybuchu II wojny światowej, którą udało mu się przeżyć, komendantem posterunku.

Marceli Kozłowski – ofiara zbrodni katyńskiej, urodzony niedaleko Bydgoszczy, po wojnie bolszewickiej pracował w Straży Celnej, skąd przeszedł do policji we Lwowie. W 1925 roku znalazł się na Śląsku, gdzie służył na posterunkach w Hajdukach i Świętochłowicach. Po 1939 roku spotkał go los wyżej wspomnianego Karola Czecha.

Z Kresów Północno-Wschodnich pochodził Wincenty Krasocki. Urodzony w powiecie Nowogródek, odbył służbę wojskową, po czym znalazł się na posterunku policji w przyłączonym do Polski Trzyńcu. Dalszy jego los jest niezany.

Prócz policjantów śląskich urodzonych na Kresach Wschodnich bądź pełniących tam

wcześniej służbę można wymienić takich, którzy odbyli tam szkolenie specjalistyczne.

Jan Dorsz, Wielkopolek, przed rozpoczęciem służby na Śląsku odbył w 1921 roku kurs posterunkowy we Lwowie. Tuż przed wybuchem wojny został komendantem posterunku Łagiewniki, a następnie, podobnie jak koledy, padł ofiarą zbrodni katyńskiej.

Jan Łoskot, Ślązak z Ligoty (obecnie dzielnica Katowic), przed rozpoczęciem służby w PWŚI odbył szkolenie w słynnej Szkole Policji w Mostach Wielkich na północ od Lwowa (1929).

Wielu policjantów śląskich starszego i średniego pokolenia miało za sobą bogatą przeszłość wojenną. Z przymusu służyli podczas I wojny światowej w armiach zaborczych, skąd przeszli do służby w różnego typu formacjach polskich (poczynając od udziału w powstaniach śląskich i powstaniu wielkopolskim). Brali udział w konflikcie polsko-czeskim o Śląsk Cieszyński, a na wschodzie w wojnach z bolszewikami i Ukraińcami. Udział w tych walkach owocował nie tylko umiejętnością posługiwania się bronią czy zachowania dyscypliny, ale też wypróbowanym patriotyzmem i ofiarnością w służbie Ojczyzny, odbywanej w szeregach policji. Wiedzieli o tym dobrze sowieccy oprawcy, poddając eksterminacji nie tylko oficerów Wojska Polskiego, ale też policjantów, zwłaszcza śląskich (wszystkich stopni).

Wśród odznaczonych za udział w walkach na Wschodzie śląskich policjantów nie odnalazłem obrońców Lwowa w ścisłym sensie, to jest w dniach 1–22 listopada 1918 roku, jest jednak liczna grupa odznaczonych Odznaką Honorową Orłęta, przyznawaną za udział w walkach o Lwów z Ukraińcami w pierwszej połowie 1919 roku. Były to osoby służące w oddziałach przybyłych z zachodniej i środkowej części Polski na odsiecz Lwowa, stąd też są tu reprezentowani mieszkańcy różnych dzielnic kraju. W zbadanej przeze mnie grupie 23 odznaczonych Odznaką Honorową Orłęta – 8 to Wielkopolanie, 5 to Ślązacy (Śląsk Pruski i Cieszyński), a 10 pozostali, na przykład z dawnej Galicji (Małopolski). I tak dla przykładu sylwetki kilku odznaczonych:

Wielkopolek Stanisław Fredek brał udział po zwolnieniu z armii niemieckiej w powstaniu wielkopolskim, wojnie z Ukraińcami o Galicję Wschodnią oraz w wojnie polsko-

-bolszewickiej 1920 roku. Od 1 marca 1924 służył w PWŚI, głównie w okolicach Rybnika.

Ślązak Leon Głąb z Siemianowic z armii niemieckiej przeszedł do Armii Hallera, z którą walczył w wojnie z Ukraińcami i bolszewikami; był także uczestnikiem powstań śląskich. Od 1922 roku służył w PWŚI, głównie w Siemianowicach i Katowicach.

Cieszynianin Franciszek Kotrys brał udział w konflikcie z Czechami, wojnie polsko-ukraińskiej i polsko-bolszewickiej, a w 1921 roku w III powstaniu śląskim. Podjął następnie służbę w śląskiej policji na terenie Katowic, między innymi w Oddziale Konnym (1937).

Feliks Głowiński, urodzony w okolicach Płońska na Mazowszu, walczył w wojnach z Ukraińcami i bolszewikami. Otrzymał m.in. odznaczenia „Za dzielność” i „Za rany”. W PWŚI służył m.in. na posterunku Ustroń.

Na zakończenie warto wspomnieć o policjancie z Wielkopolski, odznaczonym za walki na froncie litewsko-białoruskim oraz Odznaką Wilno 1919 Wielkanoc, przyznawaną za udział w zdobyciu Wilna. Jan Fryga służył w policji śląskiej w latach 1926–1939 na terenie Bielska i Chorzowa; został zamordowany na Białorusi przez funkcjonariuszy NKWD.

Województwo śląskie istniejące w latach 1922–1939 musiało przyjąć z innych ziem polskich znaczną grupę urzędników czy też fachowców z różnych dziedzin życia społecznego, gospodarczego, kulturalnego w celu zastąpienia nimi niemieckiej warstwy kierowniczej. Wśród nich byli tacy znakomici organizatorzy, jak Michał Antonów ze Lwowa (twórca polskiej służby archiwalnej) czy Leonard Kuntze ze Stanisławowa (Poczta Polska). Policję polską na tym terenie tworzył także rodowity kresowianin pułkownik Stanisław Młodnicki. Grupa jej funkcjonariuszy wywodzących się z Kresów Wschodnich nie była liczna, ale wraz z kolegami Ślązakami czy Wielkopolanami zapisali się oni na trwałe w dziejach bezpieczeństwa publicznego na Górnym Śląsku. Niektórzy z nich podzielili także tragiczny los śląskich policjantów, wymordowanych w Twerze przez oprawców z NKWD. O pamięć ich dba Ogólnopolskie Stowarzyszenie „Rodzina Policyjna 1939 r.” z siedzibą w Katowicach.



**Mariusz Olbromski**  
**NAD RANEM**  
**W KRZEMIĘNCU**

*Prof. Henrykowi Dudzie*

Oto już gasną ciche gwiazdy  
 pierwsze koguty po ogrodach pieją,  
 Bona w mgłach duma nad nami.  
 A we mnie szmerze jak Irwa opodał  
 wiele zaprzyszłych tu rozmów  
 echa z wędrówek po uliczkach,  
 po placach, starymi miasta zaułkami.  
 Jakże wiele tych chwil wrześniowych  
 w barwną mozaikę się już połączyło,  
 zbiegło z wierszami Słowackiego  
 i z modlitwami nad Salomei mogiłą.  
 Wiele wyrosło przyjaźni jak krzewów  
 i kwiatów w botanicznym ogrodzie.  
 A w tych rewirach właśnie serce  
 oddycha inaczej, powraca zdrowie.

4 IX 23

**POD GÓRĄ KRÓLOWEJ BONY**

*Stanisławowi Lutkiewiczowi*

**SKAŁY SŁOWACKIEGO**

*Prof. Beacie Obsulewicz-Niewińskiej*

W buczyny morzu szmaragdowym  
 tkwią rafy mórz przedpotopowych  
 i wciąż prochami skamieniałych istnień  
 szumy sprzed lat miliardów wspominają.  
 Po jarach, zboczach ścieżki rozrzucane  
 pośród paproci wiszarów zielonych,  
 jeszcze wciąż kroki wieszczą pamiętają,  
 pośród objaśnień na tablicach  
 zatrzymują oczy; w altanach proszą,  
 by wśród rozmyślań trochę spocząć.  
 Bo czasem chwile się zmieniają w skały,  
 by trwać i świadczyć, że coś pozostaje  
 jednak z zachwycenia kiedy się cząstkę  
 serca pozostawia w słowach:  
 tych muszlach uczuć wśród milczenia.

5 X 23

Takie łagodne światło września  
 i brodziliśmy w nim w zadumie  
 jak czaple na stawach Ikwy w wodzie.  
 Skały Dziewicze rozchyłały Wołyń,  
 a ścieżki w półcieniu, polne drogi  
 zapachem ziół i bylin szeptały  
 nam upojnie kresowe eklogi.  
 W dworku kołty Barwińskiego tony.  
 Ale nad ranem jęk syren nas zbudził  
 serca skoczyły, zawyły psy przerażone.  
 Dwa światy nagle tutaj się zderzyły,  
 dopadła nas upiorna muzyka wojny.  
 W ekranie gruzy, głosy zrozpaczone.  
 A jednak ludzie znowu szli do pracy,  
 panie na targ z kosztami jarzyn,  
 z żaluzją sklepu się mocował jakiś  
 człowiek – obrona ciągle trwa i trwa  
 także w zranionej zwyczajności.  
 Okopy też w codziennych obowiązkach.  
 Niezlomna twierdza w zwykłym trudzie.

6 IX 23

Beata Bednarz

## Moda kobieca sto lat temu we Lwowie

Recenzja książki *Być kobietą. Sto lat temu na Śląsku Austriackim i w Galicji* Jacka Kachla (Wydawnictwo Żywiec, Żywiec 2012)

Niewiarygodne, ale kobiety pracujące na poczcie były w całej c.k. Austrii zmuszane do zachowywania celibatu, który parlament zniósł w 1912 roku. Rok później prasa donosiła, że ministerstwo wojny chce zatrudnić w armii kobiety. Paryskie akademie piękności na początku XX wieku jako metodę przedłużania rzeź zalecały niewiastom ich... wszywanie do powiek za pomocą igieł. Pewna dama pojawiła się na balu w Londynie w sukni, która ozdobiona była monetami wszystkich krajów, a jej pończochy wykonane były z włoskich banknotów. W 1911 roku w stolicy Galicji – we Lwowie – ubraną w portki niewiastę po wyjściu z kina zaskoczył rozgorączkowany z powodu jej ubioru tłum, przed którym uratował ją policjant, wsadzając do dorożki. Inna wielbicielka *jupe culotte* (tak wtedy nazywano najnowszy krzyk mody, czyli zakładanie przez damy spodni) nie miała tyle szczęścia, gdyż zbiegowisko ją poturbowało i poszarpało kostium. Musiała salwować się ucieczką. Mieszkające we Lwowie damy postanowiły w „honorowy” sposób zawalczyć o tego samego mężczyznę. Ukazujące się w Krakowie „Nowości Ilustrowane” opisywały bowiem w 1907 roku pojedynek, jaki stoczyły ze sobą skłócone przyjaciółki „śmiertelnie” – dosłownie i w przenośni – zakochane w pewnym kapitanie. O takich zaskakujących epizodach czytelniczki mogły się dowiedzieć między innymi z łamów wydawanego we Lwowie dwutygodnika „Mody Paryskie”. Jego redaktorem naczelnym był Aleksander Miłski, a siedziba redakcji znajdowała się na ul. Akademickiej 18. Głównym tematem była moda, stąd całe stronicie zajmowały rysunki i opisy poszczególnych kreacji. Każdy numer dzielił się na działy, np. kulinarny lub kącik porad. Warto wspomnieć, że gazeta ukazywała się na dobrym papierze, a jego cena nie należała do niskich. Jeden z opublikowanych w dwutygodniku artyku-



łów nosił wymowny tytuł *Męczennice mody*. Publikowano też opinie czytelników, na przykład o dekoltowaniu się, czyli niewinnym odsłanianiu kawałka szyi i biustu. Jednym z najgorętszych tematów, między innymi poruszanych na łamach „Kuriera Lwowskiego”, była nowa wtedy moda noszenia przez damy spodni. Pewna malarka zauważyła, że „prasa nasza wobec damskich spodenek stale jeszcze zajmuje stanowisko operetkowe. Żaden z wybryków mody nie spotkał się z taką zażartą polemiką drwin, szyderstw, karykatur”. Następnie autorka artykułu broni idei „zreformowania spódnicy” w celu stworzenia kobietom udogodnienia w miejscach pracy. „Tylko kobiety bohaterki odważyły się przywdziawać inny [strój]. Wspomnijmy nasza Emilję Plater i Pustowojtównę w szyku bojowym, Rodziewiczównę przy gospodarstwie” – dodaje.

Historyk i dziennikarz Jacek Kachel dotarł do ukazujących się w latach 1900–1914 na terenach Śląska Austriackiego i Galicji najważniejszych periodyków adresowanych do pięknej płci i przeanalizował ich treść pod kątem położenia kobiet, ich roli w życiu



Wielbicielka jupe culotte, źródło: Polona.pl

społecznym oraz przemian obyczajowo-społecznych. Archiwalna, benedyktyńska praca historyka zasługuje na uznanie. Autor nazwał swoją książkę „małym albumikiem”, akcentując tym samym, że nie rości sobie pretensji do naukowych wy-

wodów, lecz za podstawowy cel postawił sobie podzielenie się swoją pasją dziennikarską i historyczną. Publikacja ma głównie charakter anegdotyczny, gdyż jest przede wszystkim zbiorem różnaitości i cytatów, które są bardzo powściągliwie komentowane przez historyka, a jej wartość podnoszą liczne reprodukcje ilustracji i zdjęć pochodzących z analizowanych pism kobiecych, ukazujących się na przełomie XIX i XX wieku. Kachel zaprasza czytelniczki (i czytelników także!) na swoistą podróż w czasie, aby zobaczyć, jak wyglądało życie kobiet, moda i obyczajowość we Lwowie lub w Wiedniu na początku XX stulecia.

Zamężne niewiasty na pewno zainteresują popularne sto lat temu dekalogi, którymi posługiwały się kobiety żyjące na pograniczu galicyjsko-śląskim. „Nigdy nie zapominaj, iż jesteś żoną człowieka, a nie Boga; więc nie dziw się jego słabościom. Nawet w godzinie dąsów nie susz mężowi głowy” – radziły ówczesne kodeksy dla młodych mężatek, a z obszernie zacytowanych w książce fragmentów wydrukowanego w Krakowie „Kalendarza Roli” na rok 1912 może skorzystać także dzisiejsza gospodyni domowa. A o co powinna dbać pani domu według ówczesnej prasy? „Do niej należy staranie o wszystko, czego mąż w domu szukać ma prawo i co znaleźć powinien: spokój i przyjemność”. Czy dziś kobiety bez wahania zgodziłyby się z tak ujętymi swoimi obowiązkami? „Kurier Lwowski” publikował z kolei dowcipne i złośliwe aforyzmy, które warto „odkurzyć”, gdyż ich uniwersalizm jest nieprzemijający, a i (u)śmiech potrafią wzbudzić. Bo czy

nie zgodzimy się, że „kobieta umie mówić w porę, ale milczeć w porę niezdolna” albo że – i tu adresatem są mężczyźni: „gdy jesteś młody, wierz kobietom, a będziesz szczęśliwy, ale jak się podstarzejesz i zechcesz być szczęśliwym, nie wierz im nigdy”. Jacek Kachel wzbogacił swoją książkę także o żarty obrazkowo-satyryczne na temat relacji damsko-męskich, jednak ich liczba jest skromna, tak samo jak aforyzmów.

Wydana w 2012 roku publikacja *Być kobietą* uświadamia także, że problem równości płci był od dawien dawna przedmiotem rozważań i wywoływał gorące dyskusje. Kwestię tę roztrząsano choćby na łamach „Kuriera Lwowskiego” w 1885 roku. Autor zacytowanego artykułu zastanawiał się, czy słuszny jest powszechny wtedy pogląd, że „kobieta jest niższą od mężczyzny z zoologicznego punktu widzenia”. Dochodzi do wniosku, że mężczyzna i kobieta „mogą być równi tylko, gdy utracą swą płciowość” oraz że nie mogą być porównywani, bo są odrębnymi bytami, które są sobie nawzajem potrzebne i mogą się uzupełniać. Obficie przytoczone w książce fragmenty z pism czytanych przez nasze prababki mogą wywoływać zdumienie z dzisiejszego punktu widzenia. Konfrontacja ich poglądów na rolę i powinności kobiety z obecnie głoszonymi może być ciekawym doświadczeniem. Autor nie rozwinął jednak pewnych wątków, jak pisze – celowo, pozostawiając je innym badaczom i przytoczył na przykład tylko jeden tekst na temat (nie?)równości płci. Czytelniczki książki najbardziej jednak zainteresują różne ciekawostki ze świata zmieniającej się dynamicznie mody, obficie zacytowane oraz wzbogacone o liczne ilustracje. Wydawane w Krakowie „Nowości Ilustrowane” w listopadzie 1912 roku relacjonowały, że „wraca znowu do swoich praw fryzura tzw. turbanowa, o tyle różniąc się od dawniejszych swych poprzedniczek, że turban upinany jest znacznie wyżej, a nie na tyle głowy, jak dawniej. Inną nowością jest fryzura w rodzaju helmu”. Czytając fragmenty zacytowanych doniesień prasowych z początku XX wieku, można też prześledzić, jak zmieniała się rola kobiet i ich uświadomienie co do swoich praw. Książka *Być kobietą* jest interesująca nie tylko dlatego, że ukazuje życie codzienne i ubiór, lecz także proces emancypacji kobiet.

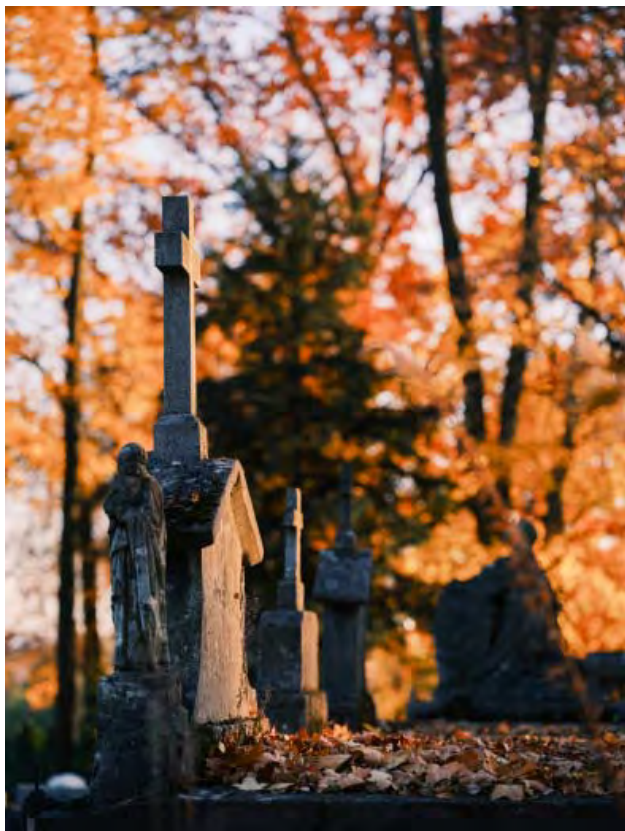
Anna Stengl

## Kresowianie pochowani na Salwatorze

**B**ył taki dzień. 23 sierpnia 2019 roku. Na cmentarzu Salwatorskim żegnaliśmy Andrzeja Chlupalskiego, pomysłodawcę i wieloletniego redaktora naczelnego kwartalnika „Cracovia–Leopolis”, całym sercem Lwowiaka. To był bardzo smutny dzień, który nam uświadomił, że będzie nas – Lwowian i kresowian – coraz mniej. I pojawiła się we mnie myśl, granicząca z postanowieniem, że konieczne jest opracowanie, które opowie o spoczywających tu osobach ze Lwowem i Kresami w różny sposób związanych. Rzecz jasna, że takie przedsięwzięcie nie było łatwe do zrealizowania. Ale... życie tych, którzy w większości znaleźli się na tym cmentarzu głównie w wyniku historycznych przemian, było o wiele trudniejsze.

Opracowywanie kolejnych biografów do przewodnika, który jest obecnie w przygotowaniu, niesło ze sobą pewne trudności – choćby znajdowanie mogił kolejnych osób, ale też niesło wiele wzruszeń. I taka myśl o spoczywających tu osobach: czy wiemy, kim byli ci ludzie, co przeżyli, co w życiu robili, nad czym pracowali, jakie były ich losy, kto działał w szeregach Armii Krajowej? To wszystko trzeba było prześledzić, ująć w słowa, wybrać te najważniejsze wydarzenia z historii ich życia i mieć świadomość, że taki zapis zostanie na długo.

Wiadomo, że pamięć o zmarłych z biegiem lat zasnuwa mgła niepamięci, jednak zapisane w przewodniku wspomnienia przetrwają dla potomnych. Mam nadzieję, że współpraca z dr Karoliną Grodziską, autorką monograficznych opracowań polskich nekropolii znajdujących się w Krakowie i za granicą (w Anglii i Walii) i świetnym fotografikiem Piotrem Tumidańskim zaowocuje wydaniem przewodnika prowadzącym przez cmentarz Salwatorski i będzie on służył tym, którzy zechcą poznać historię wielu, wielu Lwowian i Kresowian. A każdy biograf, który



w nim się znajdzie, będzie – jak to pięknie powiedział profesor Stanisław Nicieja – dowodem ich istnienia. Naszą dbałością i wiedzą możemy wskrzeszać pamięć o tych, którzy odeszli.

---

*Mogily Lwowian i Kresowian na cmentarzach Krakowa. Cmentarz na Salwatorze to kontynuacja tomu pierwszego poświęconego osobom pochowanym na cmentarzu Rakowickim. Jest swego rodzaju przewodnikiem, który zawiera podstawowe informacje o miejscach pochówku osób związanych ze Lwowem i – szerzej – z utraconymi ziemiami południowo-wschodniej Małopolski, Polesia, Grodzieńszczyzny i Wileńszczyzny.*

## Wspomnienie o Tadeuszu Olszańskim (1929–2023)

**T**ak trudno pisać o długoletnim Przyjacielu w czasie przeszłym, czując takie uktucie serca, głęboki żal i smutek, że pozostały już tylko wspomnienia, a dla środowiska – zwłaszcza stanisławowskiego – niepowetowana strata.

Jeszcze tak niedawno rozmawialiśmy telefonicznie, wysłałam też do Czcigodnego Jubilata z okazji 94. urodzin serdeczności, dołączając nasz kwartalnik „Cracovia–Leopolis”, który cenił i komplementował, będąc w swoim dziennikarskim zawodzie znakomitością.

Wieloletni Czytelnicy nazego kwartalnika zapewne pamiętają niezwykle interesujące artykuły Jego pióra, a także fragmenty z Jego pasjonujących książek, adresowanych nie tylko do tych, którzy chcieliby poznać i odczuć Kresy z odrobiną rzewności i nostalgii.

Tadeusz Árpád Olszański – dziennikarz, publicysta, pisarz, tłumacz literatury węgierskiej, koneser kulinarny, urodził się 28 sierpnia 1929 roku w wówczas polskim Stanisławowie (obecnie ukraiński Iwano-Frankiwsk) i tu spędził pierwsze lata swego życia. W mieście, styku wielu kultur, które wzajemnie się przenikały i niewątpliwie rzutowały na Jego wychowanie i dorastanie.

Ojciec – miejscowy wzięty lekarz (z dyplomem doktora wszech nauk lekarskich, Lwów 1907), też Tadeusz, był Polakiem, matka Katalin (zdrobniele Katinka) pochodziła z węgierskiego rodu Simenfalvych z Zakarpacia. Dziadek, Alojzy Olszański herbu Jastrzębiec, był ziemianinem ze szlacheckim rodowodem i posiadał majątek w Kupczyńcach koło Tarnopola.

Wrzesień 1939 roku przyniósł wstrząsające wydarzenia, które dramatycznie wpłynęły na miasto i mieszkańców Stanisławowa. 1 września agresja Niemiec na Polskę, a 17 września tragiczna w skutkach agresja Związku Sowieckiego przerwały beztrioskie lata 10-letniego Tadeusza.



Fot. Wydawnictwo Wysoki Zamek

Jesienią 1943 roku rodzina poprzez swe węgierskie koneksje przedostała się na Węgry, gdzie Tadeusz do marca 1944 roku i wkroczenia Niemców do Budapesztu uczęszczał do polskiego gimnazjum w Balatonboglar. Po zakończeniu wojny rodzina Olszańskich w 1945 roku wróciła do Polski i po roku pobytu w Krakowie osiedliła się w Opolu. Tadeusz, po zdaniu matury w I Gimnazjum w Liceum w Opolu, zamieszkał w Warszawie, gdzie w 1952 roku uzyskał dyplom ukończenia studiów dziennikarskich na Uniwersytecie Warszawskim i dostał nakaz pracy w powstającym wówczas wydawnictwie Iskry przy Wydawnictwie Książka i Wiedza. Tam też poznał swoją przyszłą żonę, red. Barbarę Gościejównę – polonistkę z Kielc, z którą przeżył sześćdziesiąt szczęśliwych lat.

Pracę dziennikarską na fali odwilży rozpoczęął w 1956 roku. W swoim bogatym życiu



zawodowym był jednym z najbardziej aktywnych dziennikarzy sportowych, relacjonował Igrzyska Olimpijskie w Rzymie, Tokio, Meksyku, Monachium, Montrealu i w Moskwie. Był autorem 19 książek o tematyce sportowej, w tym nagrodzonej przez UNESCO *Czystej gry* (1988). Był laureatem Złotego Wawrzynu Olimpijskiego w dziedzinie literatury, przyznanego przez PKOl za książkę *Osobista historia olimpiad* (2001). Przez wiele lat kierował działem sportowym w redakcji „Sztandaru Młodych”, był zastępcą redaktora naczelnego „Sportowca”, redaktorem sportowym Telewizji Polskiej – kierował działem olimpijskim. W 90. rocznicę urodzin we Władysławowie w Ośrodku Sportowym Cetniewo odsłonięto płytę z Jego nazwiskiem w Alei Gwiazd Sportu.

W związku ze stuleciem „Przeglądu Sportowego” z inicjatywy Klubu Dziennikarzy Sportowych przeprowadzono plebiscyt na najlepszego dziennikarza sportowego stulecia. Powołano w tym celu sześćdziesięcioosobowe jury, złożone z historyków prasy i sportu, dziennikarzy, przeprowadzono też sondaż wśród czytelników. Wskazano pięciu dziennikarzy w zależności od rodzaju uprawianego dziennikarstwa. Tadeusz Olszański otrzymał tytuł najlepszego dziennikarza sportowego minionego stulecia w kategorii prasa (wrzesień 2021). Jako dziennikarza radiowego wybrano śp. Bohdana Tomaszewskiego, telewizyjnego – Włodzimierza Szaranowicza, historyka sportu – Bogdana Tuszyńskiego oraz Leszka Fidusiewicza w dziedzinie fotoreportażu.

Wielką pasją Tadeusza była literatura węgierska. „Darem niebios – jak sam wspominał – od urodzenia otrzymałem dwa języki: macierzysty – węgierski i ojczysty – polski”. Przetłumaczył ponad czterdzieści powieści i dramatów z literatury węgierskiej, w tym powieść kultową dla młodzieży *Chłopcy*

z *Placu Broni* Ferenc Molnára. Za pracę translatorską otrzymał najważniejszą węgierską nagrodę literacką Tibora Deryego, a także nagrodę ZAIKS-u za przekłady literatury węgierskiej, a zwłaszcza za nowe tłumaczenie *Chłopców z Placu Broni*. Był twórcą przewodników i książek o Węgrzech, najczęściej wznawiane i tłumaczone to *Budapeszteńskie ABC* i *Budapeszt*.

W latach 1986–1990 był dyrektorem Ośrodka Kultury Polskiej na Węgrzech, a w latach 1990–1994 korespondentem Polskiego Radia i Telewizji na Węgrzech, ale też w Jugosławii.

Po powrocie do kraju na stałe związał się z tygodnikiem „Polityka”, z którym współpracował jako dziennikarz sportowy i komentator wydarzeń na Węgrzech i na Bałkanach – do końca aktywności zawodowej.

Prof. Józef Lipiec, przewodniczący Polskiej Akademii Olimpijskiej, w tymże tygodniku napisał, że Tadeusz Olszański „jest jednym z ostatnich sportowych romantyków i wyznawców szlachetnych idei twórcy nowożytnych olimpiad barona Pierre’a de Coubertina, który chciał sportu wolnego od zacietrzewienia i szowinizmu”.

W swoich licznych podróżach po świecie zawsze interesował się sztuką kulinarną. Był autorem książek, w których reportażowy opis łączył z obrazem lokalnej kuchni, wzbogaconym o przepisy potraw: *Nobel dla papryki*, *Podróże z widelcem i łyżką*, *Na węgierskim stole – pysznie i domowo* (wspólnie z Klarą Molnar), a także *Tadeusza Olszańskiego podróże kulinarne* i *Kuchnia erotyczna*, gdzie Autor zdradza moc potraw i przypraw dobrze zasłużonych dla Sztuki Miłości.

Kresy – Pokucie i Podkarpacie były w ZSRR strefą zamkniętą. Była to strefa militarna, gdzie zlokalizowano wyrzutnie rakietowe dalekiego zasięgu skierowane na Zachód i lotniska szybkiego reagowania.



Przełom nastąpił dopiero wraz z transformacją, kiedy Ukraina uzyskała niepodległość i 24 sierpnia 1991 roku otworzyła granicę. Wreszcie można było grupowo lub indywidualnie, turystycznie wybrać się w rodzinne strony. Koło Stanisławowian przy Krakowskim Oddziale TMLiKPW prawie corocznie organizowało wycieczko-pielgrzymki, w których kilkakrotnie uczestniczył Tadeusz Olszański (w 2008 roku wraz z córką Agatą). Pokłosiem tych wspólnych wyjazdów stała się książka *Kresy Kresów. Stanisławów*, w której Autor swoje losy splótł z dziejami miasta Stanisławowa. Książka została wydana przez Wydawnictwo Iskry w 2008 roku. Po czterech wznowieniach rozeszło się błyskawicznie dwadzieścia tysięcy egzemplarzy! Przez Warszawski Klub Księgarzy została uznana za książkę miesiąca, a potem Książkę Roku 2008. Dwa lata później powstał jakby drugi tom *Stanisławów jednak żyje*, który rozszedł się w jeszcze większej liczbie egzemplarzy, a powstał w odpowiedzi na odzew szeroką falą nie tylko z Polski, ale i z całego świata, gdzie ciągle są i żyją stanisławowianie. I chociaż „Stanisławów przestał być Polską, ale przecież ma polską historię i tego faktu przeszłości nic nie zmieni”. Stanisławów dziś ma inną nazwę, to jednak nie sposób usunąć go z pamięci i ludzkich serc. Za zgodą Wydawnictwa Iskry krakowskie Wydawnictwo Wysoki Zamek wydało w 2016 roku obie książki w jednym tomie. A rok później w tłumaczeniu Natalii Tkaczyk książka została wydana w języku ukraińskim, też w jednym tomie pt. *Kołys’u Stanisławowi (Kiedys w Stanisławowie)*.

„Dzięki temu nie tylko wróciłem, ale znów jestem obecny w moim Stanisławowie w postaci książki”. Tymi słowami Tadeusz Olszański kończy swoją ostatnią książkę wydaną pod koniec 2022 r. pt. *Było, mi-  
nęło, zostało w pamięci*.

Muszę jeszcze dodać, że dla kwartalnika

„Cracovia–Leopolis” Tadeusz Olszański zaszczylił mnie obszerną rozmową o Stanisławowie („CL”, nr 67/2011, s. 33–38), która później została przedrukowana w antologii kwartalnika „Cracovia–Leopolis” w książce *Małopolska Wschodnia. Nasza historia, nasza pamięć*, która ukazała się w ramach serii Biblioteka „Cracovia–Leopolis” (s. 69–76).

Trudno rozstać się z tak serdecznym Przyjacielem, chciałoby się wspomnieć jeszcze o osobistej korespondencji, czułych, ciepłych rozmowach telefonicznych, o żartobliwych liścikach z wysublimowanym poczuciem humoru. O tym, jak z niezrównanym mistrzostwem operował słowem, o klarowności opisów, o precyzji wyrażanych myśli etc.

Odszedł tak niespodziewanie 24 września, we śnie.

Śpij spokojnie, śniąc o swoim ukochanym Stanisławowie.

Żegnaj. Bardzo będzie nam Ciebie brakowało. A kiedy dopadnie nas tęsknota, to szczęśliwie możemy sięgnąć po Twoje książki, które tak wspaniale się czyta, nasycone tym czymś nieuchwytnym, kresową atmosferą, nastrojem, duchem, „rodzinną” istotą Kresów, trudno uchwytną dla „żywiotu” innego obyczaju.

Krystyna Stafińska  
wraz z Kołem Stanisławowian  
i Redakcją „Cracovia Leopoliś”



Cmentarz w Czarnym Lesie koło Stanisławowa, miejsce mordu polskiej inteligencji. Od lewej: Tadeusz Olszański, Andrzej Orzechowski i Krystyna Stafińska (2008). Fotografia ze zbiorów Krystyny Stafińskiej

Na I stronie okładki:

Pomnik „Rzeź Wołyńska” Mistrza Andrzeja Piotra Pityńskiego (1947–2020). Uroczyste odsłonięcie nastąpi w lipcu 2024 roku w Domostawie, gmina Jarocin. Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, Okręg 2, wyrażając zgodę na lokalizację tego pomnika w gminie Jarocin, podkreśliło, że jego członkom bardzo zależy, by pomnik ten był w pełnym tego słowa znaczeniu „darem dla Narodu Polskiego od polskich weteranów ze Stanów Zjednoczonych i Kanady”.  
Fot. Społeczny Komitet Budowy Pomnika „Rzeź Wołyńska” w Domostawie

---

**Wydawca:**

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

**Prezes Zarządu:**

Lesław Popławski

---

**Rada Programowa:**

Stanisław Czerny – Oddział Krakowski TMLiKPW, dr Karolina Grodziska – Biblioteka PAN i PAU, ks. prof. dr hab. Józef Wołczański – Uniwersytet Papieski Jana Pawła II, Katedra Historii XIX i XX wieku, dr Tadeusz Skoczek – dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, Janusz M. Paluch – redaktor naczelny kwartalnika, Lesław Popławski – prezes Zarządu Krakowskiego Oddziału TMLiKPW

**Redakcja:**

Piotr Boroń, Paweł Brzegowy, Jarosław Krasnodębski (Warszawa), Janusz M. Paluch (redaktor naczelny), Michał Piekarski (Warszawa), Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Natalia Tarkowska, Aleksandra Solarewicz (Wrocław)

Strona internetowa CL: [www.cracovia-leopolis.pl](http://www.cracovia-leopolis.pl)

oraz [www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/](https://www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/)

**Adres redakcji:**

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich  
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: [cracovialeopolis@gmail.com](mailto:cracovialeopolis@gmail.com)

Informacje o kwartalniku CL: [cracovialeopolis@gmail.com](mailto:cracovialeopolis@gmail.com), tel. 608 155 693

W sprawach prenumeraty prosimy telefonować i zostawiać wiadomości: 786 812 346

Konto bankowe Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

---

Przygotowanie do druku: FALL, Kraków, tel. 502 022 027, [fall@fall.pl](mailto:fall@fall.pl)

---

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie, stwierdzenia i reklamy, które stanowią wyraz poglądów ich autorów.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

---

# Spis treści

Marek A. Koprowski CZY NA WOŁYNIU MUSIAŁO DOJŚĆ DO RZEZI?	1	Musica Leopoldis Michał Piekarski W DZIEŃ JUBILEUSZU BRONISŁAWA PACANA	45
Krzysztof Kołtun BOHATEROM	4	Beata Bednarz ZAKŁAD OJCÓW JEZUITÓW W CHYROWIE WE WSPOMNIENIACH WYCHOWANKÓW	48
Paweł Stachnik KRWAWY LIPIEC 1943 80. ROCZNICA RZEZI WOŁYŃSKIEJ	5	Joanna Kulicka, Katarzyna Pasik WYGRZYWAŁSCY OPOWIEŚĆ NIE TYLKO KRESOWA	57
Tadeusz Śliwiak ANTYGONA WOŁYŃSKA	10	Antoni Wilgusiewicz LWOWIANIE I KRESOWIANIE W POLICJI WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO (1922–1939)	71
APEL SPOŁECZNEGO KOMITETU BUDOWY POMNIKA „RZEŻ WOŁYŃSKA” W DOMOSTAWIE	11		
Proza		Poezja	
Krzysztof Kołtun ANIOŁ NA MOŚCIE	12	Mariusz Olbromski SKAŁY SŁOWACKIEGO NAD RANEM W KRZEMIEŃCU POD GÓRĄ KRÓLOWEJ BONY	74
Piotr Boroń POMNIK „ORLĘTA – OBROŃCY LWOWA 1918” STANIE W KRAKOWIE	14	Beata Bednarz MODA KOBIECA STO LAT TEMU WE LWOWIE	75
Franciszek Haber ULICA AKADEMICKA	19	Anna Stengl KRESOWIANIE POCHOWANI NA SALWATORZE	77
Karol Chlipalski PRACOWITE ŻYCIE KAZIMIERZA SOCHANIEWICZA	34	WSPOMNIENIE O TADEUSZU OLSZAŃSKIM (1929–2023)	78
PISZĄ DO REDAKCJI	41		
Aleksandra Solarewicz BABY, ARTYŚCI I WARIATUŃCIE	42		